

NEGOCJACJE Z UNIA

Czy to sukces Polski?
– analizuje Piotr Semka



Jan Krzysztof Ardanowski
szczerze o swoim
pozostaniu w PiS

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 51/404 14–20 GRUDNIA 2020 CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)



**DODATEK
SPECJALNY:**
**JAK WALCZYĆ
Z POŁONOFOBIA
W NIEMCZECH**



Warzecha „testuje”
szczepionki na COVID-19

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
9 772299 850000
Nakład: 57 tys. egzemplarzy



SKUTKI ATAKU ROTAWIRUSÓW



CZY WIESZ, ŻE CHOROBA
WYWOŁYWANA PRZEZ TE WIRUSY
JEST GŁÓWNĄ PRZYCZYNĄ
HOSPITALIZACJI MAŁYCH DZIECI?¹



ZAKAŻENIE ROTAWIRUSOWE:



CHOROBA W LICZBACH – dotyczy dzieci poniżej 5 r.ż.

(szacunkowe dane – rocznie w Polsce)²

170 tys. wizyt u lekarza
22 tys. hospitalizacji

1/20 dzieci
w pierwszych 5 latach
życia **trafia do**
szpitala z powodu
rotawirusów⁴

8/10 pkt.
poziom stresu
u matek dzieci
hospitalizowanych
z powodu rotawirusów⁵

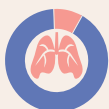
MOŻLIWE POWIKŁANIA CHOROBY ROTAWIRUSOWEJ (CHOROZY W PROC.)¹:



35%
Ostry zespół zaburzeń
trawienia i wchłaniania



18%
Podwyższony poziom
enzymów wątrobowych



10%
Zapalenie oskrzeli



9%
Podejrzenie zapalenia
wątroby



5%
Zapalenie płuc



4%
Zaburzenia
hematologiczne (krwi)

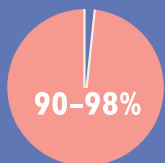


3%
Powikłania neurologiczne
(drgawki)

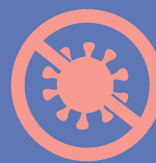


2%
Przewlekła biegunka

SKUTECZNOŚĆ SZCZEPIEŃ PRZECIW ROTAWIRUSOM:



**90-98% DZIECI UZYSKUJE OCHRONĘ
PRZED ZACHOROWANIEM NA CIĘŻKĄ BIEGUNKĘ ROTAWIRUSOWĄ
I ZWIĄZANYM Z NIĄ SZPITALNYM LECZENIEM⁶.**



Materiał powstał w ramach kampanii informacyjnej „Powstrzymaj rotawirusy”

1. Pocięcha W., Balańska A., Marszałek M., Powikłania choroby rotawirusowej u dzieci – obserwacje własne, opisy przypadków, w: Forum Zakażeń 2013; 4(1):21-27
2. Szymański H., Chmielewska A., Szajewska H., Powikłania zakażenia rotawirusowego – przegląd piśmiennictwa, w: Standardy Medyczne – Pediatria, przedruk z nr 3, tom 14, 2017
3. Red. Chybińska A., Dobrzańska A., Szczapa J., Wysocki J., Pierwsze 2 lata życia dziecka, Przewodnik dla rodziców, Medycyna Praktyczna, Kraków 2012
4. Szczepienie przeciwko rotawirusom w pytaniach i odpowiedziach, Kompendium wiedzy 2015, Szczepienia – Medycyna Praktyczna, wydanie specjalne 1/2015
5. Szczepienie przeciwko rotawirusom w pytaniach i odpowiedziach, Kompendium wiedzy 2015, Szczepienia – Medycyna Praktyczna, wydanie specjalne 1/2015
6. Mrukowicz J., Szczepienie przeciwko rotawirusom; 2015; 1-26 (v1.0)

Szczepienie, podobnie jak podanie leku, może wiązać się z wystąpieniem działań niepożądanych. Wszystkie działania niepożądane produktów leczniczych należy zgłaszać do Departamentu Monitorowania Niepożądanych Działań Produktów Leczniczych Urzędu Rejestracji Produktów Leczniczych, Wyrobów Medycznych i Produktów Biobójczych, Al. Jerozolimskie 181C, 02-222 Warszawa, tel. (22) 492-13-01, fax (22) 492-13-09, zgodnie z zasadami monitorowania bezpieczeństwa produktów leczniczych. Formularz zgłoszenia niepożądanego działania produktu leczniczego dostępny jest na stronie Urzędu www.urpl.gov.pl lub Podmiotu Odpowiedzialnego za produkt, którego zgłoszenie dotyczy. Treści zamieszczone w materiale mają wyłącznie charakter informacyjny, nie mogą być traktowane jako forma konsultacji medycznej i nie mogą zastąpić konsultacji lekarza, do którego należy ostateczna decyzja o sposobie i zakresie stosowanego leczenia.

GSK Commercial Sp. z o.o., ul. Rzymowskiego 53, 02-697 Warszawa,
tel.: 22 576 9000, fax: 22 576 9001, pl.gsk.com



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Przestroga na przyszłość

Czy zawarty w Brukseli kompromis to sukces, czy porażka Polski? Jego zwolennicy wskazują, że nie było innej możliwości. Powołują się przy tym na kilka, całkiem zasadnych, argumentów. Po pierwsze, w sporze z Brukselą Polska nie mogła liczyć, poza Węgry, na inne państwa. Tym samym jej głos był słaby. Nie można było utworzyć wystarczająco silnej koalicji państw w Unii, które powstrzymałyby zapędy biurokratów do tworzenia federacyjnego państwa. Po drugie, pozycję polskiego rządu dodatkowo osłabiało zachowanie opozycji, która stała się – który to już zresztą raz – narzędziem służącym osłabieniu Polski. Po trzecie, w ostateczności finansowo Polska na porozumieniu zyskuje, co pozwoli łatwiej przetrwać kryzys wywołany pandemią. Po czwarte wreszcie, rząd może pochwalić się dołączeniem do rozporządzenia unijnego „konkluzjami interpretacyjnymi”, które mają chronić Polskę przed nadużyciem ze strony Komisji Europejskiej. Ma to być, mówią zwolennicy porozumienia, zabezpieczenie przed wykorzystywaniem kwestii obrony praworządności do narzucania Polsce ideologii. Więcej w obecnych warunkach ugrać się nie dało – twierdzą. Trzeba się zatem cieszyć z tego, co jest.

Mimo najlepszych chęci trudno mi się z tą argumentacją zgodzić. Po pierwsze, i najważ-

niejsze, kompromis oznacza akceptację zasady „pieniądze za praworządność”. Komisja Europejska będzie mogła zawieszać wypłacenie środków finansowych, powołując się na sytuację (art. 3), w której niezbędne są odpowiednie środki, by przeciwdziałać „naruszeniu zasad praworządności w państwie członkowskim, które wpływają lub tworzą poważne ryzyka dla wpływania na należyte zarządzanie finansami w budżecie UE lub na ochronę interesów finansowych Unii”. Oznacza to, mówiąc po ludzku, że Bruksela dostała do ręki instrument dyscyplinujący i kontrolujący państwa członkowskie. W przeciwieństwie do tego zapisu konkluzje i wytyczne, na które powołuje się Warszawa, nie są prawem. Jedynie odsuwają one od Polski widmo poddania się regułom praworządności, tak jak je rozumie Bruksela.

A to, jak ją rozumie Bruksela, doskonale pokazują oficjalne przemówienia najważniejszych unijnych urzędników, przygotowane przez komisarzy dokumenty oraz rezolucje PE. Wystarczy sięgnąć do niedawnej mowy o stanie Unii szefowej Komisji, Ursuli von der Leyen, która zdefiniowała prawa podstawowe i strategię Komisji. Zapowiedziała, że już niedługo KE zaproponuje rozszerzenie listy przestępstw w UE na wszystkie formy przestępstw z nienawiści i mowy nienawiści. Oznacza to w praktyce, że wkrótce należy spodziewać się presji na wprowadzenie ustaw, które na przykład zakażą krytycznej oceny różnych niekonwencjonalnych form seksualności, promowanych przez ideologię LGBT. Jest to tym bardziej prawdopodobne, że szefowa Komisji mówiła, iż „strefy wolne od LGBTQI są strefami wolnymi od ludzkości. I nie mają one miejsca w naszej (europejskiej) Unii”. Nie powiedziała, że w naszej Unii nie wolno publicznie obrażać ludzi wierzących, bo ważniejsze jest, żeby każdy

pokazał, kim jest. I temu prawu do wyrażania się ma być podporządkowane wszystko inne.

Dodatkowo powiedziała, że jej celem ma być doprowadzenie do sytuacji, w której „jeśli ktoś jest rodzicem w jednym państwie [Unii], jest rodzicem w każdym państwie”. Biorąc pod uwagę, że w niektórych państwach można być rodzicem w parze homoseksualnej i pary takie mają prawo do adopcji dzieci oraz zdobywania ich od surogatek, deklaracja szefowej oznacza zapowiedź walki z polską odrębnością i tożsamością. Tym bardziej że wszystkie te swoje rewolucyjne pomysły pani von der Leyen uznaje za formę obrony zasad państwa prawa i obrony podstawowych zasad Unii.

W tej sytuacji podporządkowanie się mechanizmowi „pieniądze za praworządność” jest co najmniej nieroztropne. Nie przekonuje mnie też argument, który mówi o kupieniu sobie przez Polskę czasu. Ile? Roku, dwóch lat? Jestem pewien, że lada moment rozpocznie się praca nad przededefiniowaniem mechanizmu w taki sposób, żeby dało się go wykorzystać jako pałkę przeciw polskiej tożsamości kulturowej. Skoro Polacy raz pokazali, że przyparciu do ściany nie potrafią się postawić, to spodziewam się szybko kolejnych tego typu ideologicznych działań Unii. Okazanie słabości rozzuchwala.

Nie jestem w stanie zrozumieć, dlaczego w takim momencie Polska nie skorzystała z prawa weta ani w lipcu, kiedy pomysł takiego mechanizmu się pojawił, ani obecnie. Weto to naturalny mechanizm obronny, pozwalający wytyczyć granice i utrzymać równowagę w Unii. Jego użycie nie jest aktem straceńca, ale znakiem, że są granice, których nie wolno przekraczać. Takie weto nie oznaczałoby armagedonu, stanowiłoby raczej zachętę do nowego wyważenia reguł gry. Tego, jak one by wyglądały, już się nie dowiemy. Szkoda. ©©

RYSUNEK TYGODNIA





TEMAT TYGODNIA

16 MAŁGORZATA WOŁCZYK

ZEMSTA LESBIJEK

Irracjonalność praktykowana

20 MIROŚLAW SZUMIŁO

BOLSZEWICKIE

„WYZWOLENIE” KOBIET

KRAJ

24 PIOTR SEMKA

ZDERZENIE ZE ŚCIANĄ

UE pod butem Berlina

28 ROZMOWA

Z JANEM KRZYSZTOFEM ARDANOWSKIM

NIE PRZYŁOŻĘ RĘKI

DO ZNISZCZENIA PRAWICY

30 KAMILA BARANOWSKA

NACZELNY PROBLEM



32 TOMASZ ROWIŃSKI

UKRYWANIE KOMPROMITACJI

34 ŁUKASZ WARZECHA

SZCZEPIONKA Z PROPAGANDĄ

36 MACIEJ PIECZYŃSKI

PRO-LIFE NIE TYLKO DO NARODZIN

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

„GARGAMEL” Z PUSZCZY NOTECKIEJ

KULTURA

40 ROZMOWA ZE SŁAWOMIREM KOPREM

ROSZADA ZA ZGODĄ KREMLA

Premiera przedstawienia „Cena władzy”



42 PIOTR GOCIEK

OBYWATEL MANK

50 GRZEGORZ KONDRASIUK

IWASZKIEWICZ W BAGAŻU PODRĘCZNYM

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY

51

PRAWNA OBRONA POLSKIEJ PAMIĘCI HISTORYCZNEJ

OPINIE

68 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

OD MICHNIKOWSZCZYZNY DO LEMPARTYZMU

Polityka spętana mediami

70 WOJCIECH GOŁONKA

WOLTER NIEPOZNANY

HISTORIA

72 SEBASTIAN LIGARSKI

KRWAWIĄCA RANA

50. rocznica Grudnia '70

ŚWIAT

76 JACEK PRZYBYLSKI

ORBÁN: BUNTOWNIK Z WYBORU

Premier Węgier znów wszystkich ograł

79 GABRIEL MICHALIK

ZŁODZIEJE NA MIARĘ CZASÓW

EKONOMIA

84 MARCIN MAKOWSKI

CYBERSZALEŃSTWO

CD Projekt znów wyprzedził konkurencję?

STYL

88 JOANNA BOJAŃCZYK

HOME, SWEET HOME

Niezastąpiona wełna

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ

RAK Z DROBNĄ KOMÓRKĄ

Nowotwór płuca

92 KATARZYNA PINKOSZ

OPŁATA ZA SŁODKIE

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (7), KOWALCZUK (10), GMYZ, GOCIEK (14), ZYCHOWICZ, KOPER (74), PRZYBYLSKI (82), GABRYEL, WARZECHA (86), KOMUDA (94), ZALEWSKI, MAKOWSKI (96), KUCHARCZYK (97), CEJROWSKI (98)

Drodzy Czytelnicy!

Korespondencję elektroniczną do redakcji prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Ad vocem listu Elżbiety Morawiec

Z opóźnieniem przeczytałam list do Redakcji Pani Elżbiety Morawiec. List wstrząsający. Abstrahuję od treści politycznych, oceny metod i sposobów reakcji rządowej na epidemię, rozczarowania w tym względzie Autorki listu. Ma do tego prawo, jak każdy z nas, obywateli. Uderzyło mnie co innego. Przebywając w dużym DPS-ie w Krakowie na oddziale artysty seniora otacza wielka samotność. I to ona, w mojej ocenie, jest prawdziwą przyczyną jej rozgoryczenia, poczucia opuszczenia, które bije z treści listu. Racjonalność izolacji tak dużych skupisk jak np. DPS, placówki opiekuńczo-wychowawcze wydaje się niepodważalna, ale poczucie osamotnienia, wykluczenia izolowanych nie powinno pozostawiać nas obojętnymi i musi budzić wyrzuty sumienia. Przy obecnych środkach komunikacji, łatwości nawiązania kontaktu (sama doświadczyłam przed chwilą tego dobrodziejstwa, będąc w częściowej izolacji i mogąc oglądać i słuchać Jakuba Orlińskiego koncertującego na Festiwalu Actus Humanus 2020 w Gdańsku) nie byłoby nadmiernym oczekiwaniem, aby artyści, twórcy życia teatralnego w Krakowie, którzy tak narzekają na dłużyący się czas, bezczynność, brak aktywności artystycznej, a którym ta wybitna krytyk teatralny poświęciła tyle opisów, analiz, ocen ich talentu, wysiłku twórczego, znaleźli sposób, aby nawiązać

kontakt z Panią Elżbietą Morawiec i okazać Jej wdzięczność i zwykłą życzliwość. Bo jest za co, gdy przez lata wskazywała nam, widzom i czytelnikom jej recenzji, czym jest prawdziwa i wartościowa sztuka, nie jej miazmaty i tandetne pseudonowości. Myślę, że artyści, ludzie sztuki zawdzięczają Jej bardzo wiele, a treść jej listu stanie się wyrzutem sumienia dla środowiska krakowskiego i zmobilizuje młodszą część tego środowiska do nawiązania z Autorką dla obu stron twórczego kontaktu. Przesyłając za pośrednictwem Redakcji podziękowania dla Pani Elżbiety Morawiec za prowadzenie nas, Jej czytelników, przez tyle lat po meandrach teatralnych w poszukiwaniu piękna i dobra.

Łączę wyrazy poważania
Teresa Thiel-Ornass

„Polityka pustych gestów”, rozmowa z prof. Bogdanem Musiałem, „DRz” 44/2020

Sz.P. Profesorze, dziesięć lat temu brałem udział w Projektach Europejskich mających na celu inicjowanie współpracy instytucji naukowych w Europie, w ramach których odbywały się spotkania inżynierów, pracowników instytucji naukowych z UE w ich siedzibach. Na spotkaniu/imprezie (z alkoholem) kończącej jeden z projektów w Bremie pod koniec podszedł do mnie młody niemiecki inżynier z kieliszkiem wódki i z tekstem: „I po co myśmy te wojny ze sobą prowadzili – napijmy się”. Odwróciłem się i bez słowa wyszedłem...

Z wielkim uznaniem dla Autora
Tadeusz Goszczyński



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, **Piotr Gociel**, **Krzysztof Masłoń**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemiakiewicz**

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, **Olivier Bault**, **Joanna Bojańczyk**, **Grzegorz Brzozowicz**,
Wojciech Ciejrowski, **Wiesław Chelminski**, **Dominika Ćosić (Bruksela)**,
Tomasz Cukiernik, **Krzysztof Czałajski**, **Piotr Gursztyn**, **Marek Jurek**,
Jacek Komuda, **Ślawomir Koper**, **Piotr Kowalczyk (Rzym)**,
Grzegorz Kucharczyk, **Tomasz Lenczewski**, **Piotr Litka**, **Łukasz Majchrzyk**,
Marcin Małkowski, **Monika Małkowska**, **Karolina Marchlewska-Trzmiel**,
Gabriel Michalik, **Agnieszka Niewińska**, **Andrzej Nowak**, **Maciej Pieczyński**,
Katarzyna Pinkosz, **Tomasz Rowiński**, **Witold Repetowicz**,
Wojciech Roszkowski, **Agnieszka Rybak**, **Joanna Siedlecka**, **Teresa Stylińska**,
Artur Szeremeta, **Tomasz P. Terlikowski**, **Błażej Torajski**, **Szewach Weiss**,
Piotr Włoczyk, **Marcin Wolski**, **Małgorzata Wólczyk**, **Jakub Wozinski**,
Tomasz Wróblewski, **Igor Zalewski**, **Tomasz Zbigniew Zapart**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak**
(zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska**,
Małgorzata Puzyr, **Sandra Skibniewska**, **Marcin Bugaj**, **Damian Cygan**,
Jan Fiedorczyk, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express”)

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Taniś**,
Jacek Nadratowski, **Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Trzacyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**, **Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krystopa**
Okładka: na podst. plakatu **Witolda Chmielewskiego**, „Młodzieży – napród do walki o szczęśliwą, socjalistyczną wieś polską!”, oprac. graf. **Pegaz/JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, **Robert Pstrokoński**, **Ewa Rykaczewska**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; **Monika Doros**, tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 57 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaj egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Pocztówka z roku 1990

Szczerze mówiąc, sam nie pamiętałbym o tej rocznicy, gdyby nie niezawodny portal Onet: „30 lat temu Lech Wałęsa został prezydentem. To smutne, że o tej rocznicy pamięta prezydent Czech, ale nie Polski”. Nie myśląc wiele, odpisałem na Twitterze: „Może dlatego, że w Polsce duża część obywateli chciałaby o tej prezydenturze po prostu zapomnieć”.

Właśnie, sama prezydentura Wałęsy była jałowa, pełna inicjatyw ocierających się o polityczny sabotaż, takich jak NATO-bis, czy wstrętnych incydentów, choćby bezpieczniackiej inwigilacji prawicy czy czyszczenia teczek „Bolka” przez ówczesną głowę państwa. Samą jednak kampanię Wałęsa kontra Tadeusz Mazowiecki z jesieni 1990 r. pamiętam jako jeden z najbarwniejszych okresów mojego życia.

Dzisiaj patrzę na ówczesne zachłyśnięcie się prawicy Wałęsą jak na dziecięcą chorobę, której nie sposób było uniknąć. Alternatywą była jednak wygrana Tadeusza Mazowieckiego i zakonserwowanie się na długie lata władzy ówczesnego Ruchu Obywatelskiego Akcja Demokratyczna, czyli szeroko rozumianego obozu postępu, któ-

remu patronował Adam Michnik. Oczywiście Wałęsa wygrał wtedy ze Stanisławem Tymińskim, który wszedł do drugiej tury, ale kariera Tymińskiego to temat na osobny felieton.

Dramatem prawicy było wtedy nieposiadanie własnego, masowo rozpoznawalnego lidera. Bracia Kaczyńscy czy Marek Jurek dopiero zaczęli być wtedy rozpoznawalni, ale wciąż jeszcze niewiele znaczyli na polskiej scenie politycznej. Zarówno oni, jak i zapomniany już ZChN nie mieli innego wyjścia i uznali Wałęsę za polityczny taran, który rozbija dominację układu okrągłostołowego w balcerowiczowskim sosie. Sam Wałęsa wydawał się wtedy kimś, kto naprawdę chce zdekomunizować kraj i wyrwać go z inercji. Gdy tylko wygrał, szybko zamknął się w kręgu dworaków z Mieczysławem Wachowskim na czele. Braci Kaczyńskich wypchnięto z prezydenckiej kancelarii w ciągu roku. Wyborcy „Lecha” szybko przeżyli rozczarowanie.

Jeśli ktoś zapytałby mnie, czy gdybym mógł cofnąć czas, poparłbym Wałęsę raz jeszcze, odpowiedziałbym: „Tak”. Alternatywą było

bowiem zabetonowanie sceny politycznej na lata pod „oświeconymi” rządami Mazowieckiego, Jacka Kuronia i Bronisława Geremka. Te pięć lat prezydentury Wałęsy nie wzmocniły prawicy, ale były dla niej polityczną lekcją, która z czasem zapoczentowała.

Kaczyńskiego te chude lata politycznego marszu przez epokę Wałęsy wiele nauczyły, ale też naznaczyły go na przyszłość. Od tamtej epoki starał się stworzyć partię-zakon, składającą się z polityków ściśle posłusznych jego rozkazom. Było to zrozumiałe, gdy partie prawicy były rozbijane akcjami operacyjnymi UOP lub ideowość prawicowców zniknęła jak kamfora, gdy wtapiali się w lokalne układy biznesowe.

Dzisiaj ten dogmat zwartości – nawyk z tamtych lat – w dużej mierze wyjaławia PiS. Wielu jej polityków unika wypowiedzi dopóty, dopóki nie jest pewnych, co na ten temat myśli prezes. A gospodarz Nowogrodzkiej coraz częściej milczy. Z chęcią bym poczytał, jak sam Kaczyński wspomina z dzisiejszej perspektywy kampanię 1990 r., ale od pewnego czasu wywiady z prezesem PiS można policzyć na palcach jednej ręki. Szkoda. ©

FILM: „NOWA NIENORMALNOŚĆ”

Najnowszy film dokumentalny portalu PCh24.pl „Polonia Christiana” nie zatrzymuje się jedynie na kwestiach medycznych, ale w kompleksowy sposób wyjaśnia, czym w istocie jest pandemia koronawirusa i jakie cele przyświecają wykorzystującym trwający kryzys. W filmie wypowiadają się eksperci i specjaliści w swoich dziedzinach. Najnowsza produkcja PCh24.pl w nieco ponad godzinę przybliży wizję „nowej nienormalności”; świata, w którym takie wartości jak wolność i niezależność powoli odchodzą na śmietnik historii. (PR) ©

KATARZYNA ŁANIEWSKA NIE ŻYJE

W zeszłym tygodniu w wieku 87 lat zmarła Katarzyna Łaniewska, aktorka szerokiej publiczności najbardziej znana m.in. z filmów „Smoleńsk”, „Kogel-mogel” oraz z popularnego serialu „Plebania”. Wystąpiła także w serialach: „Czterdzieściolatek” oraz „Gruby”. Przede wszystkim była jednak aktorką teatralną. Katarzyna Łaniewska występowała w warszawskich teatrach: Polskim, Dramatycznym, Ateneum oraz Narodowym. (jap) ©



FOT. MICHAŁ WARGINEAST NEWS

PŁYWANIE W KISIELU

Między psychiatrą a egzorcystą

RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

Podobnie jak swego czasu KOD organizacja Strajk Kobiet po zniknięciu z jej ulicznych demonstracji „mas” sięgnęła do kolejnej formy protestu: śpiewania na ulicach. Przy czym od „czarnego walca” i innych przyspiewek KOD-kapeli śpiewanie aktywistek Marty Lempart różni się w podobny sposób jak obie organizacje i jak ona sama od Mateusza Kijowskiego.

Konkretnie: feministki zaczęły występować na ulicach polskich miast z własnymi przeróbkami kolęd na pieśni aborcyjne – na przykład „gdy śliczna panna aborcję robiła”. Na melodie znane większości Polaków od dzieciństwa i kojarzące się im z miłością, wigilijnym ciepłem i jedynym dniem w roku, w którym chce się

zamknąć w gronie najbliższych i zapomnieć wszelkie zło, wyśpiewują feministki grafomańskie rymowanki o tym, że likwidacja niechcianego bachora jest super, a kobiety, które to robią, to bohaterki. Skwapliwie, i zapewne z dumą, uwieczniając to swoje „kolędowanie” na filmikach zamieszczanych w Internecie.

Kiedy swego czasu Jarosław Kaczyński użył cytatu ze starego wiersza (zresztą będącego w obowiązkowych lekturach szkolnych): „inni szatani byli tu czynni”, lewicowo-liberalny salon rozpętał w światowych mediach szyderę: „Polską rządzi wariat, który uważa, że polityczną opozycją kieruje Szatan”. Wtedy wydawało mi się, że to zwykła zajazgliwa głupota – dziś zaczynam się zastanawiać, czy

histeryczna reakcja opozycji na jego słowa nie wynikała z przekonania, że Kaczyński przejrzał ich tajemnicę.

Zachowania tęczowo-feministycznych „kolektywów” przekraczają już bowiem to, co można uważać za zwykłe objawy choroby psychicznej. Ataki furii i agresji na sam widok sutanny czy kościoła albo histeryczne reakcje na plakaty – bardzo zresztą udane – przedstawiające sylwetkę dziecka wpisaną w różowe serce, po których feministki bazgroła, drapią plastik pazurami lub na które nakleją swoje aborcyjne plugastwa, trudno doprawdy odróżnić od tzw. manifestacji obecności Złego, które można obejrzyć na filmach dokumentujących pracę egzorcystów. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Nowa geopolityka



Określenie statusu jest rzeczą ważną. Ważne jest stanowisko wobec Unii Europejskiej, a w poważnej dyskusji „zostać czy wyjść” każde zajęte stanowisko ożywia zmysł suwerenności. Jednak określenie statusu koniecznego w obecnych warunkach albo pożądanego w przyszłości nie zastąpi polityki, bo – jak uczy augustiańska mądrość – raz wybrałszy, wybierać trzeba ciągle. Polska musi wiedzieć, co chce robić w Unii albo jak poradzić sobie bez Unii. Polska w ogóle musi wiedzieć, po co jest.

A biorąc pod uwagę, że zarówno (realne) istnienie Unii, jak i okoliczności określające naszą politykę w bardzo ograniczonym stopniu od nas zależą, te dwa zagadnienia

(w Unii czy bez Unii) nie są wcale tak rozbieżne, jak się powierzchownym umysłem wydaje.

Na początek więc geopolityka. Jednym z zasadniczych (choć jednocześnie mało uświadamianych) determinantów naszego udziału w Unii jest to, że należą do niej najbliższe nam – kulturowo i politycznie – państwa Europy Środkowej. O wiele łatwiej współpracować i zacieśniać z nimi relacje w Unii niż poza nią. Ich stanowisko musi być istotną przesłanką naszej polityki.

Od zawarcia przez Niemcy i Francję traktatu akwizgrańskiego, więc prawie od dwóch lat, powtarzam, że czas na analogiczny układ środkowoeuropejski, choćbyśmy go mieli (na początek) zawrzeć tyl-

ko z Węgrami. Ale przecież państw, które mogłyby do niego przystąpić, jest więcej, choćby kierowane przez prawicowo-ludowe rządy Słowacja i Słowenia, i nie tylko one. To prawdziwie historyczny moment, gdy szansa przechodzi obok nas. Trzeba działać teraz, bo zwolennicy konfiskaty suwerenności też są świadomi znaczenia mijającej chwili.

Wzmocniona współpraca państw środkowoeuropejskich to silniejszy głos w Unii i reasekuracja na wypadek upadku Unii. Gdy po pierwszej wojnie światowej rozpadła się imperia, to właśnie narody wypełniały polityczną próżnię, wyznaczając granicę chaosu i bolszewizmu. Warto o tym pamiętać. ©©

O tym, że twórczość Przemysława Gintrowskiego nabiera właściwego sensu, zwłaszcza teraz, w świecie opanowanym przez pandemię, mogli przekonać się wszyscy, którzy skorzystali z zaproszenia Fundacji im. Przemysława Gintrowskiego i wysłuchali koncertu „Gintrowski – aktualny jak nigdy wcześniej”

Koncerty poświęcone twórczości legendarnego barda wolności od lat zaskakują scenicznym kolażem doświadczenia i artystycznej świeżości, nowymi aranżacjami kultowych utworów, a nawet niesamowitą scenografią. Nie inaczej było tym razem. Choć przecież samo wydarzenie odbyło się w zupełnie wyjątkowych okolicznościach. – To trudny czas pandemii, niepewności, obostrzeń i wielu zmian, dlatego – pewnie się ze mną zgodzicie – Gintrowski jest aktualny jak nigdy wcześniej. Piosenki Przemka są prawdziwą kopalnią niezwykle celnych odniesień do współczesnych czasów. Jego charyzmatyczny głos, emocje i znakomite aranżacje oraz dobór tekstów uderzają z wielką mocą. Jego piosenki to powrót do świata, w którym punktami odwołania są autorytety, malarze, poeci, naukowcy, ludzie wielcy i wielka sztuka. Gdzie białe i czarne to dwa odrębne kolory, które nie posiadają półcieni. Gintrowski – człowiek, który nikogo nie udawał. Niestrudzony piewca wolności. Jego twórczość jest nie tylko komentarzem rzeczywistości, ale też przepowiednią – mówiła Katarzyna Gintrowska, prezes Fundacji im. Przemysława Gintrowskiego, otwierając koncert, który w tym roku, zupełnie wyjątkowo – ze względu na pandemię właśnie – można było obejrzeć w Internecie. (WWW.GINTROWSKI.PL).

MUZYCZNY HOŁD

Julia Gintrowska, córka barda, 11. koncert poświęcony twórczości jej ojca rozpoczęła utworem „Kraj”, skomponowanym przez Przemysława Gintrowskiego do wiersza Zbigniewa Herberta. Chwilę później wybrzmiała niezwykła „Modlitwa o wschodzie słońca” skomponowana przez Przemysława Gintrowskiego do słów Nataniela Tenenbauma. „Modlitwę” wykonali: Aleksandra Gintrowska i Bartosz Szymoniak „Bartas”.

Aleksandra Gintrowska FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ



Przepowiednia Gintrowskiego



Artyści od lewej: Marcel Sabat, Julia Gintrowska, Józef Skrzek, Bartas Szymoniak, Krzysztof Napiórkowski, Aleksandra Gintrowska, muzycy oraz laureat nagrody „Za Wolność w Kulturze”, prezes Zarządu Fundacji im. Przemysław Gintrowskiego, Katarzyna Gintrowska, przewodnicząca Rady Fundacji, Agnieszka Gintrowska – żona zmarłego barda FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

Marcel Sabat zinterpretował utwór do słów Zbigniewa Książka, „Czy poznajesz mnie, moja Polsko”. Krzysztof Napiórkowski – „Jeszcze dzień”, a „Gdy tak siedzimy nad bimbrem” można było usłyszeć w wykonaniu Bartosza Szymoniaka. Wielu wzruszeń słuchaczom dostarczyła „Wróżba” (autor tekstu: Jacek Kaczmarski) w interpretacji Aleksandry Gintrowskiej. Swoisty hołd Przemysławowi Gintrowskiemu złożył też Józef Skrzek. To w jego wykonaniu w tym roku wybrzmiały legendarne „Mury”. Nad całością czuwał kierownik muzyczny i aranżer koncertu, Mariusz Dubrawski.

„ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE”

W czasie koncertu wręczona została także, już po raz piąty, Nagroda im. Przemysław Gintrowskiego „Za Wolność w Kulturze”. Kapituła Fundacji im. Przemysław Gintrowskiego wyróżnienie przyznaje „artystom, którzy nie pozwalają w sobie stłumić wolności do samostanowienia i wyrażania siebie”. W tym roku statuetkę odebrał Tadeusz Woźniak. – Cieszę się, że już po raz kolejny możemy nagrodzić wyjątkowego twórcę, który uczy nas, jak z godnością przejść przez życie. Wszyscy wiemy, że prawdziwi artyści i ich prace żyją wiecznie i w każdym następnym młodym pokoleniu znajduje się dla nich miejsce. Jest taka piękna piosenka,

która powstała w 1972 r. i wtedy cała Polska o niej mówiła. Niedawno odkryto ją na nowo. Zrobiło to młode pokolenie graczy komputerowych. Stała się trailerem gry komputerowej – największego polskiego sukcesu na międzynarodowym rynku gamingu. Ten trailer z piosenką obejrzało w ciągu pierwszych dni po wydaniu ponad pół miliona osób, a do tej pory nawet ok. 2 milionów – mówiła Katarzyna Gintrowska. Prezes Fundacji im. Przemysław Gintrowskiego, wygłaszając

laudację, zwracała uwagę na dorobek Tadeusza Woźniaka. – Przed nami twórca ponad kilkuset piosenek. Autor muzyki do ponad 100 inscenizacji teatralnych i wielu programów artystycznych i poetyckich. Kompozytor muzyki do filmów dokumentalnych i animowanych, ale przede wszystkim artysta wrażliwy na drugiego człowieka. W swoich wywiadach mówi, że podstawową potrzebą każdego człowieka jest „czuć się dobrym” i ten jego świat to świat, w którym przede wszystkim ważny jest drugi człowiek – zaznaczyła.

Tadeusz Woźniak, odbierając wyróżnienie, przypomniał historię z lat 90., kiedy to po koncercie legendarnego trio, Przemysław Gintrowskiego, Jacka Kaczmarskiego i Zbigniewa Łapińskiego, panowie wspólnie ustalili, że najważniejszym artystą był dla nich wszystkich Bob Dylan. – Człowiek, który korzystając z dorobku swojej ojczyzny, zbuntował się, przedstawił swoją wersję estetyki, rzeczywistości i jej opisu. Ta nagroda zobowiązuje mnie do tego, żebym trwał – przyznał Woźniak.

W ubiegłym roku nagrodę im. Przemysław Gintrowskiego odebrał Muniek Staszczyk. Wcześniej wyróżnieni zostali: Franciszek Pieczka, Ewa Błaszczyk, Stanisław Celińska, Jan Polkowski i Antonina Krzysztoń.



Prezes Fundacji im. Przemysław Gintrowskiego, Katarzyna Gintrowska, laureat Nagrody „Za Wolność w Kulturze” Tadeusz Woźniak FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

MECENAS KONCERTU:



PARTNERZY:



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

PARTNER WSPIERAJĄCY:





PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Strajk w roku zarazy

Wponurej sytuacji Italii sparaliżowanej od miesiący koronawirusem sektor publiczny (3,2 mln pracowników) postanowił strajkować przez cały Boży dzień 9 grudnia. Pracownicy domagali się odnowy umów zbiorowych, czyli podwyżek. Chcieli 120 euro miesięcznie, ale rząd zgodził się na 83 euro, więc przerwali pracę. Poza tym żądali inwestycji w sektor publiczny.

Reszta Włochów zatrzęsa się z oburzenia. W sektorze prywatnym z wiadomych powodów słowo „podwyżka” wyszło z użycia. Pracę straciło ponad 800 tys. Włochów, ale tylko dlatego, że decyzją rządu zamrożono zwolnienia pracowników na stałych kontraktach do końca marca przyszłego roku. Potem będzie prawdziwa rzeź.

Chyba nigdy przedtem rozbustwienie, demoralizacja i egoizm „budżetowców”, a przede wszystkim związków zawodowych nie objawił się tak wyraźnie i tak obrzydliwie.

W tragicznym czasie dla kraju, w którym – jak wynika z ostatnich badań – 80 proc. mieszkańców boi się przyszłości, strajkują ludzie najwyraźniej zupełnie odklejeni od rzeczywistości. Ludzie, którzy posiadają bezcenną dziś stałą, „dożywotnią” pracę, płacę i zapewnioną emeryturę.

Sektor publiczny z powodu pandemii w dużym stopniu pracuje z domu. Urzędy (np. podatkowy) otwarte są dwa dni w tygodniu. Interesanci, czyli ci, którzy z własnych podatków utrzymują zdemoralizowanych urzędników, skazani są na wielogodzinne wystawianie w kolejkach, czyli tracą czas i pieniądze.

W telewizyjnym okienku związkowcy perorowali z agresją i arogancją powodującą u widza gwałtowny skok ciśnienia i świerzbienie obu dłoni. Tłumaczyli Włochom, że strajkują dla ich dobra, bo jeśli rząd spełni wysunięte postulaty, to urzędy będą hulać, aż miło. Czyli jak nigdy przedtem. Strajk, jak zwy-

kle, ogłoszono tak, by przy pewnym sprycie zapewnić sobie pięć wolnych dni z urzędu, co doprowadziło naród do szewskiej pasji.

Związkowcy wyjaśniają, że nie ma się co burzyć i pomstować na strajk, bo oni jedynie korzystają z wywalczonych praw pracowników. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



MIEDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Za Piłsudskiego nie było Wi-Fi

Wydawać by się mogło, że polska polityka pogrążyła się ostatnio w radykalizmie i tematach zastępczych, ale jest jeszcze na Twitterze nurt głębszej, historyzoficznej refleksji. „Kiedy prawica dziś krzyczy: »suwerenność!«, w głowie ma młot Polski Piłsudskiego. To przyjrzyjmy się faktom: – 75% ludzi mieszkało na wsi (1931), – do 97% wsi nie docierał prąd (1939), – w miastach kanalizację miało 13% budynków (1931). Tak wyglądał prawicowy rozwój. Pamiętajmy!” – zwrócił uwagę prof. Maciej Gdula, czym sprowokował lawinę komentarzy.

„Kiedy prawica dziś krzyczy: »suwerenność!«, w głowie ma młot Polski Mieszka I. To przyjrzyjmy się faktom: – do 100% wsi nie docierał prąd (966). Tak wyglądał prawicowy rozwój. Pamiętajmy!” – słusznie przypomniał Radosław Fogiel. Były też odpowiedzi mniej ironiczne. „Nie mam zamiaru bronić sanacji. Ale nie wiem, czy w tej jakże głębokiej analizie Pan Poseł uwzględnił to, z jakiego punktu w 1918 roku Polska w ogóle startowała: tu nie było dosłownie niczego, w 1920 wielu żołnierzy nie miało butów” – stwierdziła Eстера Flieger. „Zdecydujcie się na lewicy, czy Piłsudski był prawicowy czy lewicowy, bo żonglujecie tą postacią tak, jak Wam wygodnie. PS Mam wrażenie, że pan Gdula jest o krok od słów: »bez komunizmu nie byłoby elektryfikacji, za to byłby analfabetyzm«” – ripostował Jakub Wiech.

Polityk lewicy nie dawał jednak za wygraną, niechęć przyznając jednak rację Wiechowi.

„W dyskusji pod twitterem na temat niedorozwoju Polski Piłsudskiego obrońcy II RP piszą, że to efekt wielowiekowego niedorozwoju, zaborów, I WŚ i wojny z ZSRR w 1920. A o PRL ci sami ludzie będą mówić, że komuna wszystko zniszczyła i cofnęliśmy się w rozwoju. Zabawne :)” – napisał.

Skoro zaczęliśmy od głębokich analiz, tak też skończmy – głosem dawno niewidzianego byłego lidera opozycji. „Od końca 2015 nie kupuję. Dzisiaj tym bardziej. Mogę wstąpić na małe lub większe siusiu... to wszystko, co mogę im dać” – zadeklarował dumnie Mateusz Kijowski, wklejając grafikę o treści „Bojkot. Nie kupuję na Orlenie”. Spółka się po tym nie podniesie. ©©

Spuszczę na Was 12
piąg brukselejskich!



kt4xT0n28@5-wlasik

MAGIA

świątecznego stołu



FOOD & CATERING
SERVICES PHH



Świąteczny stół zawsze był wyjątkowym miejscem. To przy nim czas zwalnia... Tegoroczne święta Bożego Narodzenia będą inne niż dotychczas. Zwolnij więc bardziej niż dotychczas, oddaj się rodzinnemu ciepłu i świątecznej zadumie, a my zadbamy o szczyptę kulinarnej magii na Twoim stole.

ZAMÓW SWÓJ ŚWIĄTECZNY CATERING
WWW.SKLEP.FCS.WAW.PL



FOT. PAWEŁ GROMADA

PODANIE O PRACĘ

Izabella Krzan, była Miss Polonia, teraz znana głównie jako pani, która odwraca literki i udaje, że jest dowcipna w reaktywowanym teleturnieju „Koło Fortuny” w TVP, aspiruje do bycia prowadzącą porannego programu śniadaniowego „Pytanie na śniadanie”. Problem w tym, że tam trzeba też mówić, a nie tylko wyglądać, ale ponoć jej kandydatura jest poważnie rozważana. Czekać na decyzję stacji, Izabella Krzan świętuje, bo na Instagramie stuknęło jej właśnie 200 tys. obserwujących. Co znaczy, że jest celebrytką pełną gębą! Z tej okazji, dziękując wszystkim, zamieściła swoje półnagie zdjęcie z wyeksponowanymi półnagimi piersiami. Czyli tak się teraz w show-biznesie wysyła CV!

KTÓRA WERSJA LEPSZA

Sylvia Peretti (spokojnie, cierpliwości, my też nie wiedzieliśmy, kto to) to uczestniczka kontrowersyjnego show „Królowe życia”, emitowanego przez telewizję TTV. Plotkarskie media odkryły jednak, że ta sama Sylvia prowadziła kiedyś z mężem knajpę i wzięła udział w „Kuchennych rewolucjach” Magdy Gessler. Było to dziewięć lat temu i Sylvia wyglądała jak zupełnie inna osoba. To znaczy wyglądała zwyczajnie, a teraz wygląda i czuje się jak gwiazda! Zmieniła fryzurę, styl ubierania, rozmiar stanika i nawet chyba rysy twarzy. I teraz ta oto Sylvia na Instagramie radzi swoim fankom (ponoć je ma!), by zawsze były sobą i akceptowały siebie takimi, jakimi są. „Nie chodzi o to, byś nagle zmieniła się w perfekcyjną wersję siebie, ale byś zaprzężyła się z tą wersją siebie, którą już jesteś” – pisze Sylvia, zamieszczając piękne zdjęcie. Ciekawe, którą wersją siebie ona sama teraz jest. I czy na pewno ostatnią?

TYLKO DLA WTajemniczonych

Zapomniana trochę piosenkarka Paulina Ignasiak, występująca jako Paulla (koniecznie przez dwa „l”), postanowiła przypomnieć o sobie, stając w obronie koleżanki po fachu Edyty Górniak. Stwierdziła, że ci, którzy krytykują Edzię za jej opinie na temat koronawirusa i szczepionek, po prostu są za mało uduchowieni, by Edzię zrozumieć. I nie do nich adresowane są jej słowa.

– Uważam, że pewne rzeczy można mówić do pewnych ludzi i w pewnym, określonym towarzystwie – tłumaczyła portalowi Plejada. – Wydaje mi się, że Edyta Górniak chciała dobrze. Po prostu chciała przedstawić swój światopogląd,

a przedstawiła go w taki sposób ludziom, którzy niekoniecznie są uduchowieni w taki sposób jak ona, którzy nie pojmują świata tak jak ona – dodała. Czyli Edzia ma rację, tylko ludzie nie dorosli do jej mądrości. Do mądrości Paulli przez dwa „l” chyba też jeszcze długo nie dorosniemy.

BOHATERKA DNIA CODZIENNEGO

Aktorka Weronika Rosati postanowiła wyjaśnić swoim fanom, że to, co pokazuje na Instagramie, to tylko wycinek jej życia i że ono wcale nie wygląda tak kolorowo i beztrudno. Aby pokazać, jaka jest zabiegana i ile trudów musi pokonać każdego dnia, opowiedziała o tym, jak wygląda jej standardowy dzień. – Na co dzień też nie dosypiam, bo sprzątam i pracuję nad scenariuszami, jak Eli śpi, żeby nie tracić czasu, który mam z nią, a następnie o 6 rano mój mały poranny ptaszek krzyczy „Waaaaaake up, mommy”, jedziemy do przedszkola, a ja próbuję w parę godzin opanować wszystko



FOT. ANDREA RAFFIN/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

naraz – relacjonuje Weronika. – Dzisiaj mam w kalendarzu konferencję prasową naszego filmu „Śniegu już nigdy nie będzie” na Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdyni, kupienie baloników i dekoracji urodzinowych z „Frozen” (poprawka: znaleźć jakimś cudem najpierw), zamówić tort dla Eli, posprzątać dom po wczorajszym huraganie „Ela”, ugotować mac and cheese, przeczytać scenariusz nowego filmu, zrobić wam jakieś stories, wysłać zdjęcia z autografami na akcje charytatywne, zapłacić rachunki, podlać kwiaty i Bóg wie, co jeszcze. Aha, wypadłoby się w międzyczasie uczesać, ale mogę nie zdążyć – wylicza Weronika. Od samego czytania o wyborze baloników i wysyłaniu autografów czujemy się już zmęczone. A przecież Weronika musiała jeszcze znaleźć czas, by o tym wszystkim opowiedzieć na Instagramie! Bohaterka, na jaką nie zasłużyliśmy! ©©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jakoś niespecjalnie się interesowaliśmy do tej pory tymi przepychankami przy unijnym budżecie. Wyszliśmy bowiem z założenia, iż nie jesteśmy jakimś roszczeniowym wąsatym januszem i że ile Unia nam da, tyle będzie OK. Dlatego

Znacie nas i wiecie, iż jesteśmy tolerancyjni, ale jednak tego nachalnego katolstwa ze strony Nowego z Tarnowa znieść nie możemy. Otóż jak być może wiecie, właśnie trwa Adwent – czas, kiedy katole szykują się na tzw. Boże Narodzenie,

którego bardzo się boimy, iż – jak wiecie – kościoły to największe wylęgarnie koronawirusosoby. Jednocześnie Nowy nie chciał z nami iść na przedwiotherolidayowy shopping, hipokryta jeden xD

aktyl stódeccki
oczyszcza móry óczelki
z zapłótych kartuf
redekcyj...



z zażenowaniem obserwujemy te targi, jakie odstawia ten kraj, narażając na szwank europejską solidarność i jedność. Taka awanturnicza polityka nie doprowadzi do niczego dobrego. Naszym zdaniem należy wziąć, ile dają, i się cieszyć, że w ogóle jest. W dodatku z tego, co zrozumieliśmy, to Unia da nam nawet więcej, jeśli uwolnimy sądy. No, ale wiadomo, że to nie przejdzie, bo Polak to woli być biedny, ale żeby wyszło na jego.

a cywilizowany świat czeka na winter holidays i sezon wyprzedażowy.

Tymczasem Nowy postanowił nas namawiać na roraty, własnoręczne wykonanie lampionu, udział w releksjach i co tam jeszcze katole robią w grudniu. O ile rękodzielnicze warsztaty ekolampionów byłyby jeszcze całkiem spoko, o tyle cała reszta – no kaman.

Zwłaszcza iż Nowy zachęcał nas do udziału w roratach nie w formie zdalnej, ale w postaci tradycyjnego churchingu,

Jak wiecie, dzięki pandemii świat w niektórych obszarach poszedł do przodu i nagle okazuje się, iż można zdekonstruować tradycyjny model szkoły bez szkody i straty dla kogokolwiek. Of kors oprócz nauczycieli, którzy skarżą się, iż w warunkach lekcji zdalnych nie można przeprowadzić uczciwego sprawdzianu albo zadać pracy klasowej, iż osobocznio nie ściągają i są nieuczciwi.

Kochani, wyraźnie widać, iż przede wszystkim winni są tutaj nauczyciele, iż wciąż chcą te sprawdziany robić, a także system, który niejako zmusza młodych ludzi do rozpaczliwego sięgania po źródła zewnętrzne bez powoływania się na nie. Gdyby system nie był nastawiony na systematyczne i uciążliwe sprawdzanie wiedzy, toby uczniowie nie musieli ściągać. Proste?

Wychodzi na to, że szkoła sama generuje problem, z którym następnie usiłuje walczyć. Ale tak to już jest z tymi opresywnymi instytucjami z głębokiego patriarchy. Zamiast w pełni iść z duchem czasu, wciąż starają się wystawiać te swoje oceny, trochę śmieszne to, a trochę smutne. @@



**FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ
Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)**

PODSŁUCHANE

Polak, Węgier

I jak, Mateusz, połapał się ktoś?
Nie, Jarku, moim zdaniem nikt. Wszyscy się tylko śmieją, że miałeś maseczkę na oczach, ale nikt nie wpadł, że to w ogóle nie byłes ty.

Znakomicie. A Viktor?

Viktor chyba coś podejrzewał, zwłaszcza jak nie zdjąłeś... to

znaczy: tamten nie zdjął do jedzenia. Ale nic nie dał po sobie poznać. Jakby to było normalne, że się je zupę w maseczce.

Ale jak on mógł – w maseczce, zupę? Zresztą, nieistotne. Ale nie zbłądził się jakoś?

Nie. W ogóle mało mówił na wszelki wypadek, a ja jeszcze wyjaśniłem, że cię zęby bolą i dlatego taki jesteś milczący ogólnie. Węgierskim się nawet popisał.

A co powiedział?

No, że „Polak, Węgier dwa bratanki”, tylko po węgiersku.

A jak to będzie?

Myślisz, że ja jestem cokolwiek w stanie po węgiersku zapamiętać?

No dobrze, w takim razie wprowadzamy takie rozwiązanie na stałe. Wypróbujemy na najbliższym posiedzeniu Sejmu. Aha, i szukaj już kolejnego, żebyśmy mogli jednocześnie być na Nowogrodzkiej, w Alejach i na Wiejskiej. @@

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Wstydzę się, że jestem Polką”

KLAUDIA JACHIRA, posłanka Koalicji Obywatelskiej, podczas wystąpienia w Sejmie na temat sporu Polski z UE

Trochę już jesteśmy znudzeni podkradaniem nam newsów przez różnych osobników z różnych mediów, którzy najpierw czytają naszą rubrykę, a parę dni później piszą to samo i twierdzą, że „ustalili” albo się „dowiedzieli nieoficjalnie”. Podobno czynią to m.in. dlatego, żeby nie wyszło, że rubryka satyryczna jest lepiej poinformowana od mediów niesatyrycznych. Dlatego najważniejszej dziś wiadomości nadamy formę tradycyjną. Taką w sam raz do cytowania. Oto ona, poniżej.

Jak ustalił tygodnik „Do Rzeczy”, Trybunał Konstytucyjny zamierza uznać za niezgodny z konstytucją przepis o dwukadencyjności w samorządach. Z analiz przeprowadzonych na potrzeby TK wynika, że jest to ograniczenie praw wyborczych gwarantowanych obywatelom przez ustawę zasadniczą. Informację tę potwierdziliśmy w dwóch niezależnych źródłach. Podpisano: Piotr Gociek i Cezary Gmyz, tygodnik „Do Rzeczy”. A teraz proszę cytować.

Jak wynika z powyższej informacji, czeka nas wkrótce nowa świecka tradycja – pijany tydzień w samorządach. Upijać ze szczęścia będą się prezydenci miast i burmistrzowie wszystkich opcji, którym otwiera się w ten sposób ponownie drogę do rządów nawet i dożywotnich.

Co na to Nowogrodzka? Już informujemy. Oprócz wstępnej irytacji, że znów coś tam chochluje ten Trybunał, panuje przekonanie, iż na dłuższą metę politycznie to się może opłacić. Dzięki temu w wyborach parlamentarnych roku 2027 zamiast tysięcy popularnych samorządowców z opozycji pchających się po dwóch kadencjach do Sejmu kandydować będą jak zwykle trzeciorzędne ciamajdy i cymbały, które nie załapały się na frukta samorządowe.

Teraz o europejskich harcach wokół budżetu, funduszu odbudowy i polsko-węgierskiego weta. Niektórzy uważają, że solowe występy wicepremiera Jarosława Gowina przed szczytem ustalone były po cichu z szeregowym wicepremierem Jarosławem Kaczyńskim i premierem Mateuszem. Że to niby taka gra na dwóch fortepianach. Sprawdziliśmy. Nie były ustalone.

Rozmowa z wiewiórką z Nowogrodzkiej. My: „Czy to prawda, że Zizou Ziobro domagał się wymiany premiera przed szczytem?”. Wiewiórka: „My już nie pamiętamy, kiedy się tego nie domagał”. Kurtyna.



Ciekawa rzecz à propos szczytu – że jakoś nikt nie tłumaczy, o co naprawdę chodziło Holandii blokującej porozumienie. Nie o żadną samorządność. Premier Mateusz jest w Amsterdamie znienawidzony od czasu, jak przedstawił plan zwiększenia budżetu unijnego poprzez nie tylko uszczelnienie VAT i rozwój handlu, lecz także ścięcie unijnych rabatów. Tak się składa, że najbardziej na rabatach korzysta Holandia. A tam, gdzie w grę wchodzi duże pieniądze, coś to za strata kilka spalonych polskich sklepów albo zagraniczne poparcie dla rozrób KOZ (Komitetu Obrony Zabijania, dla niepoznaki zwanego Strajkiem Kobiet).

Pamiętamy, jak kiedyś bodaj Rychu, znany też jako Richard Henry Czarnecki, opowiadał o tym, jak niejaki premier Mark Rutte oddelegował niejakiego Timmermansa na front walki z Polską. Wcale nie chodziło o żaden Trybunał Konstytucyjny ani reformę

sądownictwa. Deal był prosty: zostajesz komisarzem, ale masz ocalić holenderski rabat. A teraz jeszcze w dodatku idą w Holandii wybory, więc Rutte musi się licytować z lokalnymi polonofobami, że niby coś robi.

Skoro już o Strajku Kobiet. Cóż, sytuacja zaczyna tam przypominać początek schyłku KOD. Niby nie wiadomo, o co chodzi, a jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze. Liczne działaczki nie są zbyt zasobne, a w dodatku poświęcają własne fundusze na protesty, no i trochę kłują je w oczy nowe kreacje i fryzury pani Lempart. A kobiety znacznie lepiej wiedzą, ile co kosztuje i skąd te pieniądze. Podpowiadamy – a może po prostu ze zbiórek?

Skoro o pieniądzach. Wiewiórki donoszą, że syn i dziedzic oligarchy Jana Kulczyka, niejaki Sebastian, który to musiał oddać państwu grube miliony za pobór na A2 tego, co się Kulczykom nie należało, podjął decyzję o odkuciu się na produkcji maseczek przez firmę Ciech. Szpitale, spółki Skarbu Państwa. Jest tego sporo. A bilans rozliczeń z państwem musi być, jak zawsze, na plus. Dla Kulczyków.

Pamiętacie „trójkąt Buchacza”? Były miliardy, i to państwowe, które stały się nagle niewidoczne jak niewidzialny człowiek Wellsa. Co prawda sądy orzekły, że nic takiego się nie stało, i my w to, oczywiście, głęboko wierzymy. W Lublinie głośno o tym, że syn znanego eksministra z trójkąta, którego nie było, chce zainwestować ponad 100 mln zł w cargo na lotnisku pod Lublinem. Info dedykujemy dobrej zmianie, walczącej z patologiami III RP, bo na lotnisku w Świdniku via sejmik ma ona swoje udziały. Mamy nadzieję, że Kaczyński SWP wie i patrzy, jak zachowa się lubelski aktyw.

Zkultury. Przyszła noblistka Joanna Bator wydaje nową książkę (a co, skoro nagrodę mogła dostać taka Tokarczuk, to dlaczego nie Bator?). Po „Ciemno, prawie noc” teraz dostajemy „Gorzko, gorzko”. Mamy już dla Bator kilka gotowych tytułów na przyszłość: „Ponuro, smutno, syf”, „Rozpacz, koszmarny, gnój” oraz „Bagno, prawie topiel”. To w końcu jedyny sposób pisanie o Polsce, żeby dostawać literackie nagrody. ©

Pekao: warto być blisko!

Mimo pandemii aż 270 wolontariuszek i wolontariuszy Banku Pekao SA w 45 miejscowościach podczas 1,7 tys. godzin zrealizowało 54 projekty, dzięki którym zmienili Polskę na lepsze. #JesteśmyBlisko to już druga edycja szlachetnej akcji zorganizowanej przez Pekao, której bank zamierza nadać cykliczny charakter.

Pracownicy Banku Pekao SA udowodnili, że pomagać ludziom można nawet z zachowaniem reżimu sanitarnego i dystansu społecznego. W przeddzień Międzynarodowego Dnia Wolontariusza, który przypada na 5 grudnia, odbył się finał drugiej edycji akcji #JesteśmyBlisko. W konkursie przyznano ponad 50 grantów na projekty zainicjowane przez wolontariuszy Banku Pekao SA – każdy w wysokości do 4,5 tys. zł.

Pomysłodawcy tegorocznych inicjatyw dostosowali przebieg lokalnych akcji do warunków panujących podczas pandemii koronawirusa. Granty przyznano m.in. na pomoc dla seniorów, organizację wydarzeń sportowych, pomoc dla schronisk i przytulisk dla zwierząt, remont placówek edukacyjnych czy sadzenie drzew.

Na przykład w Koszalinie wolontariusze Banku Pekao SA zamontowali domki dla kotów na zimę, seniorzy z zakładu pielęgnacyjno-opiekuńczego w Otwocku otrzymali kącik biblioteczny wzbogacony o audiobooki, a lubelskie hospicjum dla dzieci koncentrator tlenu dla dzieci cierpiących na niewydolność oddechową.

POMOC NA BANK

Podczas tegorocznej edycji bankowi wolontariusze realizowali projekty w małych grupach, z zachowaniem dystansu społecznego.

– Pracownicy Banku Pekao SA z całej Polski pomagali potrzebującym i przeciwdziałali wykluczeniu przez kilka ostatnich tygodni. Tegoroczna edycja akcji ma szczególne znaczenie ze względu na pandemię COVID-19. Mieliśmy na uwadze, że część pomysłów będzie wymagać pewnej modyfikacji w związku z koniecznością utrzymania reżimu sanitarnego. Trudna sytuacja wywołała pozytywny efekt – wolontariusze chcieli pomagać jeszcze bardziej.

Przezwyciężyliśmy trudności i wspólnie zrealizowaliśmy ponad 50 przedsięwzięć. Cieszymy się, że konkurs #JesteśmyBlisko odbył się ponownie, a w związku z dużym zaangażowaniem wolontariuszy planujemy nadanie akcji cyklicznego charakteru – mówi Piotr Borowiec, dyrektor Biura Wolontariatu i Kultury Korporacyjnej w Banku Pekao SA i prezes Zarządu Fundacji Banku Pekao SA im. dr. Mariana Kantona.

– Angażując się w działania dla wspólnego dobra, możemy się lepiej poznać i wzajemnie wspierać. Bank Pekao SA jest instytucją odpowiedzialną społecznie i nie pozostał obojętny na los Polaków, szczególnie w czasie pandemii COVID-19. Dzięki wsparciu inicjatyw pracowniczych możemy wywołać uśmiech na twarzach osób, którym pomagamy – mówi koordynująca przebieg konkursu grantowego Anna Strukowicz, ekspert w Biurze Wolontariatu i Kultury Korporacyjnej Banku Pekao SA.

APETYT NA POMAGANIE

Pierwszą edycję konkursu grantowego #JesteśmyBlisko, w którym to pracownicy wskazywali, jakie inicjatywy wolontariackie chcieliby zrealizować na rzecz lokalnych społeczności, Bank Pekao SA zorganizował w zeszłym roku, w ramach obchodów swojego 90-lecia.

Sukces przeprowadzonych projektów zaostriżył apetyt wolontariuszy na pomaganie, dlatego bank wraz ze swoją Fundacją im. dr. Mariana Kantona podjął decyzję o uruchomieniu kolejnej edycji. Celem akcji jest wspieranie lokalnych inicjatyw z obszaru edukacji, sportu, kultury i sztuki, ekologii oraz ochrony zdrowia. Każdy pracownik może zgłosić projekt, zaangażować w niego koleżanki i kolegów i wspólnie wystąpić o grant na realizację przedsięwzięcia.





Zemsta lesbijek



Małgorzata Wołczyk

Dlaczego rewolucja feministyczna, zaprojektowana jako walka płci, ma ogromne szanse powodzenia, i to wbrew zdrowym odruchom niedowierzania?

Brutalna pobudka, którą zaserwowały nam liderki Strajku Kobiet, każe uważniej przyjrzeć się fenomenom, które nagle zajrzały nam w oczy nienawistnym wzrokiem rozszerzonej Marty Lempart. Trudno zgadnąć

doprawdy, jakim cudem wulgarna lesbijka nieukrywająca swej niechęci do dzieci i przemawiająca gangstaslangiem stała się dla wielu wyemancypowanych Polek niekwestionowaną liderką, a dla mainstreamowych mediów z Zachodu – wschodzącą gwiazdą. Zdaniem brytyjskiego dziennika „Financial Times” Lempart jest jedną z najbardziej wpływowych kobiet roku 2020. Trzeba przyznać rację, że owszem – „wpływa” na nas i to nawet w formule dwa w jednym, bo gdy dla jednych Polaków jest niemal uosobieniem greckiej bogini zemsty – Furii – i nowym Wałęsą, dla reszty Polaków stanowi raczej powtórkę z Mike’a Tysona w spódnicy. Co ciekawe, Lempart w zestawieniu „FT” pojawiła się obok Ursuli von der Leyen, szefowej Komisji Europejskiej. Obserwu-

jąc popisy pani Lempart, przychodzi ochota złożyć jednak jakieś publiczne votum separatum od tej „pioruńskiej rewolucji”, a nawet życzenie, aby radykalne feministki lesbijskie ufundowały sobie rzeczywiście jakąś trzecią płć i nie wpędzały w zażenowanie milionów polskich kobiet (w tym niżej podpisanej). Trzeba też mieć nadzieję, że jednak unijne urzędniczki zachowają więcej umiaru.

HISTORIA OBŁĘDU

Feminizm radykalny nabiera rumieńców nad Wisłą, warto więc przyjrzeć się historii tego ruchu i nie sposób zamilczeć przy tym matek założycielek: Shulamith Firestone i Kate Millett. Obie niezależnie od siebie są odpowiedzialne za teoretyczne podstawy ruchu, obie to autorki



Parada Krytyczna w Madrycie przeszła w czerwcu ulicami miasta mimo pandemii i obostrzeń

FOT. MARCOS DEL MAZO/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

wiekopomnych książek, z których nie wiadomo, która lepsza w kategorii „dopust Boży za wynalazek druku” za rok 1970: czy „Dialektyka seksu” tej pierwszej, czy „Polityka seksu” tej drugiej. Obie miotające się w swych tożsamościach, choć Millett była jawną lesbijką. Obie umościły się w centrum zainteresowania, dowodząc niezbicie, że grafomania na styku feminizmu i komunizmu to klucz do sukcesu. To im zawdzięczamy wynalazek rewolucji już nie na bazie klas, lecz płci. Główna teza Firestone na podstawie dzieł Engelsa, de Beauvoir i Marcusego głosi, że „istnieje bardziej radykalna dialektyka niż walka klasowa: biologiczna niewola, która leży u podstaw ucisku kobiet”. W książce ubolewała nad faktem, że rewolucja bolszewicka nie zdołała zniszczyć rodziny, która „jest

źródłem ucisku psychologicznego, ekonomicznego i politycznego”. Ale to nie koniec, ponieważ postulowała zniesienie dzieciństwa („swobodne dystrybuowanie dzieci”) oraz normalizację pedofilii i kazirodztwa (nawet między synem a matką).

Kate Millett sformułowała zaś teorię patriarchatu i ucisku seksualnego kobiet, które wymagają przeprowadzenia nowej rewolucji. Walczyła z miłością romantyczną, tym „opium dla kobiet”, które pozwala mężczyznom na manipulowanie bezwolnie zakochanymi kobietami i ich wykorzystanie. Obie autorki czerpały mnóstwo z de Beauvoir i jej książki „Druga płeć”. I co w tym najciekawsze – obie dzieliły intensywne doświadczenia chorób psychicznych, Firestone cierpiała na schizofrenię, a Millett na zaburzenia afektywne dwubiegunowe i ataki całkowitej niepoczytalności. Obie były hospitalizowane w szpitalach psychiatrycznych, co powinno podać w wątpliwość wartość ich „opera omnia”, a jednak wciąż są na poważnie studiowane.

BYĆ NIEGRZECZNĄ

Ale oto idzie nowe, bo – jak twierdzi doświadczona analityk katastrof rewolucji Mary Eberstadt – już nie chodzi o uwolnienie się od „struktury męskiej opresji”, ale o bycie niegrzeczną. W warunkach polskich – „słusznie wkuwioną”. Eberstadt opisuje nowe pokolenia kobiet skrzywdzonych, wychowywanych bez ojców lub w nieufności wobec mężczyzn, które chcą odplacić za urazy jeszcze większą dawką agresji, aby zakomunikować: „jesteśmy silne”, „gotowe na wszystko”. Lesbijki są wyjątkowo wulgarne, tak jakby przysłowiowym rzucaniem mięcha musiały nadrobić niedostatki fizyczne do próby powalenia przeciwnika. Według Eberstadt za wymowny obrazek tej agresji służy popularna piosenkarka Pink, która – jak mówi – „bywa lesbijką, bo przynosi jej to zaszczyc”. „Jestem dziwką tak jak ty, zer...ę cię”. Te i inne wulgaryzmy to lejtmotyw jej twórczości, a tłumy zauroczonych dzieciaków śpiewają wraz z nią. To samo zresztą dolega już całkiem zagubionej Miley Cyrus, która także była lesbijką aktywistką, choć w zasadzie jest panseksualna (cokolwiek to znaczy). Wiele piosenek, które podają się za feministki, kręci teledyski w stylu porno, pokazujące ich rozwiąłość, ale kiedy feministki „starej szkoły” robią im uwagi o uprzedmiotowieniu kobiety, zamiast odpowiedzi otrzymują strumień zniewag.

O ile jednak aktywistki lesbijskie z show-biznesu mają umiarkowany wpływ

na życie społeczne, o tyle bać się należy lesbijek prących do władzy i wpływania na życie publiczne. Lepiej pilnie obserwować aktywistki, które pracują nad świadomością ludzi Zachodu, wiedząc przecież, że Polki wcześniej czy później skopiują wszystkie, najbardziej nawet bzdurne pomysły. Tak było parę lat temu, gdy Sylwia Chutnik (od niedawna otwarcie deklarująca się jako lesbijka) opublikowała tekst o „rozkroczach w metrze”, czyli rozkraczonych panach, którzy powodują, że „kobiety ze związanymi po pensjonarsku kolanami walczą o każdy centymetr przestrzeni”. A przecież i ta opresja została już dużo wcześniej omówiona na łamach zachodnich pism przez siostry w ucisku. Wystarczy więc brać na warsztat wykwyty trendów z Zachodu i przepisywać, wdrażać, nauczać rodaków. Jak byśmy marnie żyli bez tych popisów kreatywności feministyczno-lesbijskiej, gdyby np. nie szlachetna działalność „aktywistki queer-anti-fascism” Alicji Nauman (córki Pauliny Młynarskiej), która publikowała swoje nagie zdjęcia pośród worków na odpady w myśl wytycznych zachodniego ekofeminizmu. Przy okazji dobrze byłoby dostarczyć wreszcie młodocianym ignorantom, owym queerantafaszystom garść wiedzy o tym, w jaki sposób kubańscy komuniści czynnie kultywowali ducha homofobii: zabijając, prześladować i skazując tysiące homoseksualistów na obozy koncentracyjne. No ale przecież Che Guevara tak ładnie komponuje się na lewackich T-shirtach.

OBOZY DLA MĘŻCZYZN

A skoro o obozach mowa, rewolucjonistki feminizmu po cichu zaczynają wzmiankować o obozach koncentracyjnych dla mężczyzn. W wywiadzie na stronie radykałek z RadFem Collective niezwykle znana „lesbijka polityczna” Julie Bindel mówi wprost: „Ja naprawdę umieściłbym wszystkich facetów w jakimś obozie, gdzie mogliby sobie jeździć na quadach, rowerach lub w samochodach dostawczych. Dałabym im całą gamę pojazdów, przy tym żadnych filmów porno. No i żeby nie byli w stanie walczyć – oczywiście należałoby trzymać ich pod strażą! Kobiety, które chciałyby spotkać się ze swoim synem lub ukochanym, mogłyby ich odwiedzić lub zabrać niczym książkę z biblioteki, a następnie przywieźć z powrotem. Mam nadzieję, że heteroseksualność nie przetrwa, naprawdę. [...] Ponieważ patriarchat to jedno wielkie gówno”.

Uwaga, autorka jest poczytną dziennikarką „The Guardian”, więc lepiej nie lekceważyć jej prognoz i opinii.

Uprawnione jest marzenie o eliminacji heteroseksualności, ale nie próbujemy sobie nawet wyobrazić, co by było, gdyby ktoś miał podobne życzenia względem homoseksualistów. Bo tam, gdzie pojawia się feministka od literki L w tęczowym skrótowcu, zaczyna się zwykle przemeblowywanie świata na nowo. Wiedzą o tym doskonale Hiszpanie, ciężko doświadczeni już orwellowskim światem. Pierwsza para aktywistek feminizmu lesbijskiego, czyli Boti García Rodrigo i Beatriz Gimeno, które w 2005 r. wzięły ślub, a w 2013 r. się rozwiodły, zajmują dziś kierownicze stanowiska w ministerstwie równości w Madrycie. Czym zajmują się ekszóny w resorcie o tak doniosłej roli?

Boti García Rodrigo stoi na czele Dyrekcji Generalnej ds. Różnorodności Seksualnej i Praw LGBTI, czyli organu odpowiedzialnego za promocję i rozwój środków gwarantujących prawa do równego traktowania i niedyskryminacji lesbijek, gejów, osób biseksualnych, transseksualnych, transpłciowych i interseksualnych (LGBTI+). Ekszona stoi zaś na czele Instytutu Kobiety ds. Równych Szans, jest słynną autorką esejów w rodzaju „Etyczne podstawy pieprzenia się” („Las bases éticas del follar” – tytuł oryginalny, gdyby ktoś nie dowierzał).

Instytut, którym kieruje Gimeno, szkoli dziennikarzy, urzędników i pomaga w przygotowaniu prac naukowych z zakresu gender studies. Jak mówi jego szefowa, instytut jest miejscem debaty i „konstruowania wiedzy feministycznej oraz jej gromadzenia”. W programie instytutu jest też walka o przywrócenie prawa do wolnej aborcji nieletnich matek bez zgody ich rodziców (tak jak wcześniej stanowiło prawo Zapatero). Cała ta hucpa-instytucja, bo trudno poważnie traktować zinstytucjonalizowaną paranoję ze snu szalonej feministki, jest finansowana nie małymi kwotami z budżetu państwa. Jak obliczyli dziennikarze, każda z pań zarabia przynajmniej 55 tys. euro rocznie na tymże „konstruowaniu wiedzy feministycznej” (nie wspominając o reszcie innych pracowników ministerstwa równości, w którym decyzyjnymi są równouprawnienia (!) pracodawcą mogą ponoć wyłącznie kobiety).

Najciekawsza w tym wszystkim jest jednak kontrowersja, która ciągnie się za szefową Instytutu Kobiety, panią Gimeno, czyli jej postulat skierowany do wszystkich

kobiet heteroseksualnych, aby uwolniły się wreszcie od narzuconej przez opresyjny patriariat seksualności na rzecz szczęśliwego życia w związkach lesbijskich. I przykro mi, ale nie oszczędzę państwu wiedzy o tym, co czują Hiszpanie, gdy słyszą kolejną pertę feminizmu lesbijskiego z ust urzędniczki ministerstwa równości: jeśli heteroseksualne kobiety nie są w stanie porzucić dotychczasowych praktyk na rzecz życia w związku lesbijskim, to przynajmniej w ramach symbolicznego równouprawnienia powinny penetrować analnie swoich partnerów. Dokładnie, pani Gimeno wyjaśnia to następująco: „Odbyt jest jedną z głównych stref erogennych, szczególnie dla mężczyzn. Aby nastąpiła prawdziwa zmiana kulturowa, hegemoniczne i heteronormatywne praktyki seksualne muszą również ulec zmianie, a bez tej zmiany, która wpływa na symbolikę i konstrukcję podmiotowości, nie dojdzie do prawdziwej zmiany społecznej, która zrównuje mężczyzn i kobiety”.

Problem w tym, że radykalizm Gimeno nie jest niczym odosobnionym, bo współczesny radykalny feminizm czwartej fali na Zachodzie (i nie tylko ten lesbijski) od dawna głosi: „Heteroseksualizm NIE jest naturalnym sposobem życia ani naturalną seksualnością, ale jest raczej narzędziem politycznym i społecznym, aby podporządkować kobiety mężczyznom”. Również rok temu ukazał się na łamach „El País” artykuł Paula B. Preciado, transseksualnego feministycznego filozofa pt. „Heteroseksualność jest groźna”. Nie próbujmy sobie nawet wyobrazić istnienia podobnego tytułu, ale odnoszącego się do homoseksualizmu. To pod hasłem „Heteropatriarchat zabija bardziej niż koronawirus” progresistowski, socjalistyczny rząd Hiszpanii wyprowadził 8 marca na ulice setki tysięcy kobiet w czterech największych miastach Hiszpanii, doprowadzając do wybuchu pandemii na niepowstrzymaną skalę.

MODEL LACLAU

Dlaczego rewolucja feministyczna, zaprojektowana jako walka płci, ma ogromne szanse powodzenia, i to wbrew zdrowym odruchom niedowierzania? Całe to szaleństwo wiernie odtwarza model działania politycznego zaprojektowany przez Ernesta Laclau. Laclau (1935–2014) był filozofem, przedstawicielem postmarksizmu, który oparł swe idee na dziele Gramsciego. To on w wojującym feminizmie odkrył ogromny

potencjał rewolucyjny. Uważał, że tylko w skonfliktowanym społeczeństwie, najeżonym antagonizmami, można zbudować lewicową hegemonię. I rzeczywiście, coś bardziej konfliktowego od „wk...ionych” feministek, które oglądamy dzięki uprzejmości Marty Lempart i spółki?

O HOMOSEKSUALISTACH TYLKO DOBRZE!

Nie tylko w Polsce panuje ciche przekonanie, ścigane zresztą przez komisarzy ds. myślozbrodni, że lesbijki nie grzeszą urodą. Ikoniczna nieżyjąca już radykalna aktywistka Andrea Dworkin, widząca w każdym mężczyźnie gwałciela (bo każdy, nawet dobrowolny akt płciowy stanowił według niej „fizjologiczny sposób poniżenia kobiety”), była monstrem gruba, niezadbana i na bakier z higieną. A jednak w świecie zwariowanym na punkcie jedzenia fit, diet i sportu lesbijki zostały zwolnione z ocen, a nawet cenzurą zaczyna się obejmować pisanie o psychicznych zaburzeniach założycielek ruchu, stąd coraz trudniej o dotarcie do prawdy. Przeglądając zachodnie dzienniki, można nabrać przekonania, że o homoseksualistach tylko dobrze lub wcale. Mało tego, zaczynają się ukazywać artykuły, takie jak na stronach BBC News, które rozpatrują homofobię w kategoriach choroby psychicznej. Od kiedy Światowa Organizacja Zdrowia wykreśliła homoseksualizm z listy zaburzeń, to homofobia znalazła się pod czujnym okiem naukowców. Pionier badań, psycholog amerykański George Weinberg, napisał w swojej książce „Społeczeństwo i zdrowy homoseksualista” (1972): „Nigdy nie uważałbym pacjenta za zdrowego, gdyby nie przewyciężył on uprzedzeń wobec homoseksualizmu”.

Podobnie twierdzi włoski profesor endokrynologii i seksuologii Emanuele A. Jannini: „Homofobia jest związana z pewnymi cechami osobowości, a jeśli dodamy do tego przemoc, można to zdiagnozować jako chorobę psychiatryczną”. Swoje wyniki prac na temat związku homofobii z psychotycznością opublikował w 2015 r. na łamach „Journal of Sexual Medicine”.

Nic dziwnego, że Marta Lempart ma w sobie tyle rozbustowanej energii i drapieżnej pewności siebie. Jeszcze jedno pokolenie i może się okazać, że pobyt w obozach reedukacyjnych albo w psychuszkach sponsorować nam będą na naszej nowej ulicy sezamkowej literki LGBTI+.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



NA
KONCERT

GIN TROWSKI

Alteiny jak wipch wczesniej

ZAPRASZA

ME
CE
NAS
KONCERTU



ORLEN



Bolszewickie „wyzwolenie” kobiet



Mirosław Szumiło

Postulaty wysuwane przez aktywistki tzw. Strajku Kobiet nawiązują często wprost do haseł głoszonych przez bolszewików już ponad sto lat temu i wcielanych w życie w czasie rewolucji w Rosji

W grudniu 1917 r. przywódca bolszewików Włodzimierz Ilicz Lenin podpisał serię dekretów likwidujących w praktyce instytucję małżeństwa

oraz znoszących wcześniejsze kary za usuwanie ciąży. Tak zaczęła się w Rosji bolszewicka rewolucja seksualna, zmierzająca do „wyzwolenia kobiety” poprzez rozbicie rodziny i zniszczenie starej, tzw. burżuazyjnej moralności.

Rewolucja miała w sposób fundamentalny zmienić położenie kobiet i stosunki między płciami. Karol Marks i Fryderyk Engels pisali o tym już w „Manifestie komunistycznym” w 1848 r. Marksistowską teorię rodziny sformułował następnie Engels w dziele „Pochodzenie rodziny, własności prywatnej i państwa”. Stwierdził, że rodzina monogamiczna nie była dla pierwotnych ludzi instytucją naturalną, lecz powstała w drodze koncentracji większych bogactw w rękę jednego mężczyzny w celu dziedziczenia

tych bogactw przez jego dzieci. Dominacja mężczyzny nad kobietą w rodzinie była według niego „pierwszym klasowym uciskiem”, w którym mężczyzna był „burżujem”, a kobieta reprezentowała „proletariat”. Aby wyzwolić seksualnie kobietę, należało ją uwolnić od domowych obowiązków i wysłać do pracy zarobkowej. Opiekę nad dziećmi i ich wychowanie miało przejąć całe społeczeństwo.

Do tej tezy często odwoływał się przywódca bolszewików. 4 marca 1920 r. Lenin wygłosił mowę z okazji międzynarodowego dnia robotnic, którą mogłaby dziś wygłosić niejedna feministka: „Wciągnąć kobietę do pracy w produkcji społecznej, wyrwać ją z niewoli domowej, wyzwolić ją od zależności – oteplia-



Na zdjęciu mniejszym: Aleksandra Kołłontaj zwana „apostolką wolnej miłości”. Na zdjęciu dużym: manifestacja w obronie praw kobiet w Piotrogradzie w 1917 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

jącej i upokarzającej – od przebywania wciąż i wyłącznie w kuchni czy przy dzieciach – oto główne zadanie. Jest to walka długotrwała, wymagająca zasadniczej przebudowy techniki społecznej i obyczajów. Lecz walka ta zakończy się całkowitym zwycięstwem komunizmu”.

PIERWSZY URZĄD FEMINISTYCZNY

W propagowaniu i we wcielaniu w życie radykalnego marksistowskiego feminizmu główną rolę odegrała Aleksandra Kołłontaj, zwana „apostolką wolnej miłości”. Stanowczo odrzucała ona możliwość współpracy z brytyjskimi sufrażystkami, nazywając je burżujkami. Tylko rewolucja komunistyczna miała skutecznie wyzwolić kobiety spod męskiej dominacji.

W rządzie bolszewickim objęła funkcję komisarza do spraw opieki społecznej. Założyła tzw. Żenotdieł, czyli pierwszy na świecie urząd do spraw kobiet.

W 1919 r. Kołłontaj opublikowała książkę „Nowa moralność a klasa robotnicza”, w której lansowała tezę, że kobiety należy wyzwolić nie tylko pod względem ekonomicznym, lecz także psychologicznym. Wyzwolenie miało polegać na zniszczeniu tradycyjnej moralności seksualnej i tradycyjnego małżeństwa, jako wymyślonego rzekomo przez mężczyzn w celu zniewolenia kobiet. Seks bez zobowiązań miał wpoić kobietom nawyk chronienia swojej osobowości w społeczeństwie opanowanym przez mężczyzn. Wszelkie formy związków seksualnych były więc dopuszczal-

ne. Ostatnim elementem była faktyczna likwidacja miłości macierzyńskiej i oddanie dzieci pod opiekę państwa. Z biegiem czasu to wszystko miało doprowadzić do zaniku rodziny.

Pierwszym obiektem ataku bolszewików było zatem małżeństwo. Sowiecki dekret z 16 grudnia 1917 r. zezwalał obu małżonkom na rozwiązanie związku jedynie ze względu na tzw. niezgodność charakterów. Był to pierwszy tego typu akt prawny na świecie. Aby uzyskać rozwód, wystarczyło, że jeden z małżonków wniósł do sądu odpowiednie podanie. Nowy kodeks rodzicielski i małżeński z 1926 r. w praktyce zrównał ze sobą małżeństwa i związki nieformalne. Oświadczenie o rozwiązaniu małżeństwa mogli złożyć mąż albo żona bez powiadomienia drugiej strony. Wystarczyło posłać kartkę pocztową do urzędu stanu cywilnego. Dziennikarz Kolcow pisał: „Rozwód kosztuje teraz trzy ruble [...], nie trzeba żadnych formalności, dokumentów, wezwań, nawet zawiadomienia osoby, z którą bierzesz rozwód. [...] Za trzy ruble – czemuż się nie zabawić”.

Kołłontaj, mówiąc o równouprawnieniu płci, posługiwała się bardzo prostym porównaniem: dzięki bolszewikom zaspokojenie popędu płciowego miało być tak łatwe jak wypicie szklanki wody. Jej celem było „wyrwanie kobiety z seksualnej pańszczyzny”, ale skutki wprowadzania w życie teorii wolnej miłości okazywały się często odwrotne do zamierzonych. Rosyjscy rewolucjonści rozumieli ją bowiem w uproszczony sposób. Latem 1918 r. w Moskwie został rozpowszechniony „dekret o uspołecznieniu pańienek i pań”. We Włodzimierzu miejscowy komitet rewolucyjny wprowadził obowiązek rejestracji kobiet między 18. a 30. rokiem życia, a mężczyźni otrzymywali specjalne talony na ich „użytkowanie”.

OBOWIĄZEK ZASPOKAJANIA

Na pierwszym zjeździe młodzieżowego Komsomołu przyjęto statutowy zapis nakładający na każdego komsomolca i komsomolkę obowiązek zaspokajania popędu płciowego współtowarzyszy. Wprowadzenie przez bolszewików edukacji seksualnej spowodowało wielką falę gwałtów na dziewczynach pochodzących ze starych elit, dokonywanych przez proletariackich kolegów z klasy. Wprowadzali oni w życie rewolucyjne pomysły, za jednym zamachem

■ zwalczając „wrogów ludu” i wyzwalając ich od reakcyjnych przesądów. Większość rosyjskich studentów twierdziła w latach 20., że miłość i małżeństwo to „burżuazyjne przeżytki”, a komuniści powinni prowadzić niczym nieskrępowane życie seksualne – im mniej w związkach damsko-męskich uczucia, tym bardziej mają one komunistyczny charakter. Małżeństwo miało ograniczać wolność i poniżać kobiety.

W 1923 r. w Moskwie połowa dzieci rodziła się w związkach pozamałżeńskich. Masowe ciążę nastolatek stały się normą. Odgórnie zaprojektowana „wolna miłość” zamiast świadomego seksu zaowocowała także plagą prostytucji, zbiorowych gwałtów, niechcianych dzieci oraz chorób wenerycznych (zwłaszcza syfilisu). W 1926 r. w jednej z moskiewskich fabryk ponad 50 proc. robotnic miało tego typu schorzenia.

Sowiecki kodeks rodzinny w intencji jego twórców był właśnie ostatnim krokiem na drodze do zaniku rodziny jako komórki społecznej. W „Małej encyklopedii sowieckiej” stwierdzono, że „rodzina była pierwotną formą niewolnictwa”, i zapowiadano rychłe jej obumarcie wraz z własnością prywatną i państwem. Obowiązujące w latach 20. hasło brzmiało: „Rozbijając ognisko rodzinne, wymierzamy ostateczny cios ustrojowi burżuazjyzmowi”. Doktor Grigorij Batkis w broszurze „Rewolucja seksualna w Związku Sowieckim” pisał, że burżuazyjna rodzina z mężem i żoną powinna zostać zastąpiona „komsomolską komuną”, w której współżyje ze sobą kilkanaście osób.

Bolszewicy postanowili przejąć pieczę nad wszystkimi dziećmi w chwili ich narodzin, odbierając je rodzicom i umieszczając w żłobkach. Oficjalnie chodziło im o uwolnienie kobiet od zajmowania się dziećmi, aby mogły całkowicie poświęcić się pracy zawodowej. Faktycznie zaś o indoktrynację i stworzenie tzw. nowego człowieka. Urzędniczka Ludowego Komisariatu do spraw Narodowościowych Złata Lilina w 1921 r. stwierdziła, że umieszczając dzieci poza domem, działa się dla ich dobra: „Rodzina ma charakter indywidualistyczny i egoistyczny i jeśli dziecko wychowuje się w niej, to staje się w dużej mierze aspołeczne i nabiera egoistycznych skłonności... Wychowanie dzieci nie jest prywatną sprawą rodziców, lecz zadaniem społeczeństwa”.

Żłobki i sierocińce miały być „doskonałymi zarodkami komunizmu”.

MARSZ LESBIJEK W MOSKWIE

W praktyce system był niewydolny i na ulicach sowieckich miast można było spotkać tysiące dzieci nieczyich, tzw. bezprizornych. Na założenie aż tylu żłobków i domów dziecka brakowało funduszy i personelu. Sposobem regulacji urodzin i zapewnienia seksualnej przyjemności bez odpowiedzialności stała się aborcja na życzenie jako – mówiąc słowami Lwa Trockiego – jedno z „najważniejszych praw cywilnych, politycznych i kulturalnych”. Na mocy dekretu z 18 listopada 1920 r. każda kobieta miała prawo do bezpłatnej aborcji na własną prośbę pod warunkiem, że przeprowadzi ją lekarz w szpitalu. Było to pierwsze tego typu prawo na świecie (w komunistycznej Polsce doszło do tego w 1956 r., a np. w Wielkiej Brytanii w 1967 r.). Efektem był szybki spadek współczynnika urodzeń w Związku Sowieckim. W 1928 r. szacowano, że 41 proc. ciąż zakończyło się aborcją, a w 1934 r. już 72 proc. To była prawdziwa rzeź nienarodzonych dzieci. Jeden z badaczy stwierdził: „W latach 20. XX w. w Rosji została stworzona swoista kultura aborcyjna – dostosowanie i przyzwyczajanie społeczeństwa do szerokiego stosowania aborcji jako głównego albo nawet jedynego sposobu regulacji liczby dzieci w rodzinie”.

Bolszewicy byli prekursorami także w organizowaniu imprez przypominających współczesne „parady miłości”. W grudniu 1918 r., w rocznicę uchwalenia dekretu o zniesieniu małżeństwa, odbył się w Moskwie marsz lesbijek. Trocki w swoich wspomnieniach zanotował, że na wiadomość o tym marszu Lenin zareagował entuzjastycznie: „Tak trzymać, towarzyste, tak trzymać”. Pod hasłem „Precz ze wstydem” w Moskwie i Piotrogradzie grupy 6–10 osób obojga płci chodziły bez ubrań do kin, cerkwi, stołówek, jeździły komunikacją miejską. Kobiety miały na sobie tylko buty i torebki. Pisał o tym w swoim „Dzienniku” Michaił Bułhakow, wskazując na niezadowolenie normalnych ludzi, a samą inicjatywę określając mianem „ataku przemocą symboliczną”, mającą na celu rozbicie tradycyjnego obrazu świata.

W końcu lat 20. władze bolszewickie zaczęły jednak stopniowo ograniczać wolność seksualną, która wymknęła się spod ich kontroli. Totalitarne państwo

nie mogło na to pozwolić. Przede wszystkim potrzebowano milionów robotników i zdrowych żołnierzy, którzy mieli rozszerzyć komunizm na cały świat. Stalin doszedł do słusznego wniosku, że efektywnym wychowaniem nowych bojowników i „budowniczych socjalizmu” może zająć się tylko tradycyjna rodzina, oczywiście poddana kontroli ze strony państwa. W 1936 r. wprowadzono zakaz aborcji (zniesiony w 1956 r.), utrudniając także procedurę rozwodową.

Równouprawnienie kobiet nie przyniosło im wyzwolenia, lecz doprowadziło do jednego z największych paradoksów systemu sowieckiego. Na ich barkach spoczywał główny ciężar życia, a zarazem nie miały one praktycznie żadnego prawa głosu w kwestiach ich dotyczących. Kobiety wykonywały najcięższe prace fizyczne w fabrykach, a jednocześnie spełniały wszystkie obowiązki domowe. Bolszewicka polityka radykalnej przebudowy społeczeństwa i stopniowego zaniku rodziny nie zakończyła się pełnym sukcesem, ponieważ w ówczesnych warunkach nie mogła być zrealizowana. Dalekosiężne skutki tej polityki są natomiast widoczne we współczesnej Rosji w postaci masowych aborcji i demoralizacji młodzieży.

SKĄD CZERPAŁO WZORCE

Bolszewicka rewolucja seksualna zainspirowała feministki i „specjalistów od seksu” z innych krajów. Przyjeżdżali oni masowo do Związku Sowieckiego w latach 20., aby podziwiać wzorcowe „swobody seksualne”. Spadkobiercami idei rewolucji seksualnej okazali się niemieccy marksiści. Dzięki nim Berlin był wówczas stolicą libertynizmu obyczajowego w Europie. Po dojściu Hitlera do władzy uciekli za ocean i krzewili swoje poglądy w środowiskach akademickich USA. Wilhelm Reich i Herbert Marcuse zostali idolami zrewoltowanej młodzieży w czasie rewolucji seksualnej lat 60.

Neomarksizm, odwołujący się m.in. do idei „wyzwolenia” kobiety, czyli rozbijania rodziny, i „burżuazyjnej moralności”, praktycznie zwyciężył w niemal całym świecie zachodnim. Polska wciąż jeszcze opiera się tym wpływom, nad czym ubolewają lewicowe feministki i próbują wprowadzić u nas w pełni zdobycze bolszewickiej rewolucji seksualnej sprzed stu lat.

© All rights reserved

Autor jest doktorem habilitowanym, historykiem, pracownikiem Instytutu Pamięci Narodowej, profesorem UMCS.



WYDARZENIA

Sprawdzone i obiektywne informacje

POGODA

Prognoza, która się sprawdza

interia

SPORT

Zawsze w centrum sportowych emocji

KUCHNIA

Smaker. Setki inspiracji kulinarnych

PŁOTKI

Pomponik. Gorące newsy ze świata show-biznesu

interia

**PORTAL, KTÓRY TOWARZYSZY MI
KAŻDEGO DNIA**

Zderzenie ze ścianą



Piotr Semka

Niemiecka dominacja nad Unią Europejską przestała już nawet potrzebować francuskiej asysty. A Zjednoczona Prawica pęka coraz bardziej

Awięc wszystko już wiadomo. Mateusz Morawiecki i Viktor Orbán kupili w Brukseli trochę czasu za cenę niejasnych stwierdzeń, które w przyszłości mogą zaszkodzić ich krajom. Równie ważne jest podkreślenie, że doszło do niedobrego precedensu, który zaciąży na przyszłości Unii Europejskiej.

Sprawa powiązania wypłaty funduszy unijnych z praworządnością stanowi bowiem kolejny punkt w rozwoju UE i w kwestii stosunku polskich elit do integracji europejskiej. Można też obserwować dalszą prymitywizację dyskursu. I wreszcie cały spór z Brukselą wyraźnie pokazał linię podziału,

a nawet pęknięcie w obozie Zjednoczonej Prawicy. Spróbujmy podsumować te zmiany w trzech punktach.

1. SIŁA NAD PRAWEM

Premier Mateusz Morawiecki po przybyciu na szczyt zadeklarował: w konkluzjach Rady Europejskiej ocze-



FOT. JANA LEJARD/ELJEP

w systemie unijnym. Jeśli podsumować przecieki dotyczące targów między Polską i Węgrami a niemiecką prezydenturą, to porozumienie ma zawierać się w trzech punktach.

Po pierwsze, przyjęte rozporządzenie dotyczące praworządności i finansów unijnych nie może być stosowane do oceny prawa rodzinnego czy kwestii emigracji. To ważne, ale pozostawia nadal pole do atakowania każdej próby zreformowania wymiaru sprawiedliwości w Polsce. Po drugie, obietnice, które mają się znaleźć w konkluzjach, mają być deklaracją, że mechanizm nie będzie używany arbitralnie. I to już jest obietnica, która niewiele znaczy. Każdy może to interpretować, jak chce. Niewiele też znaczy obietnica, że kraje zagrożone odbieraniem pieniędzy będą mogły żądać, by sprawą mógł się zająć szczyt europejski. Na takim szczycie, jak pokazuje praktyka, kraj, który będzie chciał przeforsować ukaranie Polski czy Węgier, znajdzie łatwo większość. Po trzecie, Polska i Węgry, jak się zdaje, otrzymają obietnicę, że reszta krajów będzie czekać ze stosowaniem mechanizmu karania do werdyktu Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Daje to odroczenie o blisko dwa lata. Jednak niewykluczone, że Trybunał może zaskoczyć wszystkich i rozpatrzyć sprawę ekspresowo szybko.

To ostatnie osiągnięcie oznacza, że Morawiecki i Orbán jedynie kupili sobie dwa lata oddechu. Dla Orbána to dobry interes, bo ma wybory za blisko półtora roku. Dla Morawieckiego już jednak nie – akurat na rok przed wyborami mechanizm może wejść

Wprowadzony teraz nowy mechanizm będzie używany do atakowania polskich reform wymiaru sprawiedliwości

kujemy zapisów rozdzielających kwestie kontroli budżetu od kwestii praworządności. Ta deklaracja oznacza przyjęcie zasady powiązania praworządności z budżetem w tekście ustawy, a targowanie się jedynie o kształt konkluzji, czyli dokumentu towarzyszącego ustawie, niemającego rangi prawnej

w życie. To może być idealny moment, aby doszczętnie ośmieszyć PiS i zademonstrować jego słabość wobec Brukseli przed kolejnymi wyborami do Sejmu. Tyle o umiarkowanych osiągnięciach.

Jeżeli do wprowadzenia konkluzji szczytu dojdzie, to i tak nie zmieni to

faktu, że przyjęto rozwiązanie łamiące faktycznie i teoretycznie traktat unijny. Mamy do czynienia z sytuacją, w której niemiecka dominacja nad Unią przestała nawet potrzebować francuskiej asysty. Kraje, które wyrażały zrozumienie dla stanowiska Polski i Węgier, wycofały się z głośnego deklarowania takiego stanowiska albo przekupione jak Portugalia, albo zastraszone jak Słowenia. Politycy PiS w zbyt łatwowny sposób opowiadali o rosnącym poparciu dla ich wątpliwości, zapominając, że Niemcy potrafią takie głosy protestu sprawnie uciszać. Bardzo trafne było przypomnienie przez publicystę Grzegorza Górnoego filmu „Dorośli w pokoju” zrealizowanego na podstawie książki greckiego ministra finansów Janisa Warufakisa.

Opisał on w swojej książce, którą potem sfilmował reżyser Costa-Gavras, jak brutalnie skuteczni potrafili być Niemcy w stosowaniu metody kija i marchewki. Są wyjątkowo sprawni – jak pisał Warufakis – w wywoływaniu rozłamów w obozie, aby zmiekczyć stanowisko negocjacyjne oponentów.

Bardzo charakterystyczny jest opis Greka dotyczący tego, jak niemieccy negocjatorzy potrafili wyizolowywać przeciwników tak, aby mieli coraz większe poczucie osamotnienia nawet w swoim obozie.

Ten mechanizm w pełni widać było teraz przy negocjacjach z Budapesztem i Warszawą. Bardzo istotną rolę w osłabianiu polskiej pozycji negocjacyjnej odegrało lipcowe pochopne poparcie projektu przez Mateusza Morawieckiego, który za dobrą monetę wziął dżentelmeńskie obietnice złagodzenia zagrożeń ustawy w stosunku do Polski. Gdy okazało się, że jest to rozgrywka, w której gra się znaczącymi kartami, Morawiecki co prawda usztywnił swoje stanowisko, ale trudno orzec, w jakim stopniu był zdeterminowany do czołowego zderzenia na grudniowym szczycie. Co więcej, nie sposób było rozróżnić, kiedy spór na linii Morawiecki-Ziobro dotyczy samej istoty „pieniędzy za praworządność”, a kiedy jest elementem banalnego sporu na polskiej scenie politycznej – „kto kogo”. Dziś nie jesteśmy w stanie ustalić jednoznacznie, czy Orbán zaczął negocjacje z Niemcami, bo nie wierzył w determinację Morawieckiego w kwestii weta, czy było na odwrót – to Orbán chciał

■ załatwić odroczenie o dwa lata mechanizmu, a Polska dość biernie kupiła jego wyniki rozmów z Niemcami.

Podsumowując – nadal istnieją podstawy do obaw, że nowy mechanizm będzie używany do atakowania polskich reform w systemie sprawiedliwości. A w szerszym planie, jak wskazuje np.

W przypadku mediów było wyraźnie widać, jak wiele z nich kupowało strategie negocjacyjne niemieckiej prezydencji

Jacek Saryusz-Wolski, powstał mechanizm mogący gwarantować wykluczenie politycznej części sceny partyjnej. Innymi słowy, lewica i liberalowie zagwarantowali sobie absolutny monopol na władzę poprzez mechanizm finansowy, który podetnie nogi każdemu rządowi partii tożsamościowych.

2. ABSOLUTNY ZANIK KRYTYCYZMU WOBEC UNII

Opozycja polska na czele z Platformą Obywatelską, za którą dzielnie podążały lewica, PSL i ruch Szymona Hołowni, wykazała w ostatnich paru tygodniach absolutną prymitywizację myślenia o Unii Europejskiej jako tworze, którego jakoś powinna być w interesie obu stron polskiego życia politycznego. Za najważniejsze uznawano zastrzyk unijnych pieniędzy i sugerowano, że absolutnie nic więcej się nie liczy.

Teoretycznie opozycja powinna wziąć pod uwagę, że wskutek wejścia zasady „finanse za praworządność” sama może być w przyszłości postawiona pod ścianą przez najważniejszych graczy unijnych. Tak jednak nie myśli, ale to tylko pokazuje jej wyrzeczenie się jakiegokolwiek myśli i podporządkowanie życzeniom Berlina czy Paryża.

Kolejną wskazówką świadczącą o degeneracji polskiej debaty publicznej było przyjęcie przez większą część gazet logiki, w której wszelka reakcja była po niemieckiej stronie. Starano się cały problem zbanalizować, sprowadzając go jedynie do sporu na linii Morawiecki-Ziobro.

Przykładem bardzo niepokojącej unifikacji poglądów był list 275 prezydentów polskich i węgierskich miast

proszących Ursulę von der Leyen, żeby w razie weta ich rządów Unia przekazała pieniądze na odbudowę lokalnych gospodarek bezpośrednio samorządom. Pokazuje to, że prezydenci miast nie mają żadnych skrupułów, aby negocjować unitarny charakter państwa.

W przypadku mediów było widać wyraźnie, jak wiele z nich kupowało strategię negocjacyjną niemieckiej prezydencji. Niemal nie zdarzały się poważne analizy, wskazujące choćby z czysto prawniczego punktu widzenia, jak bardzo nowy mechanizm uzależniający wypłaty z unijnego budżetu łamie traktaty unijne. Mieliśmy za to ogniste wystąpienia paru redaktorów naczelnych, które sprawiały wrażenie, jakby ludzie ci osobiście angażowali się w ten spór wskutek bardzo daleko posuniętego uzależnienia się od cudzych interesów.

3. POROZUMIENIE, KTÓRE DZIELI ZJEDNOCZONĄ PRAWICĘ

Trudno nie odnieść wrażenia, że twarda pozycja negocjacyjna niemieckiej prezydencji została uznana za okazję do testu – w jakim stopniu można obóz władzy w Polsce podzielić. Na pewno na pierwszy plan wysuwa się zdumiewająca rola w kryzysie Jarosława Gowina, lidera Porozumienia. Nie sposób stwierdzić, czy swoją wyprawę do Brukseli, w trakcie której deklarował, że istnieje plan na wycofanie się Polski z weta, konsultował on z premierem Morawieckim. Ludzie z otoczenia premiera bardzo zdecydowanie to dementują. Jak jednak wytłumaczyć całkowite milczenie premiera wobec takiej niesubordynacji, znacznie osłabiającej polską pozycję negocjacyjną?

Odezwała się także dawna rywalizacja między ministrem sprawiedliwości a premierem. Bardzo istotne racje, które stały za wystąpieniem Zbigniewa Ziobry w sprawie łamania litery traktatu unijnego, były osłabiane przez słowne ozdobniki typu „twardziele” i „mięgiszony”, które nadawały sporowi charakter czysto ambicjonalny i osobisty. Uderzało też milczenie wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego. A to milczenie powodowało, że politycy głównego trzonu Zjednoczonej Prawicy, czyli PiS, wyraźnie nie wiedzieli, czego się trzymać. Czy wziąć serio deklaracje weta albo śmierć, czy nie robić z siebie wariata i poczekać na przypuszczalne złagodzenie tonu

Morawieckiego przed szczytem w Brukseli? Dziś wydaje się, że Ziobro nie wyjdzie z koalicji. To wcale nie jest jednak gwarancją zakończenia konfliktu. Zbyt wielu polityków obozu władzy odreaguje agresją wobec ziobryistów. Wszystko to powoduje, że pęknięcia w Zjednoczonej Prawicy tylko się powiększą.

Pytanie, czy doszło do sytuacji, w której tacy politycy PiS jak Witold Waszczykowski czy Jacek Saryusz-Wolski byli najpierw zachęceni do merytorycznego uzasadniania weta, a potem nagle zastraszani informacją o wycofaniu się z dawnych pozycji? Nikt nie pomyślał, że postawi to ich w bardzo niezręcznej sytuacji?

Inni politycy, tacy jak Ryszard Legutko, odmówili dostosowania się do szybko zmieniającej się linii partii i mówią wyraźnie, że w Unii nie ma zasadniczo już żadnych zasad. Każda deklaracja może być potem złamana.

Najmniej w tym wszystkim można dziwić się postawie Mateusza Morawieckiego, który, jak się zdaje, wie, że bez zastrzyku unijnych pieniędzy będzie trudno związać koniec z końcem w budżecie. Dla niego najważniejsze jest ograniczenie do minimum niezadowolonego biznesu i dotrwanie do kresu pandemii. Pieniądze potrzebne są tu i teraz, a ewentualne użycie mechanizmu praworządności to na razie śpiew przyszłości. Wszystko to jednak tworzy koktajl, który prestiż PiS znacząco osłabi. Tym razem u tych, którzy po prawej stronie dostrzegają rosnącą dysfunkcję Unii Europejskiej. A opozycja i tak będzie walić PiS młotkiem po głowie, oskarżając go o zamiar wyprowadzenia Polski z UE.

Nawet politycy opozycji niegdyś zajmujący stonowane stanowisko – np. Paweł Kowal – dziś prezentują mało skomplikowany podziw dla niemieckiej skuteczności. „Polski rząd dał się omamić Orbánowi, naszumiał, a rozporządzenie i tak wejdzie w życie” – napisał Kowal.

We „Frankfurter Allgemeine Zeitung” komentator Thomas Gutschker szczerze triumfował: „Dla Unii to chwila prawdy. Najważniejsza lekcja: Pieniądze są nadal najważniejszą dźwignią”.

Kiedys Bismarck jednoczył Niemcy krwią i żelazem, teraz Berlin jednoczy Unię pieniędzmi i naciskami. Ile czasu będzie skutecznie działał taki prostacki mechanizm?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



ROAMER

OF SWITZERLAND

7
YEAR
WARRANTY



Competence Skeleton III

RYSZARD GROMADZKI: Ustawa nazywana potocznie „piątką dla zwierząt” trafiła do sejmowej zamrażarki. Czy to oznacza, że ten akt prawny, który pan kwalifikował jako bardzo zły dla polskich rolników, dla polskiej wsi, nie wejdzie w życie? Sprawa została odłożona ad calendas graecas?

JAN KRZYSZTOF ARDANOWSKI: Nie jestem pewien, czy jest to sprawa miniona i nikt do niej nie będzie wracał. W czasie mojej ostatniej, długiej rozmowy z prezesem Kaczyńskim pobrzmiwało, że on jednak chce tę ustawę, w innej wersji, inaczej napisaną, ale z tymi samymi celami, dalej realizować. Byłoby to złe. Wszystkie mankamenty, które ta ustawa zawiera, jeżeli się pojawią ponownie, spowodują konsekwencje polityczne, które są znane – wieś już na PiS nie zagłosuje.

Szef młodzieżówki PiS Michał Moskal, jeden z promotorów „piątki dla zwierząt”, powiedział nawet, że pan nie przeczytał dokładnie tej ustawy...

Nie chcę tego komentować. Ludzie, którzy nie mają zielonego pojęcia o sytuacji na wsi, ekonomii wsi, nastrojach na wsi, jeszcze niedawno łaskawych dla PiS, które przełożyły się na wyniki wyborów parlamentarnych i prezydenckich, obrażają wieś, posłów, w tym również mnie. Ja jestem odporny na kalumnie czy insynuacje ze strony ludzi, którzy nie mają pojęcia o tym, o czym mówią. To jeszcze dodatkowo podsycia niechęć do PiS. Pan Moskal i inni w otoczeniu prezesa Kaczyńskiego, którzy utwierdzają go, że ustawa negatywnych skutków nie wywoła, dalej brną w tym kierunku, któremu wieś pokazała czerwone światło.

Dlaczego prezes Kaczyński tak upiera się przy tej ustawie, skoro – jak pan mówi – jej skutki są złe nie tylko dla polskiej wsi, lecz także dla PiS?

Prezes próbował mi to wyjaśnić w tej naszej bardzo długiej rozmowie. Mówił, że marzeniem jego życia jest, żeby pomóc zwierzętom. Ma jakieś wspomnienia traumatycznych przeżyć z dzieciństwa, kiedy był świadkiem, jak kura została zabita, zapewne na niedzielny rosół dla gości. To spowodowało traumę i on swoje przekonanie o szczególnej wrażliwości wobec zwierząt chce zrealizować. Odpowiedziałem bardzo wprost: szanuję pana zdanie, tak jak zdanie każdego człowieka, ale głęboko się z nim nie zgadzam. Relację człowiek-zwierzę nie są proste. Jednak człowieka obowiązuje odpowiedzialność za świat otrzymany od Boga. Emocjonalne, infantylne podejście nie jest odpowiedzialnością za „ziemię, którą mamy czynić



Z Janem Krzysztofem Ardanowskim, posłem PiS, byłym ministrem rolnictwa rozmawia Ryszard Gromadzki

FOT. ADAM GIESTOWSKI/FOTOK

Nie przyłożę ręki do zniszczenia prawicy

sobie poddaną”. Szczególnie dotyczy to poważnych ludzi, odpowiedzialnych polityków, mężów stanu. Notabene to dla prezesa Kaczyńskiego i jego brata jestem w Prawie i Sprawiedliwości od 19 lat. Przecież w dużej mierze dlatego, że wizja Polski, którą bracia Kaczyńscy prezen-

towali, Polski sprawiedliwej, solidarnej, opartej na wartościach konserwatywnych, chrześcijańskich, była i jest dla mnie ważna. Pamiętam także dobrze, jak przed laty, kiedy mieliśmy debatować nad ważną ustawą, Kaczyński mówił nam, że polityk powinien przewidywać skutki podejmo-

wanych przez siebie działań. Przewidywać wieloletnie czy następne skutki tego, co wprowadza. W tym przypadku takiej analizy zabrakło. Nie do przyjęcia jest bagatelizowanie sprawy rekompensat dla rolników z tytułu utraty rynków w związku z ubojem rytualnym, co w szczególności dotyczy bydła mięsnego. Wy tłumaczyłem prezesowi, że nie ma możliwości trwałych rekompensat dla hodowców poza jednorazową w chwili wejścia w życie ustawy, ponieważ przepisy unijne nie pozwalają na finansowanie przyszłych strat. Przy okazji warunek moralny, którym uzasadniano zakazy zawarte w ustawie, potraktowano wybiórczo. Stąd cofnięcie zakazu uboju rytualnego załatwione przez lobby drobiarskie, a ściślej przez właściciela największego koncernu drobiarskiego w Polsce, Cedrob. Wrażliwość moralna pozostała przy bydle.

Czyli de facto mówimy o zagładzie całej branży, a nawet kilku branż obsługujących hodowlę bydła, bo przecież rolnictwo to system powiązanych ze sobą zależności.

Dokładnie tak. Ale ludzie z otoczenia prezesa Kaczyńskiego tego nie widzą, bagatelizują sprawę, twierdząc, że to dotyczy niewielkiej grupy rolników. Tymczasem hodowcy bydła mięsnego są najliczniejszą grupą rolników utrzymujących zwierzęta. W Polsce zajmuje się tym ok. 350 tys. gospodarstw, przede wszystkim małych. Specyfiką hodowli bydła mięsnego w naszym kraju jest to, że jest ono rozproszone w małych gospodarstwach, gdzie rolnicy trzymają po kilka, kilkanaście sztuk zwierząt. To nie są potężne fermy, tych jest u nas stosunkowo niewiele. Do tego bilansu trzeba dodać niewykorzystanie zasobów, jakimi są pastwiska, użytki zielone, nieużytki, które powinny być wykorzystywane jako ekstensywne pastwiska, bo nie nadają się do zaołania. To wszystko jest planami zapisanymi w ustawie niszczone. W tej sprawie negatywną rolę odegrał Janusz Wojciechowski [unijny komisarz ds. rolnictwa – przyp. R.G.], dostarczając dane, z których wynikało, że w 2013 r. kiedy też obowiązywał zakaz uboju rytualnego, nadmiar wołowiny bez uboju rytualnego kupiła Unia Europejska. Tylko że wtedy hodowla w Polsce była śladowa, a Unia potrzebowała wołowiny. W tej chwili hodowla w Polsce jest potężna, a Unia Europejska podpisała umowę z krajami Ameryki Południowej, gdzie Argentyna jest największym producentem wołowi-

ny, którą chce zalać Europę. Klasyczny argument w płot doradców pana prezesa. Kolejny, notorycznie podnoszony w tej sprawie argument kwalifikuje ubój rytualny jako zły, bo powoduje cierpienie zwierząt. Zadałem prezesowi pytanie, na które nie miał odpowiedzi. Zapytałem, na podstawie jakich danych, jakich pomiarów bólu twierdzi, że ubój przemysłowy jest bardziej humanitarny niż ten rytualny. Jedyne badania, którymi dysponujemy, mówią dokładnie coś odwrotnego.

Mówi pan o oderwaniu od rzeczywistości doradców prezesa Kaczyńskiego w związku z „piątką dla zwierząt”. Ale czy ta ustawa, może bez intencji, nie wpisuje się w konkretny plan realizowany już na Zachodzie? Jego częścią jest m.in. postulat odejścia od tradycyjnej hodowli dyktowany ekologizmem.

Rozdzieliłbym odpowiedź na dwa wątki. Jedno to jest skutek wprost dla polskiego rolnictwa. Wyraźnie widać, że panowie Moskał, Suski, Czabański, którzy zapewne mają wpływ na pana prezesa, nie mają podstawowej wiedzy o rzeczywistych skutkach tej ustawy dla polskiego rolnictwa. Jeżeli przyświecał jej zamiar pozyskania młodzieży i części środowisk lewicowych, to jest po prostu śmieszne. Wychodzi brak realnej analizy. Tracimy elektorat wiejski, trudny do zdobycia, który uwierzył PiS. Boję się, że tracimy go w sposób trwały. A młodzież i lewica pokazały niedawno na ulicach, gdzie mają Prawo i Sprawiedliwość. Zgadza się, że „piątka dla zwierząt” wpisuje się w europejski projekt Zielonego Ładu. Ten koncept stworzony przez pana Timmermansa et consortes pod szyldem walki o środowisko ma bardzo mocno uderzyć w wytwórczość europejską i europejskie rolnictwo. Działania, które podejmują obecnie politycy w Brukseli w imię tzw. ekologizacji, niszczącej rolnictwo europejskie, niestety coraz bardziej widać. To wszystko uderzy również w nas.

À propos Zielonego Ładu. W tych dniach Singapuru, jako pierwsze państwo na świecie, dopuścił do sprzedaży rynkowej sztuczne mięso wyprodukowane w bioreaktorach. To nie science fiction, to czysty real...

Tak, to wcale nie jest futurystyczna perspektywa. Nie dotyczy ona tylko Singapuru. Kilka miesięcy temu media obiegały świat wypowiedź pana Timmermansa, który w imieniu Komisji Europejskiej oświadczył, że w ciągu kilku lat w Europie dostępne będzie mięso

syntetyczne, a Unia odejdzie od mięsa pozyskiwanego ze zwierząt. Według niego inwestycje, które Unia podejmie w tym obszarze, sprawią, że mięso syntetyczne będzie tańsze od wołowiny, wieprzowiny, drobiu itd. W tym kierunku to oszałałe ideologiczne zaciętrzewienie postępuje. Rodzi się pytanie: Czym mają zająć się rolnicy? Jeżeli antropogeniczne uprawy są „be”, hodowla jest gwałceniem krów, miód jest rabowany pszczołom – to do czego my dążymy? Ja się na taki świat nie zgadzam. Pan prezes Kaczyński bardzo mocno obruszył się na moją wypowiedź, ale faktem jest, że ustawa, o której rozmawiamy, bardzo mocno gloryfikuje zwierzęta, zmierza niemal do ich ubóstwienia. To prawo wpisuje się w europejski ciąg neomarksizmu, rewolucji ideologicznej, która ogarnęła Zachód, a ostatnio jak tsunami uderzyła także w Polskę.

Nadal jest panu po drodze z PiS?

Martwię się o wielki projekt, jakim było odzyskanie władzy przez polską prawicę. Martwię się, że przez tego rodzaju głupoty jak „piątka dla zwierząt” utrata władzy przez prawicę staje się realna. Jeśli do tego dojdzie, wówczas lewacka „wajcha” zostanie przedstawiona w Polsce w sposób radykalny. Nie chcę przyłożyć do tego ręki. Z ciężkim sercem gotowy byłbym wystąpić z klubu PiS. Na koniec naszej rozmowy prezes Kaczyński powiedział mi: „Pan ma inne zdanie, ja pana nie przekonam. W tej sprawie proszę głosować, jak pan chce, ja nie będę panu niczego nakazywał”. Skądinąd uważam, że przy tego typu głosowaniach nie powinno być dyscypliny partyjnej, to jest coś wyjątkowo podłego. Widziałem starych posłów, którzy płakali, bojąc się Kaczyńskiego i głosując za tą ustawą. Mamy pewien kompromis. Ja podejmuję decyzję, które uważam za słuszne, żadna dyscyplina mnie w tej materii nie zobowiązuje. Nie opuszczam klubu i proszę innych posłów, żeby nie robili tego gestu, żeby teraz, w tym momencie, nie osłabiać Zjednoczonej Prawicy. Nie wiem, jak potoczą się losy tej formacji, ale ja nie przyłożę ręki do zniszczenia prawicy, nawet w tej niedoskonałej, nie do końca spójnej formie, jaką jest porozumienie nazywane Zjednoczoną Prawicą. Ale jeżeli PiS dalej będzie brnął w działania, które będą szkodzić polskiej wsi, to ja rezerwuję sobie prawo do podejmowania własnych decyzji i nikt mnie przed tym nie powstrzyma. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Naczelny problem

FOT. STACH LESZCZYŃSKI/STREFAWIAZD/PAP

a później miał umówione spotkanie z zarządem. Miało dotyczyć pomysłów na rozwój portalu. Informację o swojej rezygnacji Meller wrzucił do Internetu tuż przed tym spotkaniem.

W redakcji portalu nikt nie rozumie, dlaczego nie poczekał i nie porozmawiał najpierw z kierownictwem firmy. – Tak się nie robi – słyszymy od pracowników WP.

Podobne pretensje przebijają z oficjalnego komunikatu, który zamieścił na Twitterze Michał Siegieda, dyrektor komunikacji korporacyjnej i PR Wirtualnej Polski. „Jesteśmy zaskoczeni decyzją Marcina Meller’a o rezygnacji z funkcji redaktora naczelnego WP. Żałujemy, że nie dał nam szansy na rozmowę o powodach, bo w tym samym momencie przekazał tę wiadomość publicznie. Nic nie wskazywało na to, że nie podejmie się realizacji swoich planów” – czytamy. Próbowaliśmy dopytać o szczegóły, ale Michał Siegieda odpowiedział nam jedynie: „Wszystko, co mieliśmy do powiedzenia na ten temat, już opublikowaliśmy”.

Sam Marcin Meller też nabrał wody w usta. – Nie będę komentować powodów odejścia z Wirtualnej Polski – poinformował nas. – Chcę tylko powiedzieć, że mam 52 lata, pracuję od prawie 30 lat i mój najkrótszy jak dotąd staż to ostatnie cztery lata w Grupie Wydawniczej Foksal, skąd odszedłem do WP. W „Polityce” pracowałem 12 lat, w „Playboyu” – dziewięć, a z TVN jestem związany od dwóch dekad, z tego już 12 lat prowadzę „Drugie śniadanie mistrzów” – wyliczył. – Więc musiałem mieć bardzo istotne powody, by zrezygnować – dodał.

Identycznie brzmiąca odpowiedź przekazał także innym mediom dopytującym o przyczyny jego rezygnacji.

WIZERUNKOWE KŁOPOTY

A skoro sami zainteresowani nie chcą nic powiedzieć, to rodzą się domysły i najrozmaitsze teorie. Wśród pracowników Wirtualnej Polski dominuje ta mówiąca, że Meller’a przerosło to, co zastała na miejscu. Że przyjmując ofertę, nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, jak wygląda praca w portalu. – Może myślał, że to praca jak w wydawnictwie albo miesięczniku. Pierwsze dni pewnie pokazały, że to jest fabryka plus duża odpowiedzialność za treść, za jakość, za ludzi, za wyniki, za wszystko. Każdy, kto tu pracuje, to wie. On mógł nie wiedzieć – przypuszcza jeden z naszych rozmówców.



Kamila Baranowska

Marcin Meller jako nowy redaktor naczelny miał poprawić nadszarpnięty wizerunek Wirtualnej Polski. Jego odejście po zaledwie trzech tygodniach pracy, w aurze tajemnicy, przynosi odwrotny skutek

Właśnie złożyłem rezygnację z funkcji redaktora naczelnego Wirtualnej Polski” – tym lakonicznym komunikatem opublikowanym na swoim Facebooku Marcin Meller pożegnał się z funkcją redaktora naczelnego jednego z największych portali internetowych w Polsce.

W ten sposób o jego rezygnacji dowiedzieli się zarząd holdingu Wirtualna Polska oraz pracownicy. Wszyscy byli w takim samym szoku. Zwłaszcza że w piątek 4 grudnia rano Meller normalnie wziął udział w porannym kolegium,

Inny dodaje, że mogła tu zawieść komunikacja na linii prezes holdingu-nowy naczelny jeszcze na etapie wstępnych rozmów, kiedy pewne rzeczy nie zostały dopowiedziane. Kierownictwu WP bardzo zależało bowiem na ściągnięciu „dużego nazwiska”. Wejście Mellera miało być nowym otwarciem, całkowitym odcięciem się od wizerunkowych kłopotów, z którymi portal boryka się od stycznia tego roku. To właśnie wtedy portal OKO.press opublikował tekst o tym, że na Wp.pl przez półtora roku ukazało się co najmniej 300 tekstów fikcyjnych dziennikarzy. OKO.press pisało, że w tekstach tych zachwalano konkretne firmy państwowe i prywatne. Padło także oskarżenie, że redakcja Wp.pl miała zakaz eksponowania tekstów nieprzychylnych Ministerstwu Sprawiedliwości i jego szefowi Zbigniewowi Ziobrze. Co więcej, niektóre artykuły miały być konsultowane z „przedstawicielami resortu sprawiedliwości”.

Odpowiedzialnym za taki stan rzeczy miał być ówczesny szef portalu Tomasz Machała. Część fikcyjnych tekstów była podpisywana nazwiskiem Krzysztofa Suwarta, o którym Oko.press napisało, że nie istnieje. Okazało się jednak, że osoba o takim nazwisku rzeczywiście pracuje w Wirtualnej Polsce, nie zmniejszyło to jednak ciężaru zarzutów łamania dziennikarskich standardów. I choć zarówno Wirtualna Polska, jak i sam Tomasz Machała zaprzeczyli tym zarzutom, to w efekcie prac powołanej na szybko wewnętrznej komisji Machała został usunięty z funkcji redaktora naczelnego Wirtualnej Polski (a także wiceprezesa WP Media). Nie rozstał się jednak całkiem z firmą, został przesunięty do innego segmentu. Jest teraz prezesem spółki Netwizor, która prowadzi serwis WP Pilot. Od tamtego czasu obowiązki redaktora naczelnego pełnił Piotr Mieśnik.

Wtedy właśnie narodził się w kierownictwie pomysł, że w tej niełatwej sytuacji pomóc może ktoś z doświadczeniem i renomą, kto stanie się gwarantem dziennikarskiej jakości i pozwoli odciąć się od nieprzyjemnych wydarzeń z początku roku. Marcin Meller pasował doskonale. Informację o jego zatrudnieniu ogłoszono w październiku. Dziennikarz objął nową funkcję 16 listopada. W tym czasie specjalnie pod jego przejście zmienił wewnętrzną strukturę w firmie, poczyniono personalne przesunięcia i inne zmiany. Co teraz w obliczu jego

rezygnacji stanowi jedynie dodatkową komplikację. Sam Marcin Meller początkowo wydawał się pełen zapału.

– Przychodzę do świetnie działającej, nowoczesnej firmy medialnej, lidera rynku, więc chcę utrzymać to, co bardzo dobrze działa, i dodać atuty ze świata klasycznego dziennikarstwa, z którego się wywodzę – mówił Wirtualnym Mediom, gdy obejmował funkcję naczelnego. – Będę starał się, by Wirtualna Polska była medium środka, otwartym na głosy i opinie z różnych stron i środowisk. Mam nadzieję, że dzięki skali i sile WP będę mógł dodać wartości i rumieńców polskiej rzeczywistości medialno-społecznej – dodawał. Jednocześnie prowadził zaawansowane rozmowy z dziennikarzami i managementem o kierunkach rozwoju, przedstawiał swoje pomysły, wizję, umawiał się na większe teksty.

– Chciał robić dziennikarstwo w starym, tradycyjnym stylu, może nie uwzględniając w tym wszystkim specyfiki portalu, gdzie oprócz jakości i treści liczą się jeszcze szybkość, klikalność itd. Może o to chodziło – zastanawia się nasz rozmówca z WP.

USTABILIZOWAĆ NASTROJE

Odejście Mellera to niejedyny problem wizerunkowy, z którym musi mierzyć się w ostatnich tygodniach Wirtualna Polska. Na nowo bowiem rozgorzał jej konflikt z Telewizją Polską.

TVP mocno grilluje WP w kontekście dziecięcej Eurowizji Junior. „Wiadomości” TVP zarzuciły m.in. należącemu do koncernu Wirtualna Polska Holding portalowi Pudelek, że wytyka dziewczynce z Polski przegraną, co jest dla niej krzywdzące. „Ohydryn atak na małą piosenkarkę” – głosił pasek w „Wiadomościach”. Personalnie skrytykowano też szefową Pudelka Agnieszkę Rowicką i prezesa Wirtualna Polska Holding Jacka Świderskiego. Ten ostatni postanowił odnieść się do sprawy osobiście w formie listu otwartego do prezesa TVP Jacka Kurskiego. „TVP kolejny dzień udowadnia, że jest odgórnie sterowaną machiną szerzenia kłamstwa i nienawiści” – napisał. I dodał: „Jak rozumiem, dziś to próba zniechęcenia do pozwu na kłamstwa o WP Pilot sprzed miesiąca. Zapewniam, że nieskuteczna. Jest już w sądzie”.

Oglądając grillowanie WP przez „Wiadomości”, nikt – ani w TVP, ani w Wirtualnej Polsce – nie ma wątpliwości, że nie o Eurowizję tu chodzi, lecz o trwający

konflikt dotyczący kanałów TVP udostępnianych odpłatnie przez platformę streamingową WP Pilot, bez zgody TVP.

Świdorski zaś nawiązuje do materiału „Wiadomości”, który ukazał się w październiku i dotyczył funkcjonowania WP Pilot. TVP przekonywała w nim, że nieuczciwe jest, by prywatna platforma czerpała korzyści z produkcji publicznego nadawcy, nie ponosząc przy tym żadnych kosztów związanych z produkcją materiału. Tomasz Machała, szef spółki nadzorującej WP Pilot, określił te argumenty jako „pozbawione sensu i naderające się do pozwania”, powołując się na zasady prawne, ustanowione w Unii Europejskiej i zatwierdzone przez polski parlament. Pat w tej sprawie trwa już od paru lat.

Z punktu widzenia zarządu holdingu Wirtualnej Polski najważniejsze jest, by teraz ustabilizować sytuację portalu i uspokoić nastroje w firmie. Dlatego na razie postanowiono, że koniec z eksperymentami, i nowym naczelnym uczyniono Piotra Mieśnika, który kierował portalem w czasie bezkrólewia, czyli między odejściem Machały a przyjściem Mellera. Mieśnik jest człowiekiem z wewnątrz, zna portal jak własną kieszeń, więc nie musi się w nic wdrażać, mógł z dnia na dzień przejąć obowiązki naczelnego.

– Musieliśmy zrobić pełne okrażenie, by wrócić do punktu wyjścia i przyznać, że w sumie ten punkt wyjścia nie był taki zły i może należało od razu tak zrobić – tak kwestię zrobienia naczelnym Mieśnika komentuje jeden z naszych rozmówców. I dodaje, że to w WP nic nowego. – Przecież wszyscy pukali się w głowę, gdy kierownictwo, mając dobrze działający portal z wielkim potencjałem rozwojowym, uparło się, że będzie robić telewizję informacyjną. Dużo czasu i jeszcze więcej pieniędzy musiało popłynąć, by doszli do wniosku, że jednak to portal jest czołowym produktem i tu trzeba inwestować. Że to telewizja powinna być dodatkiem, a nie odwrotnie – wzdycha.

A jakie plany na przyszłość ma Marcin Meller? „W związku z nieplanowanym rozwojem wypadków nie mam w tym momencie żadnych planów. Zapewne wykorzystam niespodziewany nadmiar wolnego czasu i postaram się dokonać pisanie nowej książki” – zapowiedział w przesłanym nam SMS-ie. Szkoda, że nie będzie to książka o kulisach odejścia z Wirtualnej Polski. Może kiedyś?



Ukrywanie kompromitacji



Tomasz Rowiński

Sprawa nieprzyznania nagrody Grand Press w kategorii Wywiad jest ciekawsza, niż się na pierwszy rzut oka wydaje. Fala oburzenia, która zmieniła się potem w potok ideologicznych deklaracji, mówi całkiem sporo o problemie lewicy

2 września, dzień po zwolnieniu Michała Szutowicza, zapamiętanego jako „Margot”, z aresztu, gdzie trafił w związku z oskarżeniem o pobicie, Beata Lubecka przeprowadziła z nim wywiad na antenie Radia Zet. Już wtedy robiono wszystko, by skompromitować dziennikarkę. A zatem pisano, że była nieprzygotowana, ponieważ przekreśliła nazwę „kolektywu” Stop Bzdurom, a wcześniej pytała na Twitterze, o co warto Szutowicza zapytać. Liderzy opinii rewolucyjnej oceniali wywiad jako „transfobiczny”, ponieważ Lubecka zapytała o to, czy według dowodu osobistego Szutowicz jest mężczyzną czy kobietą.

Można zatem sądzić, że wywiad, który nie byłby transfobiczny, polegałby na

recytowaniu haseł rewolucji gender jako obiektywnej prawdy i przyklaskiwaniu każdej odpowiedzi pytanego. Problem w tym, że nie na tym polegają poranne rozmowy publicystyczne w stacjach radiowych. Politycy zwykle wiją się w krzyżowym ogniu pytań.

OBURZENI

Hasło transfobii wróciło w ostatnich dniach niczym sztandar wyciągnięty z muzeum. „Tę rozmowę zapamiętamy na długo, bo jest książkowym przykładem na to, jak nie prowadzić wywiadów z osobami ze społeczności LGBTQ. No, chyba że komuś zależy na etykietce transfoba...” – można było przeczytać 3 grudnia br. na portalu Krytyki Politycznej; mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Stanisław Skarżyński, dziennikarz „Gazety Wyborczej”, zadeklarował oddanie swojego Grand Press z 2016 r.

„Ten »wywiad« Beaty Lubeckiej, jeśli na coś zasługiwał, to na nominację do nagrody za antydziennikarstwo albo tytuł tępej dulszczyzny roku. W normalnym kraju za coś takiego Lubecka wyleciałaby z hukiem z pracy, a nie dostała nominację. Nie chcę mieć nic wspólnego z nagrodą, która po tej nominacji cuchnie homofobią i transfobią, a nie ustanawia standardy dziennikarskie. Trzeba mieć kompletnie poprzestawiane klepki i zerowe wyczucie elementarnych zasad, żeby ten wywiad

nominować do nagrody. Wstydźcie się, tak jak ja się wstydzę, że dostałem tę nagrodę i byłem z tego jakoś tam dumny” – napisał Skarżyński. I podkreślił, że otrzymany dyplom już dawno wyrzucił, a otrzymane 2,5 tys. zł nagrody prześle czym prędzej na konto związanego z politycznym ruchem homoseksualnym stowarzyszenia Lambda Warszawa. Dodał także, że oficjalnie wystąpi o wykreślenie go z listy laureatów.

W reakcjach lewej strony zabrakło jednak odniesień do tego, co było największym problemem wywiadu z Michałem Szutowiczem, czyli kompromitujący styl wypowiedzi i treść. Szutowicz posługiwał się językiem wulgarnym, popisywał się niewiedzą na temat chrześcijaństwa, a przypisując sobie i swojemu działaniu jakiś rodzaj ewangelicznej motywacji, pochwalił przemoc.

Pytany o atak na działaczy pro-life, Szutowicz odpowiedział: „To nie jest chuligaństwo, to [chuligaństwo – przyp. T.R.] ma miejsce wtedy, kiedy działasz ze względu na niski cel”. „Ja nie chcę polemizować na ten temat, czy to chuligaństwo. Chciałabym zapytać, jeżeli to jest chuligaństwo i przemoc, to czego doświadczają osoby z mojej społeczności?” – kontynuował. Na pytanie, czy walka o własne interesy uzasadnia przemoc, odpowiedział twierdząco.

Przypomnijmy, z jaką reakcją spotykała się choćby umiarkowana krytyka tego



Gala konkursu Grand Press 2020 FOT. PRESS

stylu pojawiająca się w wypowiedziach dziennikarzy głównego nurtu. Agnieszka Gozdyra z Polsat News napisała wtedy na Twitterze: „Symbole są bardzo ważne. Symbolem jest Anna Grodzka, Ewa Hołuszko. Stoi za nimi biografia, historia. Twierdzą, że »Margot« jako symbol walki o prawa LGBT wyrządzi więcej szkody niż pożytku”. Kilka dni później dziennikarka poczuła się zmuszona do reakcji na ciągnące się ataki w nią wymierzone. „Hejtowanie w imię szacunku. To się dzieje od tygodnia, czyli odkąd wyraziłam wątpliwości nt. »Margot«. Obrona chamstwa przez obrażanie innych, przy protestach wielu ludzi ze środowiska LGBT. Jesteście lustrzanym odbiciem tych, których krytykujecie. Dzięki dla wielu za dobre słowo” – napisała na Twitterze Gozdyra.

NACISKI I ICH SKUTEK

Pojawiły się też głosy, że Lubecka przeprowadziła wiele bardzo dobrych wywiadów, ale ten do nich nie należał, niezależnie od tego, kto był jej rozmówcą. Sformułowano też argument, że powstały lepsze wywiady z Szutowiczem i że to one zasługują na uwagę. „Nominacja Lubeckiej do Grand Press 2020 dziwi tym bardziej, że w tym samym czasie w sieci pojawiło się co najmniej kilka bardzo ciekawych wywiadów z »Margot«, które odbyły się z pełnym poszanowaniem rozmówczyń” – napisał na portalu noizz.pl jego dzienni-

karz Paweł Korzeniowski, nominowany do Grand Press w kategorii Reportaż.

Ta argumentacja mogłaby być wzięta pod uwagę przed decyzją o nominacjach, jednak z jakichś powodów została pominięta. Co to bowiem znaczy, że inne wywiady były lepsze? Może były bardziej wygładzone, mniej kompromitujące dla Szutowicza i wspierających jego kreację środowisk? Nie odsłaniały nagiej prawdy o stylu bycia i poglądach?

Głos w sprawie, w stylu ideologicznej jednomyślności, zabrał też Bart Staszewski znany z akcji „Strefy wolne od LGBT” mającej zniesławiać polskie samorządy w oczach opinii zagranicznej.

„Szydercza, nieprzygotowana i transfobiczna red. Lubecka miałyby dostać Grandpress za »Rozmowę z Margot« z września tego roku? To jakiś żart! Zdążyłem wymazać z pamięci ten żalotny wywiad, a tu taka niespodzianka... @PressRedakcja wstyd!” – zatweetował aktywista.

Ostatecznie jury Grand Press ustąpiło. „Podczas obrad jury Grand Press w dniu 3 grudnia br. większość jego członków i członków wyraziła zastrzeżenia wobec decyzji jurorów preselekcyjnych w stosunku do jednego materiału z kategorii Wywiad. Jednocześnie stwierdzono, że zgodnie z regulaminem jury nie ma możliwości usunięcia jakiegokolwiek pracy na tym etapie konkursu” – napisano w oświadczeniu.

„To była przyjemność i zaszczyt oceniać efekty Waszej pracy. Przykro mi i chyba całemu jury, że przez nasz błąd więcej niż o Waszych publikacjach mówi się o nas” – dodatkowo w tonie samokrytyki napisała do uczestników konkursu Grand Press Bianka Mikołajewska. „Ale ten błąd nie przekreśla pracy nominowanych i tych, którzy zostaną nagrodzeni w tym roku”.

Jednak wyciszenia sprawy kompromitującego – bardziej z powodu wypowiedzi Michała Szutowicza niż Beaty Lubeckiej – charakteru wywiadu nie udało się do końca przeprowadzić. Głos bowiem, z pewnością niespodziewanie, zabrała prof. Monika Płatek, znana z dalece lewicowych poglądów i ze zdania, że „w związkach jedнопłciowych rodzi się tyle samo dzieci, a często więcej, niż w związkach różnopłciowych”.

Prawniczka w zawołowany sposób dała, jak się zdaje, wyraz swojej dezaprobacie wobec nowego frontu obrony Michała Szutowicza, który dał się zauważyć w mediach w związku z nominacją do

Grand Press. Owszem, prof. Płatek skrytykowała Beatę Lubecką za świadectwo braku wiedzy o problemach „osób LGBT”, ale jednocześnie jej głos wycofujący poparcie dla listu oprotestującego nominację wybrzmiał stanowczo. „Popełniłam błąd. Przepraszam. Więcej tego nie zrobię. Ograniczyłam się do zapoznania się z argumentami jednej strony. Podpisałam list do Organizatora oraz członków i członkiń Jury Grand Press 2020 z apelem o usunięcie z listy nominacji do nagrody Grand Press 2020 materiału redaktorki Beaty Lubeckiej »Wywiad z Margot« z Radia Zet. Zrobiłam to bez wysłuchania audycji”. „Nie powinnam była podpisywać listu bez wysłuchania audycji; po wysłuchaniu, szanując racje sygnatariuszy, poprosiłam o usunięcie mojego nazwiska z tej listy” – oświadczyła Płatek w mediach społecznościowych 8 grudnia br.

WIDOCZNE PĘKNIECIE

Co Monika Płatek usłyszała w audycji? Zapewne to, co każdy słuchacz – zawstydzającą kompromitację intelektualną, a przede wszystkim obronę przemocy rewolucyjnej.

„[...] myślę, że wywiad był okazją dla »Margot« do poszerzenia wiedzy tak u nas niedostatecznej i pozytywnego zaprezentowania się” – napisała Płatek. Okazja, jak się zdaje, nie została jednak wykorzystana.

Tego samego dnia do sprawy odniósł się Waldemar Kuczyński, znany ze swojej zaciekłości wobec rządów prawicy. „Lincz ze strony środowiska mającego się za światłe i postępowe, wobec red. Lubeckiej powinien być dla tych ludzi, z których wielu szanuję, powodem do refleksji, jak pojmują tolerancję” – napisał na Twitterze. Przyznał, że sam tego „pojmowania” doświadczył w przeszłości. „Nie chcę rządów PiS, ale rządów takiej »tolerancji« także” – podkreślił autor.

Pęknięcie, jakie zobaczyliśmy w ocenach tegorocznych nominacji do nagrody Grand Press, być może mówi nam wiele o wewnętrznych tarciach, które trwają w środowiskach liberalno-lewicowych. Dotyczą one tego, czy przemoc jest dopuszczalnym narzędziem zmiany społecznej. W ostatnich tygodniach agresja manifestacji proaborcyjnych przekonywała nas, że przemocowcy są górą. Może jednak jeszcze jest szansa na odmianę i zwycięstwo rozsądku.

Szczepionka z propagandą



Łukasz Warzecha

Jedną z głównych cech strategii przekonywania Polaków do „narodowej akcji szczepień” jest wrzucanie do jednego worka wariatów opowiadających o tym, że w szczepionkach ukryto miniaturowe chipy, oraz tych, którzy zgłaszają oparte na konkretnych przesłankach wątpliwości

Co może zrobić rząd w demokratycznym państwie, który z różnych powodów chce skłonić obywateli do zrobienia czegoś, czego oni zrobić za bardzo nie chcą? Ma trzy możliwości. Pierwsza to wprowadzenie do prawa odpowiedniego przymusu – tu jednak ryzykuje się otwarty odruch buntu i radykalną utratę popularności. Druga możliwość to przeprowadzenie zmasowanego ataku propagandowego, nieopierającego się na argumentach i nieodwołującego się do rozumu, ale do prostych emocji, skrajzeń oraz argumentów ad verecundiam (czyli z autorytetu). Trzecia możliwość to postawienie na szczerą i otwartą: wyjaśnianie wątpliwości, traktowanie wszystkich pytań jako zasadnych, jasne wskazywanie, co jest pewne, a na co odpowiedzi nie ma.

Wszystko wskazuje na to, że w sprawie „narodowej akcji szczepień” rząd wybrał głównie drogę drugą, z niewielką tylko domieszką trzeciej. O przyczynach takiego wyboru można jedynie spekulować. Zapewne są wśród nich: i świadomość, że epidemia może wysadzić cały obóz władzy w powietrze; i kalkulacja jego części, że inna część może wykorzystać sprawę przeciwko premierowi, który został twarzą walki z chorobą; i wreszcie być może przeświadczenie, że nie dysponuje się wystarczająco mocnymi argumentami, aby przewalczyć dominujący dzisiaj wśród Polaków sceptycyzm, trzeba zatem działać inaczej.

ZAPACH CENZURY

Jedną z głównych cech tej strategii jest wrzucanie do jednego worka wariatów

opowiadających o tym, że w szczepionkach ukryto miniaturowe chipy, lub zagozłałych antyszczepionkowców negujących szczepienia w ogóle, oraz tych, którzy zgłaszają oparte na konkretnych przesłankach wątpliwości. To dobrze znana, czasami skuteczna metoda manipulacji opinią publiczną.

To, że tak właśnie ma wyglądać rządowa strategia, można wywnioskować z różnych wypowiedzi ludzi obozu rządzącego. Już podczas konferencji prasowej w środę 2 grudnia w Łodzi premier apelował o walkę z „fejkniusami” na temat szczepionek. Niby apel słuszny. Problem w tym, że nie bardzo wiadomo, z jakimi fałszywymi informacjami premier chciał walczyć. To bowiem, co w debacie publicznej po stronie sceptyków dominuje, to nie przekaz szurowski, ale liczne i wynikające ze zrozumiałych obaw pytania. Gdyby zatem rząd wybrał strategię trzecią, Mateusz Morawiecki powinien był raczej zapewnić obywateli, że żadne pytanie nie pozostanie bez odpowiedzi. Zgodnie z maksymą, że nie ma głupich pytań – są jedynie głupie odpowiedzi.

Jeszcze bardziej niepokojąco zabrzmiały wypowiedzi szefa Naczelnej Izby Lekarskiej Andrzeja Matyi i ministra zdrowia Adama Niedzielskiego podczas spotkania senackiej Komisji Zdrowia 8 grudnia. Profesor Matyja oznajmił, że izba zamierza – jak to określił – „przesłuchiwać” lekarzy sceptycznych wobec szczepień na SARS-CoV-2. Takiej postawy gratulował mu serdecznie minister zdrowia, mówiąc o kołtuństwie w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Kołtun w pierwotnym znaczeniu – opisanym przez ks. Benedykta Chmielowskiego w jego encyklopedii „Nowe Ateny”, wydanej w połowie XVIII w., jako plica polonica – był zbitym kłębem od lat niemitych, zawieszonych i przetłuszczonych włosów, dość powszechnym w Polsce tamtego czasu zwłaszcza wśród chłopów. Duża część posiadaczy kołtuna wierzyła, że nie wolno go odcinać, bo wywoła to na przykład ślepotę.

Pan minister nie sprecyzował niestety, jakiego typu poglądy konkretnie ma na myśli, co pozwala jego słowa rozumieć jako porównanie zabobonów dotyczących kołtuna do pytań o szczepionki RMA, dotychczas nie stosowane na większą skalę (o skali kontynentalnej nie mówiąc). Ogromnie niepokojące jest, że z aprobatą odniósł się do zapowiedzi „przesłuchiwa-

FOT. ADAM STOK

nia” lekarzy – a więc przecież nie medycznych dyletantów – co już wprost pachnie cenzurą i zastraszaniem.

Profesor Matyja sugerował także, że do kampanii proszczepionkowej należy zaprząć celebrytów, którzy wprawdzie – jak stwierdził – nie mają głębszej wiedzy o problemie, ale za to skutecznie przekonują ludzi. Współgra to z zapowiedziami szefa Centrum Analiz Strategicznych prof. Norberta Maliszewskiego, który wspominał o kampanii opartej na emocjonalnym przekazie. Nietrudno przewidzieć, że taka metoda gry na emocjach i strachu spowoduje kolejne napięcia.

PYTANIA BEZ JASNYCH ODPOWIEDZI

Jeszcze przed prezentacją strategii szczepień skierowałem do Ministerstwa Zdrowia kilka pytań, starając się wyjaśnić najczęściej pojawiające się wątpliwości. Część z nich wzięła się z opublikowanych w ostatnim czasie w sieci przez brytyjski rząd materiałów dotyczących szczepionki Pfizera, którą zaczęto już na Wyspach stosować.

Chciałem zatem wiedzieć, czy Polska zawarła lub zamierza zawrzeć z producentami szczepionek na SARS-CoV-2 umowy indemnizacyjne, zwalniające ich od odpowiedzialności cywilnej za niepożądane skutki szczepień. Tu odpowiedź przyszła w formie wypowiedzi przedstawicieli władzy, którzy przyznali, że w taki sposób zawarta została umowa na poziomie UE. Warto tu przypomnieć słowa członka zarządu firmy AstraZeneca, Ruuda Dobbera, który w lipcu stwierdził, że jego przedsiębiorstwo zawiera tego typu klauzule w umowach z większością państw kupujących szczepionkę, bo – jak wyjaśnił – „nie możemy ryzykować, gdyby niepożądane efekty pojawiły się po czterech latach”.

Pytałem dalej, w jaki sposób takie umowy zostaną umieszczone w reżimie polskiego prawa cywilnego. Chciałem też wiedzieć, czy zostanie powołany państwowy fundusz na rzecz osób z niepożądanym odczynem poszczepiennym (NOP), którego Polska w ogóle nie ma, choć podobne fundusze istnieją w wielu krajach UE, a projekt dotyczący powołania go w Polsce pojawił się już kilka lat temu. Tu z kolei ciekawe informacje przekazał „Dziennik Gazeta Prawna”. Według gazety rząd zdaje sobie sprawę z potrzeby istnienia takiego rozwiązania – przy jego braku każdy pokrzywdzony musiałby indywidualnie dochodzić swoich praw na drodze sądowej, stając najpraw-

dopodobniej nie naprzeciw producenta leku, ale państwa polskiego – ale nie chce go wprowadzać, ponieważ obawia się, że odstraszy to Polaków od szczepień. Na tym tle doszło zresztą do zakulisowych sporów z producentami szczepionek – chodziło o to, czy na ewentualny fundusz mieliby składać się tylko oni sami, czy miałyby się do niego dokładać budżet.

Jednak decyzja o tym, żeby funduszu w tym momencie nie powoływać, dobrze ilustruje sposób myślenia władzy. Rządzący muszą mianowicie uważać, że do szczepień lepiej zachęci udawanie, iż problemów nie ma, niż ich rozwiązywanie.

Pytałem również o wspomniane przez ministrów Niedzielskiego i Adama Dworczyka korzyści dla zaszczepionych. Już sama instytucja preferencji dla jednych – co automatycznie oznacza dyskryminację pozostałych – jest wątpliwa. Zdaniem prawników tego typu podejście jest w pewnych granicach dopuszczalne, ale już nie, gdyby odmowa udziału w programie przecież dobrowolnych szczepień oznaczała znaczące ograniczenia w podstawowych prawach obywatela – takich choćby jak swoboda przemieszczania się czy wolność zgromadzeń. A o tym jest przecież mowa. Pytałem ministerstwo, jak w tej sytuacji traktowane będą osoby, które nie zostaną przez lekarzy zakwalifikowane do szczepienia, czyli zaszczepić się nie będą mogły, a zatem dostęp do owych korzyści będzie dla nich zamknięty z powodów niezależnych od nich. To pytanie tym istotniejsze, że w lawinowym tempie napływają informacje o kolejnych zastrzeżeniach dotyczących szczepionek. Wiadomo już na przykład, że – co nie było uwzględniane w dokumentacji szczepionki – leku Pfizera nie powinny przyjmować osoby ze skłonnościami alergicznymi.

Pytałem, jak będą traktowane rodziny, w których część osób jest zaszczepiona, a część – z dowolnych przyczyn – nie. Pytałem o to, jak będzie wyglądał wywiad lekarski przed szczepieniem. Powinien przecież być gruntowny i drobiazgowy, połączony z badaniem pacjenta. Jak to zapewnić przy masowości akcji?

Tutaj pojawia się pytanie o czas potrzebny na szczepienia. Rząd zakłada, że tygodniowo będzie można zaszczepić 180 tys. osób. Przyjmijmy to optymistyczne założenie. Przyjmijmy też drugą, bardzo już optymistyczną przesłankę, że udało by się zaszczepić ok. 26 mln ludzi, czyli 70 proc. Polaków, co dałoby odporność populacyjną. Jak łatwo policzyć, musiałoby

by to zająć 144 tygodnie, czyli blisko trzy lata. Jako że producenci nie są w stanie ze względu na krótki okres badań stwierdzić, jak długo trwa odporność po szczepieniu, jest możliwe, że zanim cały proces się zakończy, trzeba by już szczepić ponownie tych, którzy szczepili się na początku. Do tego dochodzą jeszcze pytania o to, skąd wziąć personel dokonujący szczepień.

Tutaj warto dla porównania przypomnieć, że Niemcy – przy dużo lepszej organizacji państwa – zakładali zaszczepienie 60 tys. osób dziennie (czyli 420 tys. tygodniowo, przy dwa razy większej liczbie ludności), a i tak szacowali czas trwania całego procesu na minimum dwa lata.

Pytałem o informację podawaną przez Pfizera, że nie testowano interakcji z innymi lekami. Jakie w związku z tym będą zalecenia MZ dla szczepienia osób, które z racji przewlekłych chorób (to w dużej mierze osoby starsze) stale przyjmują różne lekarstwa? Pytałem wreszcie, jak rozumieć informację zawartą w pakiecie dla lekarzy szczepionki firmy Pfizer, że nie zbadano i nieznany jest jej wpływ na płodność.

Ministerstwo Zdrowia uznało się za niekompetentne i skierowało mnie do Centrum Informacyjnego Rządu, z którego dostałem niestety ogólnikowe formułki oraz odesłanie do opublikowanej właśnie strategii szczepień, która – jakkolwiek pewne sprawy ukonkretnia – nie daje odpowiedzi na większość wątpliwości, a spośród przytoczonych pytań nie odpowiada na żadne. Najkonkretniejsza zawarta w niej wiedza dotyczy jedynie rodzajów szczepionek, które mają być w Polsce stosowane. I tu znów pojawia się wątpliwość, są to bowiem szczepionki oparte na kilku technologiach, a więc o różnym sposobie oddziaływania na nasz organizm, tymczasem szczepieni nie będą mieć wyboru – nic o tym przynajmniej nie wiadomo – jaką szczepionkę mają otrzymać, ani też nic nie wiadomo o tym, żeby takiego wyboru mogli dokonywać lekarze.

Jasne jest, że przy ogromnej skali szczepień będą się pojawiały NOP-y – to naturalne i tak jak przy każdym leku nie da się wyeliminować reakcji niepożądanych. Różnica polega na tym, że o ile w przypadku znanych i obecnych od dawna na rynku środków te reakcje są opisane, zbadane i znane, o tyle w przypadku szczepionek na SARS-CoV-2 – nie. I to może wywoływać niepokój, zwłaszcza jeśli będzie powiązane z chowaniem głowy w piasek przez rząd i wyzywaniem sceptyków od kołtunów.

Pro-life nie tylko do narodzin



Maciej Pieczyński

Lewica często zarzuca katolikom, że bronią życia jedynie „płodu”. To nieprawda. Kościelne i świeckie organizacje pro-life aktywnie wspierają również dzieci narodzone, w tym także niepełnosprawne

Jedną z najprężniej działających w Polsce organizacji pro-life, związanych z Kościołem, jest Fundacja Małych Stópek. Powstała na bazie Bractwa Małych Stópek, zrzeszającego w sposób nieformalny (w Internecie) kilkunastotysięczne grono obrońców życia z całego kraju. Założyciel bractwa i fundacji, ks. Tomasz Kancelarczyk, jest organizatorem szczecińskiego Marszu dla Życia. To największe tego typu

wydarzenie w Polsce. Misją Fundacji Małych Stópek jest „ochrona każdego nienarodzonego dziecka, bez względu na warunki i okoliczności, w jakich się ono poczęło, oraz promocja odpowiedzialnego rodzicielstwa”.

Organizacja wspiera nie tylko życie od poczęcia do narodzin, lecz także po narodzinach. Wśród celów statutowych jest „inspirowanie, wspieranie i wdrażanie pomocy potrzebującym osobom i rodzinom”. W ramach akcji „Pielucha dla malucha” fundacja organizuje pomoc rzeczową dla kobiet, które wycofały się z zamiaru dokonania aborcji. „Poprzez gest materialnego wsparcia masz wpływ na decyzje kobiet, które czują się osamotnione, nosząc pod sercem swoje dzieci. Możesz sprawić, że wspólnie im pomożemy. Dzięki temu będą mogły poczuć się zaopiekowane, a dana im przez Ciebie pomoc materialna pomoże podjąć decyzję o urodzeniu własnego dziecka” – tak fundacja zachęca do udziału w akcji. Żeby w jej ramach

pomóc kobietom, które wycofały się z zamiaru dokonania aborcji, można przesłać pieluchy lub przekazać 50 zł darowizny

Fundacja przyczyniła się do uratowania przed aborcją kilkudziesięciorga dzieci. Otacza je opieką materialną jeszcze przez rok po narodzinach. Nie zapomina o nich także przed świętami. Co roku w grudniu rusza akcja „Pacuszka dla Maluszka”.

W akcję „Małych stópek” można się włączyć na trzy sposoby: samodzielnie sporządzić paczkę za ok. 100 zł, którą fundacja przekaze wybranemu dziecku i jego mamie; dostarczyć fundacji niespakowane artykuły higieniczne, z których aktywiści sporządzą prezent, lub też przesłać 100 zł na konto fundacji.

„Bryka dla smyka” – pod takim hasłem szczęścińscy pro-liferzy spod znaku „Małych stópek” zbierają wózki, łóżeczka, nosidełka i inne sprzęty potrzebne do pielęgnacji niemowląt. Każdy dar znajdzie odbiorcę w osobie dziecka,

którego życie było przed urodzeniem zagrożone.

– Nie jest prawdą, że Kościół nie pomaga matkom, które zdecydowały się urodzić. Pierwszym darczyńcą Fundacji Małych Stópek był ks. abp Andrzej Dzięga, metropolita szczecińsko-kamieński. Gdyby nie wsparcie Kościoła, nie udałoby się rozkręcić tak szeroko zakrojonej działalności – zapewnia ks. Kancelarczyk.

Nie wszystkie podopieczne fundacji same zgłaszają się po pomoc. Często ks. Kancelarczyk próbuje dotrzeć do kobiet, które rozważają aborcję, by przekonać je do rezygnacji z tego zamiaru. – Większość przypadków wpisuje się w podobny schemat. Z reguły problem pojawia się w niesformalizowanych związkach. Ojciec dziecka żąda aborcji. Czasem stawia ultimatum: „Albo ja, albo dziecko”, a czasem po prostu odchodzi. Bywa, że ciąży nie akceptuje rodzina dziewczyny – opowiada ks. Kancelarczyk. Sygnały o tego typu przypadkach otrzymuje od znajomych. Potem, najpierw pośrednio, następnie bezpośrednio, kontaktuje się z kobietą. Oferuje jej wsparcie finansowe i mieszkaniowe w ramach działalności fundacji – od zaraz, w trakcie ciąży, a potem jeszcze przez dwa lata po urodzeniu. – Kobieta musi otworzyć się na wizję „ja z dzieckiem”. A do tego konieczne jest wsparcie materialne. Czasem konieczne jest też wyrwanie ze środowiska aborcyjnego, z otoczenia, które nakłania do zabicia dziecka – tłumaczy ks. Kancelarczyk.

OD POCZĘCIA DO ŚMIERCI

Kolejną organizacją, która zadaje kłam krzywdzącym stereotypom na temat ruchu pro-life, jest Fundacja dla Życia i Rodziny im. Jana Pawła II. Jej celem jest wspieranie życia ludzkiego od momentu poczęcia do naturalnej śmierci. Fundacja nie zapomina o dziecku po jego urodzeniu. Oferuje bezpłatne poradnictwo prawne i psychologiczne w zakresie takich problemów jak: kryzys rodziny, nerwice, depresje, niechciana ciąża, wsparcie rodziców po stracie dziecka, problemy wychowawcze, trudności w nauce, prawo rodzinne i opiekuńcze. Wolontariusze fundacji włączają się w zbiórki żywności, pomagając samotnym matkom, wspierając je materialnie, a także psychicznie.

Bardzo szeroko zakrojoną działalność prowadzi istniejące już od ponad 20 lat Polskie Stowarzyszenie Obroń-

ców Życia Człowieka. Jego założycielem był nieżyjący już dr inż. Antoni Zięba, który porzucił pracę na uczelni, aby zaangażować się w działalność pro-life. W ramach stowarzyszenia funkcjonuje wiele inicjatyw, oferujących konkretne wsparcie od momentu poczęcia, ale również po narodzinach dziecka. Jedną z nich jest fundusz ochrony macierzyństwa, który zapewnia pomoc finansową kobietom w ciąży, znajdującym się w bardzo trudnej sytuacji materialnej i rodzinnej. Środek (500 zł) są wypłacane do drugiego roku życia dziecka. Działa też Telefon Zaufania Pro-Life.

WSPARCIE DLA SAMOTNYCH MATEK

Stowarzyszenie wspiera również matki dzieci niepełnosprawnych. Pomoc jest adresowana do rodzin w ciężkiej sytuacji materialnej, z przeznaczeniem na rehabilitację, zakup sprzętu medycznego, leków. W ramach Funduszu Dziecka Chorego można otrzymać 5 tys. zł.

Kongregacja Sióstr Miłosierdzia św. Karola Boromeusza we Wrocławiu, poprzez Fundację Evangelium Vitae, prowadzi aktywną działalność pro-life. Pod egidą boromeuszek funkcjonuje Specjalistyczny Ośrodek Odpowiedzialnego Rodzicielstwa, który oferuje pomoc w zakresie m.in. poradnictwa i mediacji rodzinnej, doradztwa zawodowego, psychologii i psychoterapii (w podejściu chrześcijańskim). Podopieczni ośrodka mogą też skorzystać z tzw. terapii NEST – jest to pomoc psychologiczna dla osób dorosłych, które doświadczyły różnych traumatycznych przeżyć, takich jak przemoc, utrata ciąży, aborcja czy urodzenie dziecka niepełnosprawnego.

Główne zadania gdyńskiego Stowarzyszenia Gaudium Vitae im. Stanisławy Leszczyńskiej to nie tylko obrona dziecka poczętego, lecz także wspieranie samotnych matek oraz ubogich rodzin. Ubogie kobiety w ciąży otrzymują tzw. wyprawki dla noworodka, w tym także mleko, środki pielęgnacji i leków. „Dzieciom rodzin objętych pomocą organizujemy wyjazdy wakacyjne i półkolonie [...] Organizujemy programy edukacyjne i terapeutyczne dla matek w zakresie poprawnego wypełniania obowiązków macierzyńskich i wychowawczych” – reklamuje się stowarzyszenie. Od 2003 r. organizacja regularnie wygrywa rozpisany przez miasto Gdynię konkurs na

realizację zadania publicznego „Wspieranie samotnych matek i rodzin ubogich”. Część podopiecznych stowarzyszenia trafia tam na podstawie skierowania z Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej. Każda matka, korzystająca ze wsparcia, odbywa rozmowę z pedagogiem, nauczycielem naturalnego planowania rodziny. Na indywidualne spotkania jest również umawiany psycholog, w razie potrzeby. – Nasze stowarzyszenie zrzesza świeżych katolików. Wspierają nas ojcowie jezuici, którzy bezpłatnie użyczają nam pomieszczeń – mówi „Do Rzeczy” Teresa Janowska, prezes stowarzyszenia, doradca rodzinny. – Jeśli się wyciągnie rękę do matki, jeśli się jej zaoferuje pomoc, to ona nie zabije swojego dziecka. Trafiają do nas kobiety w zaawansowanej ciąży, które już zdecydowały, że urodzą, ale często są przerażone samą perspektywą. Są również takie, które dowiadują się, że zaszły w ciążę i nie wiedzą, jaką podjąć decyzję, są przerażone zaistniałą sytuacją i także myślą o aborcji. Pod wpływem rozmów, które trwają niekiedy godzinami, zmieniają zdanie i akceptują swój stan, przyjmując nowe życie – dodaje.

Jedną z najciekawszych inicjatyw pro-life jest Dom Pomocy Społecznej dla Dzieci i Młodzieży w Broniszewicach, prowadzony przez siostry dominikanki. Pod ich opieką znajduje się 56 chłopców o różnym stopniu niepełnosprawności. Jedni cierpią na zespół Downa, inni na autyzm, jeszcze inni zmagają się z dziecięcym porażeniem mózgowym. Niektórzy nie widzą, niektórzy nie słyszą, a niektórzy nigdy nie opuszczają swoich łóżek. Jak opisują to same siostry na stronie internetowej placówki, „wśród nich jest głuchoniemy Adrian, który codziennie wpada do biura siostry Tymki i całując ją na powitanie, pyta na swój sposób, jak ona się dziś czuje. Jest i Kaziu, który ujmując swoją wdzięcznością, przeprasza siostrę Elżbę, że zapomniał jej podziękować za cukierka. I ci, którzy żyją przykuci do łóżek, a mimo to potrafią się uśmiechnąć, gdy przychodzimy”. O siostrach z Broniszewic zrobiło się głośno trzy lata temu, gdy zaczęły zbierać pieniądze na budowę domu dla dzieci niepełnosprawnych. Rozpropagowaniu zbiórki przysłużyło się zabawne nagranie, na którym pokazały dystans do siebie, udając pingwiny. Film stał się hitem Internetu. Udało się zebrać 7 mln zł na szczytny cel. Obecnie siostry zbierają na budowę nowej kotłowni. ©©



Agnieszka Niewińska

Na chronionym terenie od pięciu lat powstaje wielki zamek warowny. Choć od 2018 r. trwa spór o budowlę, to jej mury i tak się pną

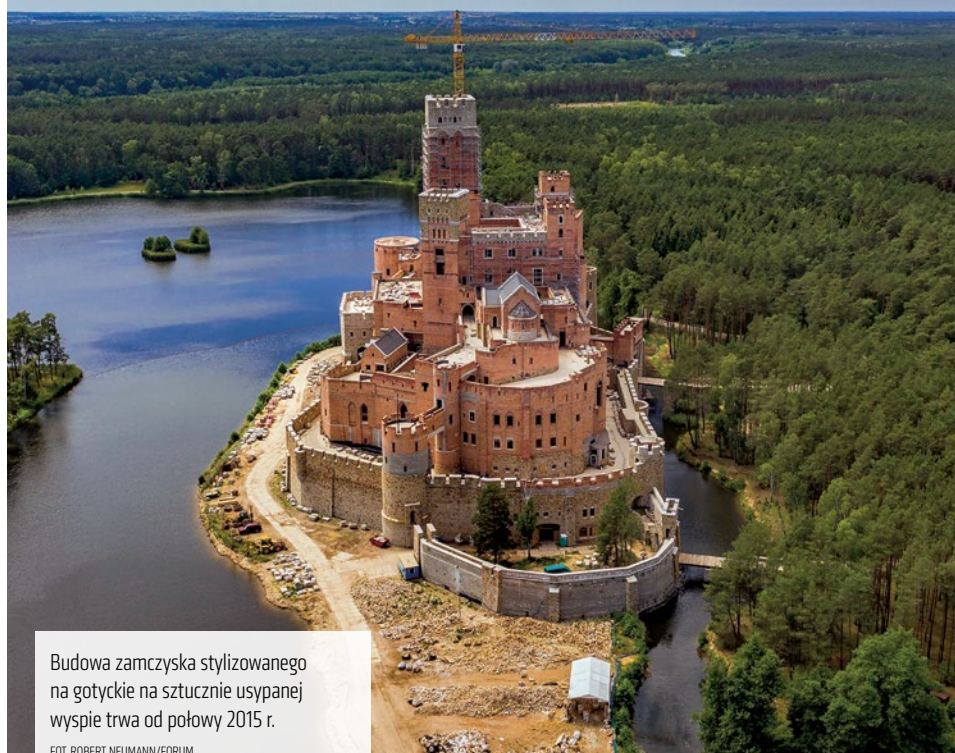
Już jesteśmy zmęczeni tą całą aferą wokół Stobnicy. Ludzie przyjeżdżają, chodzą, dopytują, szukają sensacji – mówi „Do Rzeczy” Maria Sahan, sołtys tej wielkopolskiej wsi w powiecie obornickim. Miejscowość stała się znana w całej Polsce po tym, jak przed dwoma laty w sieci zaczęły krążyć zdjęcia z drona, na których widać ogromne gmaszysko powstające na obrzeżach Puszczy Noteckiej w obrębie terenu chronionego Natura 2000. Od połowy 2015 r. na sztucznie usypanej wyspie trwa tam budowa zamczyska stylizowanego na gotyckie.

Po tym, jak o inwestycji zrobiło się głośno, sprawą zajęły się: Ministerstwo Środowiska, CBA i prokuratura. Mimo to ekipy budowlane kontynuowały prace. Gigantyczny żuraw dźwigał materiały budowlane, a zamkowe wieże wciąż się pięły, zyskując kamienną elewację. – Rozbiórka zamku? Kiedy ktoś mnie o to pyta, mówię, że nie wchodzi w grę. Za duże koszty – mówi sołtys Stobnicy. I dodaje, że do budowni mieszkańcy są nastawieni pozytywnie. – To atrakcja w naszej okolicy. Turyści będą przyjeżdżać.

TRZECH NOWAKÓW

Zamczysko ma 15 kondygnacji. Na lotniczych zdjęciach widać wieże, baszty, dziedzińce. Najwyższa wieża liczy 70 m. „Pomysł na projekt w takiej konwencji rodził się przez wiele lat i jest wynikiem chęci stworzenia przestrzeni, która odwołuje się do historycznych wzorców architektury polskich zamków i której charakter zdecydowanie różni się od nowoczesnego budownictwa” – mówił przed dwoma laty „Głosowi Wielkopolskiemu” inwestor Dymitr Paweł Nowak, prezes poznańskiej spółki DJT.

O kontrowersjach wokół inwestycji trudno z nim dziś porozmawiać. Dzwoniąc wielokrotnie do firmy, słyszymy, że abonent jest niedostępny. DJT na swojej stronie internetowej w bardzo skąpym opisie informuje, że jest „polską, rodzin-



Budowa zamczyska stylizowanego na gotyckie na sztucznie usypanej wyspie trwa od połowy 2015 r.

FOT. ROBERT NEUMANN/FORUM

„Gargamel” z Puszczy Noteckiej

ną firmą”. „Stawiamy szczególny nacisk na długoterminowe, niekonwencjonalne inwestycje mieszkaniowe” – czytamy na stronie. Wspomniany już prezes Dymitr Paweł Nowak (rocznik 1989) jest architektem. Wiceprezesem DJT jest jego młodszy brat Tymoteusz Paweł Nowak (rocznik 1993). Są synami Pawła Nowaka, współtwórcy marki odzieżowej Solar, który w 2013 r. sprzedał 6 mln udziałów w tej firmie za 78 mln zł.

Plany wzniesienia zamczyska mogły nabierać kształtu po tym, jak w 2011 r. radni Obornik zmienili plan zagospodarowania przestrzennego. Dzięki temu w Stobnicy dozwolono zabudowę wysoką na 50 m z dominantą, czyli głównym elementem architektonicznym, nawet do 70 m.

Przeciwwskazań do budowy nie widziała Regionalna Dyrekcja Ochrony Środowiska, której inwestor przedstawił raport o wpływie inwestycji na

środowisko. Przygotowali go naukowcy, przyrodnicy, których część była związana z Uniwersytetem Przyrodniczym w Poznaniu. Z raportu wynikało, że choć każda ingerencja człowieka w środowisko może wpłynąć niekorzystnie na jego stan, to zamek w Stobnicy „nie będzie znacząco negatywnie oddziaływał na przedmioty ochrony obszarów Natura 2000”. Jednym z autorów raportu był prof. Piotr Tryjanowski, kierownik Instytutu Zoologii Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu. Może nie wzbudziłoby to aż tylu kontrowersji w mediach, gdyby nie fakt, że naukowiec trafił do rady fundacji Fauna Polski, której fundatorem był... ojciec inwestorów ze Stobnicy, Paweł Nowak.

„Akurat znam tego Pana, co to w Stobnicy buduje, i gdyby był taki poziom poszanowania PRZYRODY w Polsce, to byłoby więcej niż wspaniale. Przyrodnicy dają tylko opinie na podstawie wska-

zanych w zakresie raportu punktów, to RDOŚ wydaje decyzje” – argumentował na Twitterze prof. Piotr Tryjanowski.

W fundacji prezesem został Krzysztof Mączkowski, pracujący wówczas także w Wojewódzkim Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Znaleźli się w niej też obrońcy przyrody, m.in. Borys Kala, Przemysław Wylęgała, Andrzej Batycki (wszyscy trzej związani z Polskim Towarzystwem Ochrony Przyrody „Salamandra”) oraz Rafał Kurka związany ze stowarzyszeniem Pracownia na rzecz Wszystkich Istot – szczególnie zaangażowanym w protesty przeciwko wycinkom w Puszczy Białowieskiej. Po tym, jak wyszły na jaw kontrowersje wokół inwestycji w Stobnicy, przyrodnicy odeszli z fundacji.

Przemysław Wylęgała z PTO „Salamandra” wielokrotnie wskazywał na słabe punkty raportu o wpływie zamku na środowisko. W wywiadach podkreślał m.in., że od pierwszych stron dokumentu widać, że został przygotowany „pod inwestora” i nie był oparty na aktualnych badaniach terenowych. Raportu w „Gazecie Wyborczej” bronił w 2018 r. Krzysztof Szoszkiewicz, wówczas prorektor Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu, mówiąc, że przytoczone zarzuty to insynuacje, a prof. Tryjanowski był najbardziej kompetentną osobą do sporządzenia raportu. „Należy do najwybitniejszych uczonych tego uniwersytetu, do najwybitniejszych ornitologów na świecie. Jest cytowany przez innych badaczy tysiąc razy rocznie” – wyliczał. Wyjaśniał też okoliczności sprzedaży należącej do uczelni działki znajdującej się w pobliżu powstającego zamku. Działała na niej Stacja Doświadczalna Uniwersytetu Przyrodniczego. Uczelnia sprzedała ją firmie Nowaków. Szoszkiewicz tłumaczył, że ci kupili ją w drodze licytacji za 691 tys. zł. Rzeczoznawca wycenił ją na 550 tys. zł.

Starostwo Powiatowe w Obornikach zgodę na budowę zamczyska wydało w 2015 r. Po medialnej burzy w ubiegłym roku swoją wcześniejszą decyzję uchyliła RDOŚ, wniosła sprzeciw wobec jej realizacji. Uznała, że inwestor buduje na powierzchni większej, niż deklarował – zamiast na 1,7 ha inwestycja według RDOŚ przekracza 2 ha.

MINISTER: TO AROGANCJA BOGATYCH

W lipcu zarzuty usłyszeli główny projektant zamku, dwóch reprezentantów

spółki prowadzącej inwestycję (prokuratura zarzuciła im prowadzenie budowy zagrażającej środowisku i prowadzenie jej wbrew przepisom ustawy o ochronie środowiska), czterech urzędników z Wydziału Architektury i Budownictwa w starostwie powiatowym w Obornikach oraz z Powiatowego Inspektoratu Nadzoru Budowlanego w Obornikach. – Śledztwa nie zamierzamy już przedłużać i z końcem roku do sądu trafi akt oskarżenia – informuje nas Łukasz Wawrzyniak, rzecznik Prokuratury Okręgowej w Poznaniu.

W sierpniu prokuratura złożyła sprzeciw do wojewody wielkopolskiego wobec decyzji starosty obornickiego o pozwoleniu na budowę z uwagi na wydanie jej z rażącym naruszeniem prawa. Wojewoda wielkopolski Łukasz Mikołajczyk decyzję wydał dopiero z początkiem grudnia. Potwierdził część zarzutów prokuratora. Przyznał, że starosta obornicki naruszył prawo, wydając zgodę na budowę zamku, ale budowy nie zatrzymał. 19 września zmieniło się prawo budowlane, a wedle nowych przepisów po upływie pięciu lat od wydania pozwolenia na budowę decyzji nie można unieważnić – nawet w przypadku, gdy została wydana z naruszeniem prawa. W efekcie w Stobnicy prace mogą być dalej prowadzone.

– Ze względu na złożoność sprawy wojewoda nie mógł podjąć decyzji przed 19 września br. – tłumaczy Tomasz Stube, rzecznik wojewody wielkopolskiego. – Konieczne było uzyskanie wielu dokumentów, m.in. kompletnych akt sprawy z prokuratury. W sierpniu br. wojewoda wysłał zapytanie do Regionalnego Dyrektora Ochrony Środowiska w Poznaniu. Odpowiedź wpłynęła z początkiem września. Wtedy też wojewoda skierował do stron zawiadomienie o zgromadzeniu materiału – to obowiązkowy element postępowania administracyjnego. Strony miały czas na wypowiedzenie się przed wydaniem decyzji. Dopiero po zgromadzeniu obszernego materiału dowodowego i przeprowadzeniu postępowania możliwe było wydanie decyzji – dodaje.

Po tej decyzji wojewody o jego odwołanie do premiera zwrócił się szef MSWiA Mariusz Kamiński. Uznał, że jego decyzja w sprawie zamku jest sprzeczna z interesem publicznym. – Zamek w Stobnicy jest dla mnie przykładem niesłychanej arogancji ludzi, którzy po-

siadają pieniądze. To pokazuje, jak słaba może być władza publiczna na terenie – stwierdził Kamiński.

To jednak nie koniec sprawy zamku w Stobnicy. Zajmuje się nią Naczelny Sąd Administracyjny. Prokuratura może też zaskarżyć decyzję wojewody do Głównego Inspektora Nadzoru Budowlanego. Na razie analizuje uzasadnienie decyzji.

MIESZKAĆ PO KRÓLEWSKU

W zamku w Stobnicy inwestor zaplanował kilkadziesiąt luksusowych apartamentów dla ok. 100 mieszkańców. Czy ktoś zechce tam zamieszkać? Jarosław Krawczyk z popularnego serwisu nieruchomości Otodom.pl zaznacza, że nie brakuje Polaków, których stać na bardzo drogie obiekty. – Są to zwykle albo luksusowe apartamenty w miastach, których cena ofertowa potrafi przekroczyć nawet 20 mln zł, albo okazałe, odgrodzone od świata posiadłości w atrakcyjnych przyrodniczo rejonach, za które trzeba zapłacić czasem jeszcze więcej – wskazuje. – Słynna budowla zwana zamkiem w Stobnicy jest w tym kontekście dość dziwnym tworem. Nie gwarantowałyby ani prywatności, ani prestiżu związanego z topowymi miejskimi lokalizacjami. Gdyby inwestor dokończył budowę i faktycznie przeznaczył ją na cele mieszkaniowe, byłby to bez wątpienia ciekawy eksperyment. Trudno wyrokować, ilu znalazłoby się chętnych na takie mieszkania, zwłaszcza przy kontrowersjach, które towarzyszą inwestycji.

Jeśli ktoś marzy o zamieszkaniu w nieruchomości o królewskim charakterze, to wcale nie musi budować zamku. – Obecnie w serwisie znaleźć można ok. 70 dworów lub pałaców, niektóre o ogromnej wartości historycznej – mówi Jarosław Krawczyk. Te wymagające kapitalnego remontu można kupić już za kilkaset tysięcy. Ceny nieruchomości w dobrym stanie idą w miliony. – Ze względu na wysokie kwoty towarzyszące zakupowi i utrzymaniu dworów lub pałaców nie jest to typ nieruchomości szczególnie często poszukiwany. Niektóre budynki latami czekają na chętnego nabywcę. Zazwyczaj kupowane są w celach biznesowych, a nie mieszkaniowych – urząda się w nich pensjonaty, hotele czy domy weselne. Do celów mieszkaniowych mogą służyć milionerom z fantazją.



Ze Sławomirem Koprem

rozmawia

Tomasz Zbigniew Zapert

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Przedstawienie pana współautorstwa (z Robertem Miękusem) pt. „Cena władzy” (premiera w poniedziałek 14 grudnia o godz. 21, telewizyjna Jedynka) traktuje o przesunięciu na szczycie naszej władzy przed półwieczem. Do takim momentów doprowadzał w Polsce Ludowej „gniew ludu”?

SŁAWOMIR KOPER: Tak, władza utrzymywała się dopóty, dopóki nie chciano jej wywieźć na taczach.

Przetasowania wierzuszki z roku 1970 przypominają porachunki gangsterskich frakcji...

Żadna niespodzianka. Już PPR rządziła niczym mafia, a potem nie było lepiej. Może nie mordowano się na ulicach, ale to był zamknięty krąg aparatczyków, pełen intrygujących koterii.

Na pomysł drastycznych podwyżek cen żywności w przededniu Bożego Narodzenia wpadł sam towarzysz „Wiesław” czy też stanowiło to element prowokacji mającej na celu wymuszenie jego odejścia?

Po podpisaniu traktatu z NRF, która dopiero ćwierć wieku po zakończeniu drugiej wojny światowej uznała nasze zachodnie granice – biegnące nurtem Nysy Łużyckiej i Odry – stracił wyczucie sytuacji i panowanie nad sobą. Wydawało mu się, że społeczeństwo będzie go teraz kochało i zgodzi się potulnie na wszystko. Ta pewność siebie okazała się zgubna. W innych okolicznościach zapewne nie upierałby się przy podwyżkach przed świętami.

Gdyby nie nagła choroba, Władysław Gomułka by nie ustąpił? A może do rezygnacji z funkcji pierwszego sekretarza KC PZPR przekonał go telefonicznie Leonid Breżniew?

To niezwykle symptomatyczne, że notable Polski Ludowej – gdy odchodzili od władzy – zawsze mieli problemy zdrowotne. Gomułka nie był wyjątkiem. Wiedział jednak, że stracił poparcie Kremla. A bez niego rządzić nie było można.

Dlaczego znów – bo miał już na to chrapkę dwa lata wcześniej – sukcesji nie udało się objąć Mieczysławowi Moczarowi?

Ponieważ Kreml nie chciał się zgodzić na nacjonalistę. Miał już wystarczająco dużo problemów z Rumunią pod kierunkiem Nicolae Ceaușescu.



Teatr Telewizji „Cena władzy”. Na zdjęciu: Zbigniew Strzyżewski w roli Edwarda Gierka

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Roszada za zgodą Kremla

Edward Gierek przybrał postawę wyczekującą? Miał jeszcze innych kontrkandydatów?

Właściwie poza Moczarem nie było nikogo. Uchodzący za ewentualnego następcę Gomułki Stanisław Kociołek umoczył ręce we krwi stoczniovców zamordowanych w Trójmieście, a inny potencjalny – jak spekulowano – претендент do sukcesji, Józef Tejchma, chyba nie miał takowych aspiracji. Gierek wahał się, lecz był doświadczonym graczem i cierpliwie czekał na odpowiednią chwilę.

Czym zapisał się w grudniu 1970 r. Grzegorz Korczyński?

Pewności nigdy mieć nie będziemy, gdyż relacje są sprzeczne, ale był człowiekiem Moczara i realizował jego dyrektywy. W scenariuszu poszliśmy tropem, że chciał doprowadzić do krwawego rozstrzygnięcia. Bo jak inaczej wyjaśnić mocno niezgodne z prawdą raporty wychodzące od jego ludzi, na przykład o dwóch zlinczowanych milicjantach? A dlaczego doszło do masakry w „czarny czwartek” – 17 grudnia 1970 r.? Niewątpliwie pojawiali się prowokatorzy, podjudzający tłum manifestantów na ulicach Gdańska i Gdyni.

Na pomysł kandydatury tow. Szttygara wpadł Franciszek Szlachcic?

Obydwaj się doskonale znali, pochodzili z jednego regionu, a Szlachcic już zdążył poróżnić się z Moczarem. Gierek był wygodny dla wszystkich, a poza tym cieszył się autentyczną popularnością. Na Śląsku wtedy faktycznie żyło się najlepiej w kraju.

Józef Cyrankiewicz mógł pozostać w pierwszym szeregu władzy?

Zrobił swoje, poparł Gierka, a w zamian dostał synekurę. Po kilkunastu miesiącach odszedł z funkcji przewodniczącego Rady Państwa na polityczną emeryturę.

Rola łącznika z Moskwą - nieco chyba przypadkowa, bo przebywał akurat w stolicy Związku Sowieckiego na posiedzeniu Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej - wywindowała na stanowisko premiera Piotra Jaroszewicza?

W pewnym sensie tak, ale też potrzebowano kogoś do wytężonej pracy, gdyż Gierek nie lubił się przemęczać. A Jaroszewicz wręcz palił się do znacznie bardziej czasochłonnego stanowiska prezesa Rady Ministrów

Stanisław Kania miał powody czuć się rozczarowany wynikiem rozgrywki?

Oczywiście. Brał udział w spisku, a został odsunięty na dalszy plan. Gierek dał wyraznie do zrozumienia, że sam dobierze sobie współpracowników, a do niego najwyraźniej nie miał zaufania. Spłacił dług Szlachcicowi, Jaruzelskiemu i Cyrankiewiczowi, Tejchmę przesunął na stanowisko wicepremiera, gdzie ten czuł się znacznie lepiej niż w aparacie partyjnym. Za pobyt na bocznym torze Kania odpłacił Gierkowi niespełna 10 lat później.

Zenon Kliszko, Ignacy Loga-Sowiński i Bolesław Jaszczuk byli z góry skazani na odstawkę?

Należeli do zauszników Gomułki, więc nie znalazło się dla nich miejsce w ekipie Gierka. Zastąpił ich – i im podobnych – solidny desant śląski. „Pociąg z Katowic wjeżdża na peron warszawskiego dworca – proszę odsunąć się od stanowisk” – ilustrował to zjawisko ówczesny dowcip, parafrazujący zapowiedź spikera kolejowego. Zresztą to chyba normalne, że nowy pierwszy sekretarz spłaca zobowiązania, ale jednocześnie chce mieć pewnych ludzi obok siebie.

Wyjątkowo mroczną i odpychającą figurę uosabia w spektaklu Wojciech Jaruzelski, żegnany – w III RP!!! – z wojskowymi honorami...

Był największym wygranym grudnia 1970 r. Wydatnie wzmocnił swoją pozycję i z satelity Moczara stał się jednym z głównych rozgrywających. Wiedział, że Gierek nie będzie mógł się go pozbyć, zwłaszcza że Jaruzelski cieszył się całkowitym zaufaniem Moskwy.

Już wówczas rozpoczął montowanie ekipy totumfackich z Czesławem Kiszcziakiem oraz Florianem Siwickim na czele.

Właśnie to chcieliśmy pokazać. Właśnie wtedy zaczął też chodzić w czarnych okularach. To niejako zapowiedź przyszłych, równie dramatycznych dla Polaków wydarzeń.

W ustalaniu nominacji personalnych towarzyszom towarzyszył trunki?

W tym gronie abstynentem – i to zagorzałym! – był tylko Jaruzelski. Reszta piła, Cyrankiewicz koniaki i whisky, pozostali preferowali czystą wódkę. Wystarczy poczytać

„Dzienniki polityczne” Mieczysława F. Rakowskiego, żeby mieć wyobrażenie, że na wierzchołku PRL-owskiej władzy za kołnierza się nie wylewało. Wprawdzie Gierek podobno bał się żony bardziej niż Breżniewa, ale niepijącym też nie był. Zresztą w śląskich i zagłębiowskich rodzinach alkohol często stanowił element egzystencji. Inna kwestia, kto wtedy w Polsce nie pił? Obficie zakrapiane imprezy Macieja Szczepańskiego, ówczesnego, wszechwładnego prezesa Radiokomiteu przeszły nawet do legendy.

Obecne w sztuce żony dygnitarzy miały wpływ na ich politykę?

Raczej nie. Władza w czasach komuny była domeną mężczyzn. Przecież dopiero Gierek zaczął składać wizyty zagraniczne z małżonką, Stanisławą. Co, mówiąc nawiasem, wzbudzało rozmaite, nie zawsze pozytywne, reakcje.

Za masakrą na Wybrzeżu przed 50 laty nikt nie poniósł odpowiedzialności. To kolejny dowód katastrofalnego stanu rodzimego sądownictwa czy też rezultat braku rozkazów o strzelaniu do protestujących, wydanych przez ówczesnego ministra obrony narodowej – składną zniszczonych potem na jego polecenie?

Wielu wydarzeń z naszej przeszłości nie rozliczono. I tak już chyba, niestety, pozostanie.

W dobie mody na historię alternatywną zapytam na koniec, jak by się potoczyły dzieje Polski, gdyby Gierek pozostał na Śląsku?

Komunizmu nic by nie uratowało, może jedynie zapaść gospodarcza PRL została odsunięta w czasie. A kto mógł przejąć władzę po totalnie skompromitowanym Gomułce? Moczar? Kreml by się sprzeciwił. Kociołek? Też odpada. Tejchma? Nie nadawał się do kierowania partią. Kania i Jaruzelski nie mieli ani odpowiedniego zaplecza, ani stosownego poparcia. Pozostawał, zatem wyłącznie Gierek.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Ślawomir Koper, Robert Miękus „Cena władzy”

– reż. Arkadiusz Biedrzycki, obsada: Wojciech Kalarus, Zbigniew Stryj, Rafał Królikowski, Marcin Bosak, Wojciech Skibiński, Robert Czebotar, Zbigniew Suszyński, Andrzej Andrzejewski, Łukasz Lewandowski i inni; premiera: Teatr Telewizji pon. 14 grudnia, godz. 21, TVP1.



Obywatel Mank



Piotr Gociek

Nowy film Davida Finchera jest znakomity tam, gdzie składa hołd arcydziełu kina, jakim był „Obywatel Kane”, i gdy zagłęda za kulisy starego Hollywood. A mocno fałszywy tam, gdzie dotyka polityki

Nikt nie był bardziej nieszczęśliwy, bardziej gorzki i zabawniejszy niż Mank – doskonały pomnik samozniszczenia – mówił o nim Orson Welles. „Ale kiedy jego gorycz nie była skupiona wprost na tobie, był najlepszym kompanem na świecie”. Herman J. Mankiewicz, scenarzysta, pijak, hazardzista, był jedną z tych barwnych postaci, dzięki którym Hollywood zmienił się w prawdziwą fabrykę snów. Sam pisał dobrze i szybko. Potrafił skupić wokół siebie innych zdolnych. Kiedy dostawał do poprawy cudze scenariusze, zamieniał je w złoto. W filmie „Mank” w jego rolę wciela się Gary Oldman, zasługując zresztą na oscarową nominację.

„Mank” to pierwszy film Davida Finchera od czasu „Zaginionej dziewczyny” („Gone Girl”, 2014). Jest to przedsięwzięcie rodzinne Fincherów – scenariusz napisał jego ojciec, Jack Fincher. Próby realizowania projektu trwały od lat 90. Od czasu śmierci Jacka Finchera w roku 2003 na polu walki pozostał David, który upierał się przy filmie czarno-białym, co sprawiało, że kolejne wytwórnie odsyłały go z kwitkiem. Z pomocą przyszedł Netflix. „Mank” miał światową premierę w serwisie 4 grudnia.

PREZENT DLA FANÓW KINA

Rzecz jest o tym, jak Herman J. Mankiewicz pisał swoje opus magnum, to znaczy scenariusz do filmu Orsona Wellesa „Obywatel Kane”. Historia powstawała na łożu bolesti. Skomplikowane złamanie nogi wymagało długiej i żmudnej rehabilitacji. Honorarium miało być sute, ale wymagania – olbrzymie. Miał to być pierwszy film Orsona Wellesa (gra go Tom Burke), ściągniętego do Hollywood po sukcesach radiowych i teatralnych. Kontrakt Wellesa gwarantował mu pełną swobodę na wszystkich etapach pracy, od wyboru tematu do nadania filmowi ostatecznego kształtu. Welles pojawia się jednak tylko na marginesie „Manka”, główną postacią jest Mankiewicz, wspomagany podczas pisania przez sekretarkę (Lily Collins).

Podobnie jak w filmie „Obywatel Kane”, którego akcja poprowadzona jest nielinearnie, historię Mankiewicza i jego inspiracji poznajemy w licznych retrospekcjach, widzimy go u szczytu popularności w roku 1934, ale także kilka lat później, kiedy ma już poważne problemy alkoholowe. Jego oczami oglądamy możliwych tego świata: właściciela studia RKO Pictures Louisa B. Meyera (Arliss Howard), jego prawą rękę Irvinga Thalberga (Ferdinand Kingsley), a także prasowego magnata, milionera Williama Randolpha Hearsta (Charles Dance). Na drugim planie pojawia się mnóstwo innych postaci złotych lat Hollywood. No i oczywiście najbliżsi Manka: jego żona Sara (Tuppence Middleton), o której mówiono powszechnie „biedna Sara” (ze względu na to, że musiała tolerować kolejne wybryki Manka), oraz Joseph L. Mankiewicz, jego brat reżyser.

„Mank” jest cudownym prezentem dla fanów kina, zwłaszcza tych, którzy są za pan brat z „Obywatелем Kane’em”. Najlepiej smakuje, kiedy obejrzymy wcześniej arcydzieło Wellesa, wtedy bez trudu dostrzeżemy wszystkie miejsca, gdzie Fincher nawiązuje, parafrazuje, inspirowanie – pyszna to uczta. Scenariusz „Manka” pełen jest scen jak z oryginalnych scenariuszy Mankiewicza, który słynął z błyskotliwych, dwuznacznych, dowcipnych



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

i ciętych dialogów. W tym stylu pisane są przede wszystkim sceny, w których naprzeciw Manka staje Marion Davies, aktorka i kochanka Hearsta, którą świetnie zagrała Amanda Seyfried. Muzyka autorstwa duetu Trent Reznor i Atticus Ross brzmi jak ta, którą napisał do „Obywatela Kane’a” Bernard Herrmann. W wielu scenach mamy podobne operowanie światłem. Całość stylizowana jest na film z epoki, choć z jedną ważną różnicą – gdy oglądamy odrestaurowane cyfrowo dzieła epoki filmu czarno-białego, widzimy, jak ważny był w nich kontrast, tymczasem Fincher stawia przede wszystkim na rozmaite odcienie szarości, film miejscami sprawia wrażenie serii nieco wyblakłych starych fotografii. To nie film o Hollywood, to sen o Hollywood. Sen ponury.

UTRATA WIELOZNACZNOŚCI

Robota aktorska jest wyśmienita, jednak magia działa tylko do pewnego momentu. Do chwili, w której opowieść o poddającym się z wolna własnym demonom niesłuchanie utalentowanemu scenarzyście zamienia się w próbę definitywnego rozstrzygnięcia, kto jest głównym autorem „Obywatela Kane’a” i kto był inspiracją do stworzenia postaci Kane’a. Sprawa nie jest tak oczywista. Analiza kolejnych wersji tekstu udo-

wodniła, że wkład Manka był wielki, ale Wellesa – decydujący. David Fincher staje zdecydowanie po stronie Mankiewicza, sugerując w dodatku, że głównym powodem przerobienia Hearsta na Kane’a była chęć odegrania się na milionerze za jego rolę w kampanii wyborczej roku 1934, kiedy to bogaci mieszkańcy Kalifornii zjednoczyli się (i sypnęli groszem), by nie dopuścić do wybrania na gubernatora utopijnego socjalisty i pisarza Uptona Sinclaira. Tymczasem zarówno Welles, jak i Mankiewicz podkreślali, że Kane stworzony został z rozmaitych inspiracji, a Hearst był tylko jedną z nich.

Fincher przedstawia Sinclaira jako postać szlachetną, a jego program jako wielce słuszny. To pierwsze może być prawdą, to drugie nie musi, bo kandydat Partii Demokratycznej proponował znaczące zwiększenie roli państwa, podniesienie podatków i wspierał wykluczające praktyki związków zawodowych (jak zakaz wykonywania pracy przez osobę, która nie należy do związku). Co ciekawe, ówczesny demokratyczny prezydent Franklin Delano Roosevelt nie popierał Sinclaira, a część polityków i wyborców demokratów wspierała trzeciego kandydata, uważając, że Sinclair jest zbyt lewicowy.

Kampania roku 1934 przeszła do historii jako przykład politycznej manipulacji wyborcami: filmiki i reklamy radiowe, w których „zwykli Amerykanie” tłumaczyli, dlaczego nie chcą Sinclaira, były tak naprawdę kręcone w studiach filmowych i z udziałem zawodowych aktorów. Nie jest jednak prawdą, jakoby szczególnie oburzało to Manka, jakoby to on wymyślił ten sposób na prowadzenie kampanii, a potem żałował, i nie jest też prawdą, jakoby za wszystkim stał Hearst. Herman Mankiewicz miał poglądy konserwatywne, był raczej cynicznym obserwatorem niż niespełnionym reformatorem. A prace w studiu filmowym stracił nie dlatego, że nie chciał mieć już nic wspólnego ze wstrętnymi manipulatorami, lecz dlatego, że sporą zaliczkę, którą wziął na spłatę długów hazardowych, przeznaczył następnego dnia na hazard. Szczytem manipulacji jest na ekranie fikcyjna postać reżysera owych reklamówek, który u Finchera ze wstydu postanowił sobie w łeb pałać. W rzeczywistości był to

człiek zadowolony ze zlecenia i polityką niezainteresowany (no i w nic sobie nie pałał).

Polityczne motywacje dopisane do opowieści o Manku niszczą przyjemność z odbioru drugiej części filmu i sprawiają, że traci on wielce pożądaną wieloznaczność. Siła „Obywatela Kane’a” polegała na tym, że do końca nie wiedzieliśmy, jakie były motywacje bohatera. Sięgając po słowa Sienkiewicza o Kmicicu: „Dziwny to jest człowiek, w którym, widać, tyle dobrego, co i złego mieszka”. Orson Welles pozostawił nam zagadkę, a nie agitkę.

ZBĘDNY BAGAŻ

„Obywatela Kane’a” Grzegorz Królikiewicz w swojej analizie książkowej „Różyczka” określa między innymi tak: „Cały film, do ostatnich słów filmowca – redaktora kroniki, to na dobrą sprawę nic innego jak zobaczenie całej »kuchni filmowej«, czyli perypetii twórcy dokumentacji, zobaczonej przed napisaniem ulepszonej wersji scenariusza filmowego [...] autotematyczne jest tu już wszystko – poza ramą. A więc to film o robieniu filmu! Kapitalne!”

Kapitalny był więc pomysł (i jakże piękny hołd zarazem), by także „Mank” był ujętym w kolejne ramy filmem o robieniu filmu (czyli „Obywatela Kane’a”, który jest filmem... o robieniu filmu na temat Kane’a!). I jest kapitalnie, ale tylko do chwili, kiedy opowieść staje się za nadto prostacka. Jakże wielkie byłoby to dzieło, gdybyśmy – poznawszy rozmaite tropy, opinie i wydarzenia – nie wiedzieli, co tak naprawdę sprawiło, że scenariusz Mankiewicza miał taki, a nie inny kształt. I gdyby sam Mank pozostał tajemnicą, a nie stał się członkiem mszczącym się za

krzywdy wyrządzone politykowi, którego w prawdziwym życiu ani nie poznał, ani nie popierał. Co do jego uraz wobec Hearsta – scena finałowej konfrontacji scenarzysty oraz magnata prasowego jest wspaniała, ale byłaby taka i bez politycznego bagażu. Hearst uważał, że świat należy do niego, Mankiewicz nie pałał sympatią do tych, którzy trzymali go blisko siebie w charakterze zabawnej, beczelnej tresowanej małpki. Fincher bliski był stworzenia dzieła wybitnego, wyszło mu dzieło jedynie interesujące, a w najważniejszym miejscu – fałszywe. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



REŻ. DAVID FINCHER
„MANK”
USA 2020

wyst. Gary Oldman,
Amanda Seyfried,
Lily Collins



FOT. MATERIAŁ PRASOWY



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Przed świtem?



★★★★★
REŻ. MATTHEW
MICHAEL
CARNAHAN
„MOSUL”
USA 2019

wyst. Waleed
Elgadi, Hayat
Karnille, Thaer
Al-Shayei

Mosul” robi wrażenie produktu lokalnego, bo taką ma obsadę, ale jest to film amerykański, z amerykańskim reżyserem i scenarzystą, fakt, że opowiedziany z innej perspektywy niż zwykłe historie wojenne o Bliskim Wschodzie. W zrujnowanym przez wojnę i spustoszone przez ISIS niemal dwumilionowym mieście splatają się losy dowódcy specjalnego oddziału SWAT oraz policjanta, który dopiero od dwóch miesięcy pełni służbę. Film jest opowieścią zarówno o przemianie tego ostatniego (z zagubionego w piekle walki żółtodzioba w bezlitosnego mściciela), jak i o przerażającym chaosie dziwnej wojny, w której frontów jest wiele, choć nie wiadomo jak wyznaczonych.

Każdy napotkany człowiek może być bojownikiem przeciwnika, szpiegiem, zdrajcą, żołnierzem sąsiedniego mocarstwa (warto zwrócić uwagę na spotkanie z irańskim pułkownikiem i jego oddziałem).

W tym piekle przetrwać próbują cywile, w większości kobiety i dzieci. Żerują na nich zarówno fanatycy z ISIS, jak i zwykli bandyci, złodzieje i czarnorynkowi handlarze. „Najciemniej jest przed świtem” – mówi jeden z bohaterów filmu, bo znajdziemy w „Mosulu” także promień nadziei, tęsknotę za chwilą, kiedy będzie można odłożyć karabin i zabrać się za odbudowę. Nie jest to rozliczenie z amerykańską interwencją, lecz postawienie najpierw diagnozy „jak jest”, a następnie „co dalej”. Kwestie

niełatwe, bo choć w filmowej fikcji młody Kurd i stary Irakijczyk działają ręką w rękę, to przecież w rzeczywistości dzieli ich bardzo wiele. Jaka więc przyszłość czeka „sztuczne państwo, którego granice nakreślili pijani zachodni dyplomaci?” – jak złośliwie przypomina na ekranie irański oficer.

W odróżnieniu od czysto rozrywkowych filmów akcji Netflixu (jak choćby ubiegłoroczny „Tyler Rake: Ocalenie”) „Mosul” jest gorzkim dramatem wojennym, który zadowoli zarówno tych, którzy oczekują akcji i egzotyki, jak i tych, którzy szukają dyskusji nieco bardziej na poważnie. Jego twórcą jest Matthew Michael Carnahan, wzięty scenarzysta („Ukryta strategia”, „Stan gry”, „Mroczne wody”), dla którego jest to debiut reżyserski. Uwaga! Nie należy mylić tej produkcji z filmem Daniela Gabriela pod tym samym tytułem, który miał premierę w ubiegłym roku i był dokumentalną opowieścią o wyzwalaniu Mosulu w roku 2017. ©©



NOWE SERIALE: „STEWARDESA”

Inteligentna czarna komedia kryminalna, której bohaterka, miłośniczka przygodnego seksu z bardzo bogatymi panami oraz dobrych alkoholi, budzi się w hotelowym pokoju obok martwego kochanka. Kto zabił? Dlaczego interesuje się nią FBI? I co martwy facet robi w jej głowie, tocząc z nią długie dyskusje? Efektowna i lepsza od oryginału

ekranizacja powieści Chrisa Bohjaliana jest tak udana, bo w roli głównej ślśni talentem komediowym i dramatycznym Kaley Cuoco, znana dotąd jako Penny z sitcomu „Teoria wielkiego podrywu”. ©© **Piotr Gociek**
• reż. „Stewardessa” („The Flight Attendant”), USA 2020, wyst. Kaley Cuoco, Michiel Huisman

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- „Śmierć Michaela Corleone” (nowa wersja „Ojca chrzestnego III”), reż. Francis Ford Coppola, USA 1990–2020,
- „Na noże” („Knives Out”), reż. Rian Johnson, USA 2019,
- „Słynny najazd niedźwiedzi na Sycylię”, reż. Lorenzo Mattotti, Włochy 2019

Sekret willi Zaratustra

Christoph Waltz, nauczony doświadczeniem swego rodaka Klausa Marii Brandauera, postanowił wyreżyserować się sam. W „Układzie idealnym” gra besserwissera, który wyrzucony drzwiami, wraca oknem. Zna – lub sprawia wrażenie, że zna – wszystkich wielkich tego świata: od Kofiego Annana do George’a Sorosa. Bryluje w kręgach dyplomatycznych i wojskowych (jak to Niemiec, ma słabość do munduru). Wkręci się nawet na przyjęcie do Białego Domu. Rzekomego hrabiego wspiera dobrze sytuowana wdowa, która też urodziła się daleko od Waszyngtonu, więc rozumie neoficki zapał. Tylko jej córka uważa Uricha za obszłizłego typu i szczerze go nie znosi.

Sędziwa Vanessa Redgrave wykorzystuje okazję, by jeszcze raz zabłysnąć na ekranie, natomiast Waltz – kolejny raz po „Spectre” – zawodzi. Pochłonięty nowymi obowiązkami, najwyraźniej zapomniiał, że postać, na której wisi cała opowieść, powinna wzbudzać choć odrobinę jeśli nie sympatii, to chociaż współczucia. Celebrytuje rozwiązanie kryminalnej zagadki, gdy nawet dla najwolniej myślących widzów jest oczywiste, kto powinien trafić za kratki. Już na wstępie zostajemy uprzedzeni, że film „nie pretenduje do miana dokumentu, lecz jest oparty na faktach”. Jeśli mitomani rzeczywiście mają taki wpływ na Amerykę, to czarno widzę przyszłość naszej cywilizacji. ©©

Wiesław Chełmniak



★★★★★
REŻ. CHRISTOPH WALTZ
„UKŁAD IDEALNY” („GEORGETOWN”)
USA 2019

wyst. Christoph Waltz, Vanessa Redgrave, Annette Bening



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

MELANŻ NA STARÓWCE

► NINATEKA

Młody warszawiak konstruuje urządzenie, które podłączone do telefonu pozwala podglądać rozmowę. Współczesny autor wykułby pewnie z tego manifest przeciw totalnej inwigilacji, jednak przedwojenne polskie kino odruchowo zmierzało w stronę komedii. Na domiar złego aktorzy, zamiast mówić, często śpiewali.



★★★★★
REŻ. ZBIGNIEW ZIEMBIŃSKI
„FREDEK USZCZĘŚLIWIA ŚWIAT”
POLSKA 1936

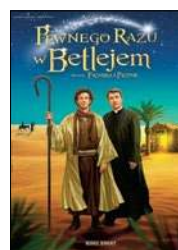
wyst. Józef Kondrat, Karolina Łubieńska, Zbigniew Rakowiecki

Przypadek filmu „Fredek uszczęśliwia świat” nawet na tym tle wydaje się jednak szczególny. Wątpliwa fabuła jest tu tylko pretekstem do wokalnych popisów i szampańskiej zabawy. Reżyser debutant nie potrafił ogarnąć chaosu. Z okna widać nietknięty most Kierbedzia. Józio Kondrat „Bomba” szarżuje, korzystając z zagubienia tytułowego bohatera. Loda Halama tańczy, jakby miała skrzydła. Wanda Vorbond-Dąbrowska, szefowa pierwszego polskiego girlsbandu, gra na pianinie. Za dwa lata będzie ze swoimi dziewczynami święcić triumfy w Berlinie. Za trzy – zginie w oblężonej Warszawie od niemieckiego pocisku.

ZAMACH NA HERODA

vod.pl

Z bliżej nieznanych powodów Bóg postanawia dokonać drobnej korekty w Nowym Testamencie. W tym celu sprowadza do Palestyny roku zerowego dwóch Sycylińczyków. Salvo jest ateistą specjalizującym się w okradaniu kościołów, Valentino marudnym proboszczem. Z miejscza zdobywają zaufanie żydowskich zelotów, bezlitosny król Herod gości ich w zamku, wzbudzając też zainteresowanie Rzymian, ale najchętniej wróciłby do XXI w. Czy odszukanie Marii i Józefa, zmierzających do Betlejem, odwróci bieg wydarzeń? Niech nas nie zmylą cytaty z „Gladiatora” i „Ucieczki w kajdanych”. Italia, najstarsza córka Kościoła, jest však ojczyzną jasełek i to do tej ludycznej tradycji nawiązuje duet włoskich komików, który ową współczesną szopkę wymyślił i w marokańskich plenerach zrealizował. Makaroniarzom się spodobała. Tuszę, że u nas będzie podobnie, choć do uchodźców mamy stosunek zgoła odmienny. ©©



★★★★★
REŻ. FICCARA/PICONE
„PEWNEGO RAZU W BETLEJEM” („IL PRIMO NATALE”)
WŁOCHY 2019

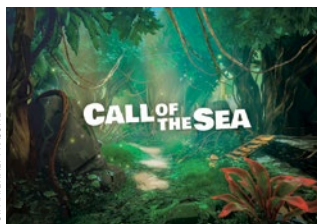
wyst. Ficarà, Picone, Massimo Popolizio

recenzuje Wiesław Chełmniak

GRA TYGODNIA: „CALL OF THE SEA”

Niewiele pojawia się w ostatnich latach gier, które łączą w sobie elementy klasycznych przygodówek, osobisty wymiar przeżywanego historii, wymagające zagadki oraz piękną szatę graficzną. Do grona tych perełek dołącza „Zew morza”. To debiutancka produkcja hiszpańskiego studia,

zabierająca gracza w podróż na egzotyczną wyspę pełną tajemnic. Główna bohaterka, w akcji osadzonej w latach 30., wybiera się na wyprawę w poszukiwaniu męża, który zaginął, próbując z kolei odnaleźć lek na jej nieznaną chorobę. Idąc jego śladami, rozwiązujemy kolejne łamigłówki,



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

powoli odkrywając również własne powołanie. ©©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** Przygodowa
- **Platforma:** PC/XONE/XXS
- **Producent, dystrybutor:** Out of the Blue/Raw Fury
- **PEGI:** 3+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Patriotyzm: czym to się je?

W historii myśli politycznej, tak jak ją próbowałem odtworzyć – mówił Andrzej Nowak w swoim wystąpieniu na tegorocznych, z konieczności odbywających się on-line Dniach Patrioty – bardzo często wolność przeciwstawiana jest porządkowi. Porządek czasami nas denerwuje, kusi nas, by wprowadzić nieład – wtedy czujemy się wolni. Jednak nieład kończy się zazwyczaj trwałą niewolą. Takie jest doświadczenie historyczne.

W gruncie rzeczy cała historia myśli politycznej skupia się na poszukiwaniu jakiegoś środka ciężkości umożliwiającego zachowanie równowagi między ładem a wolnością. Ten właśnie proces ukazuje prof. Andrzej Nowak w swojej najnowszej książce, przedstawiając długi ciąg idei od klasycznej myśli chińskiej przez greckich filozofów, św. Augustyna, do – jak powiada – „ojców założycieli” totalitarnych form liberalizmu i proroków rewolucji”. Jak w tym ciągu zmieścić patriotyzm, zwłaszcza ten, który interesuje nas najbardziej – polski? Jasne, że „każda idea ma swój wymiar intelektualny, patriotyzm również, ale oczywiście sam intelekt nie wystarczy, by pobudzić działanie. Potrzebne jest połączenie intelektu z emocjami. I taki amalgamat prezentuje nam autor pracy „Między nieładem a niewolą”. W tym, na pozór, wykładzie filozoficzno-historycznym od emocji aż kipi, dzięki czemu to popularyzatorskie dzieło staje się lekturą nie tylko pożyteczną, lecz także pasjonującą. Po części to zresztą zasługa czasów, w jakich żyjemy, w których kwestionuje się to, co przez długie lata decydowało o „być albo nie być” naszego narodu, a myślę tutaj i o tradycjach, i o najmocniejszym spoiwie łączącym nas – Polaków – religii



FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/FAST NEWS

katolickiej. To ani przypadek, ani celowy zamysł autora, bo dzieje myśli politycznej tak się po prostu układają: jako zmagania ateizmu z myślą chrześcijańską. Zmagania trwających i chyba dalekich jeszcze od rozstrzygnięcia, o ile takie jest w ogóle możliwe.

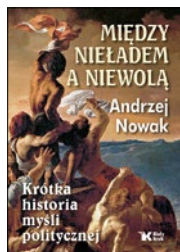
Dla każdego myślącego człowieka oczywiste jest, że wolność bywa nadużywana. I, jakże często, w takich przypadkach, jak na przykład w czasie niedawnych protestów ulicznych w Warszawie, stawiamy – zdawałoby się, retoryczne – pytanie: Dlaczego władza nie robi z tym porządku? Warto wtedy przypomnieć sobie maksymę, którą przywołuje Nowak, opowiadając o działalności Jana Jakuba Rousseau, francuskiego myśliciela z XVIII w., głoszącego potrzebę powrotu do natury, teoretyka pedagogiki, w jego przypadku objawiającej się m.in. tym, że swoje dzieci, a miał ich pięcioro, oddał do przytułku. Ale napisał też, co prawda na zamówienie konfederatów barskich, „Uwagi o rządzie polskim” z mądrymi i przychylnymi Polakom radami, także i tą: „Nie możecie przeszko-

dzić, by was nie połknęli potężni sąsiedzi, postarajcie się, przynajmniej, by nie mogli was strawić. Jeżeli potraficie dokonać tego, by Polak nigdy nie mógł zostać Rosjaninem, ręczę, że Rosja nigdy nie ujarzmi Polski”. Był rok 1771.

Awracając do dewizy, którą ponoć Rousseau miał wypisaną nad biurkiem, to sformułował ją ojciec naszego króla Stanisława Leszczyńskiego – Rafał, który miał powiedzieć: „Wolę niebezpieczną wolność od bezpiecznego poddaństwa”. Tłumaczył w ten sposób, czytamy, że bezpieczeństwo nie wystarczy do dobrego życia. Do tego potrzebna jest wolność – obywatelska. Co to ma oznaczać w praktyce naszego życia społecznego i politycznego? A na to już niech sobie państwo sami odpowiedzą.

I znów powracam do kwestii, jak w tym wszystkim pomieścić patriotyzm? Powiedziałbym, że zacząć może wypadać od przypomnienia, co to jest i czym to się je. Bardzo usilnie pracowałem bowiem nad tym, by pewne pojęcia, najważniejsze z ważnych, wykorzenić z naszej świadomości i naszego języka. Zmarły przed trzema tygodniami Marcin Król we wspomnieniowej książce „Byliśmy głupi” odnosi się do tego, co robił jako doradca premiera Tadeusza Mazowieckiego. A m.in. pisywał mu przemówienia, w których przede wszystkim musiał dbać o jedno: by nie pojawiło się w nich słowo „naród”. „Pewne rzeczy trzeba bowiem wyrugować z ludzkiej natury – powiada prof. Andrzej Nowak – przywiązanie człowieka do tożsamości wypracowanej przez pokolenia, do chęci posiadania rodziny, dzieci itd. Taka jest droga do liberalnej utopii”.

Niech przeczytają państwo „Między nieładem a utopią”. Rozjaśni się państwu w głowach. ©



★★★★★
ANDRZEJ NOWAK
„MIĘDZY
NIEŁADEM
A NIEWOLĄ.
KRÓTKA
HISTORIA MYŚLI
POLITYCZNEJ”
BIAŁY KRUK,
KRAKÓW 2020



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Serce odnalezione

Jakże sentymentalny zrobił się z wiekiem popularny spec od gładkich opowieści! Większość jego książek nie robiła na mnie wrażenia, były elegancko napisane, lecz zdawały mi się czasem puste, a częściej bardzo powtarzalne. Kto czytał dwie, trzy powieści Murakamiego – mówiłem – ten czytał już wszystkie.

Najnowszy zbiór opowiadań japońskiego pisarza zaskakuje na tym tle emocjami buzującymi w tekstach niby-autobiograficznych, ale łączących płynnie nostalgię i wspomnienia młodości z historiami mocno odrealnionymi. Oto recenzja nieistniejącej płyty Charliego „Birda” Parkera staje się powodem do spotkania ze zmarłym jazzmanem („Charlie Parker Plays Bossa Nova”). Dzieje człokształtnej mapy kradnącej kobietom tożsamość są okazją do zastanowienia się nad tym, co dajemy,

a co pada naszym łupem, gdy wchodzimy w związek („Wyznanie Małpy z Shinagawy”). Wspomnienie młodościowych wierszy o baseballu zamienia się we wzruszającą opowieść nie tyle o miłości do sportu (choć także), ile o relacjach z ojcem („Wiersze zebrane o drużynie Yakult Swallows”). „Karnawał” zaczyna się od słów: „Była najbrzydszą kobietą, jaką

znałem” jest opowiadaniem o pięknie (niekoniecznie fizycznym) i hołdem złożonym kobietom, które w ogóle jawią się w tym zbiorze jako cudowny zbiorowy bohater.

Bohaterowie (bohater – jeśli przyjmujemy założenie, że we wszystkich tekstach narratorem jest to samo alter ego pisarza) są zagubieni, często samotni, postawieni wobec zagadek, których po latach nie są w stanie wyjaśnić. Obserwacje okrutne łączą się z czułością (tej ostatniej jest więcej), a sam Murakami mówi wprost: „Nie wiem, jak to się stało, że osiągnąłem tak zwany podeszły wiek, choć przecież jeszcze nie tak dawno byłem młodym chłopakiem”. Jedni starzej się, zamieniają się w osobników apodyktycznych nie do zniesienia, drudzy w wielce – powtórzę – sentymentalnych.



★★★★★
HARUKI MURAKAMI
„PIERWSZA OSOBA LICZBY POJEDYNCZEJ”
TŁUM. ANNA ZIELIŃSKA-ELLIOTT,
MUZA 2020

„Mając dziewięćnaście lat, nie wiedziałem prawie nic o tym, co dzieje się w moim sercu, naturalnie nie miałem więc też pojęcia, co dzieje się w sercach innych” – wyznaje narrator otwierającego tom tekstu „Do kamiennej poduszki”. Ponad pół wieku później Murakami nie tylko wie na ten temat sporo, lecz także potrafi o tym w sposób zajmujący i nieoczywisty opowiedzieć. © ©

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Pionierskie podróże starożytności podejmowane przez Greków, Rzymian, Persów, Kartagińczyków, Egipcjan czy Chińczyków. Opowieść o poszerzaniu granic świata i rozumienia, nawet jeśli zaczynało się od niezrozumienia.



RAIMUND SCHULZ
„ŁOWCY PRZYGÓD W DALEKICH KRAINACH”
PIW

„Familia najwybitniejsza w Polsce” – pisał o nich Mickiewicz dwa wieki temu. Od bitwy pod Włkomierzem (1435 r.) do czasów współczesnych, książka pięknie udokumentowana, zilustrowana i mocno przykuwająca uwagę czytelnika.



ZOFIA WOJTKOWSKA
„SAGA RODU CZARTORYSKICH”
ISKRY

Ceniony (zwłaszcza przez młodych) rekoлекcjonista i kaznodzieja odszedł przedwcześnie wiosną tego roku. Pozostały teksty zebrane w ponad 20 książkach, z których ostatnią, pośmiertną, jest „Życie. Instrukcja obsługi”.



KS. PIOTR PAWLUKIEWICZ
„ŻYCIE. INSTRUKCJA OBSŁUGI”
ZNAK

„Nienawidzę zbrojców, złodziei i gwałcicieli. Tych ostatnich szczególnie” – deklaruje bezkompromisowa policjantka. Czasem sama wymierza sprawiedliwość. W tomie pierwszym szuka zabójcy znanego pisarza. © ©

poleca Piotr Gociek



MARCIN CISZEŃSKI
„TO JA, SZPIŁKA. KLUB”
WARBOOK

KOMIKS TYGODNIA:

„ZŁOTE DZIECKO”

Nazwisko Franka Millera elektryzuje każdego fana komiksu, nawet gdy stary mistrz przypomina o sobie jedynie nowym scenariuszem. Tak właśnie stało się w przypadku albumu „Złote dziecko”, który jest trzecią kontynuacją kultowego albumu Millera „Powrót Mrocznego Rycerza”. Rolę rysownika pozostawiono tym razem Rafaelowi Grampie, twórcy znanemu m.in. z albumu „Mesmo Delivery”.



FRANK MILLER, RAFAEL GRAMPA
„POWRÓT MROCNIEGO RYCERZA – ZŁOTE DZIECKO”
EGMONT 2020

Antyutopijna wizja świata Batmana była w roku 1986 przełomowym komiksem w dziejach opowieści o superbohaterach, jej kontynuacje też warte są uwagi (najnowsze są także mocno sfeminizowane). © ©

poleca Piotr Gociek



FOT. HUBERT CIOŁKOWICZ

– Mieszkamy w Danii już 12 lat i to doświadczenie przyniosło tak wiele emocji, tak wiele sytuacji, zdarzeń, tak wiele spotkań ze wspaniałymi ludźmi z całego świata. I jest to doświadczenie, które wpływa na twoje życie, zmienia twoje życie, zmienia

twoją osobowość – mówiła w rozmowie w Polskim Radiu Lublin Karolina Śmietana, wokalistka Nelle Trio. Tych doświadczeń zebrało się dużo, w sam raz na płytę.

Na album „Tribe” („Plemię”) składa się 16 kompozycji, z czego osiem to longplaye,

a pozostałe to skity. – Osiem utworów niesie ze sobą główną treść, natomiast pozostałe siedem utworów powstało z takiej mapy myślowej, którą sobie stworzyliśmy ze wszystkich słów, które kojarzyły nam się ze słowem „emigracja” – wyjaśniał Radek Wośko.

Karolina i Radek studiowali razem na akademii muzycznej w Odense na wyspie Fionia. Po studiach przenieśli się do Kopenhagi, gdzie poznali Norwega Stiana Swenssona. Uczestniczyli wspólnie w różnych projektach, wreszcie założyli Nelle Trio. Całą trójkę łączyła muzyka, no i doświadczenia emigracyjne. – Wydaje mi się, że każdy taki wyjazd za granicę, zwłaszcza w sytuacji, gdy ktoś nie ma „nagranej” jakiejś fantastycznej pracy, jest pewnego rodzaju startem od początku – mówił Radek Wośko. – Rozumiem to jako twardy reset – zaczynanie tak naprawdę od początku, bez jakieś liny ratunkowej w posta-

ci np. pieniędzy zgromadzonych na koncie czy pomocy stypendialnej – dodaje.

Jak podkreślają polskie dwie trzecie emigranckiego tria – najważniejsze w kompozycjach na „Tribe” są teksty. Napisane – poza jednym wyjątkiem – przez Karolinę. – W procesie tworzenia tych kompozycji mocno zwracaliśmy uwagę na to, żeby muzyka odzwierciedlała historię, żeby to nie był typowy układ zwrotka-refren, tylko żeby to było coś, co będzie w jakiś sposób pomagało zbudować dramaturgię opowieści. Myślę, że to był nasz główny cel poszukiwań – wyjaśniał Radek.

Aby zamówić album, najlepiej znaleźć Nelle Trio na Facebooku. Pierwsze wyłócone i podpisane krążki już pojechały w świat. Do Danii, Polski, Niemiec, Norwegii, Szwecji, Estonii, Anglii, Stanów Zjednoczonych... © ©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZOSOWICZ

NA SŁUCH

Z nurtem Wisły

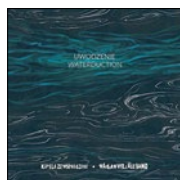
Na dziewiątym albumie Kapela opowiada historię Urzecza, mało znanego rejonu nawet dla warszawiaków. Zaczyna on się w sercu stolicy, a kończy przy ujściu Pilicy i Wilgi. Nie ma już Olędrow (protestantów niderlandzkich), nie ma Łurzycan i flisaków-oryli, którzy żyli tu przez wieki... Jest znowu muzyka.

Album otwiera nowy rozdział działalności KzW. Muzycy odeszli od przetwarzania melodii ludowych i sami skomponowali utwory inspirowane Urzeczem. Inspiracją dla nich były mazo- wieckie teksty ludowe, których bohaterem jest rzeka. Muzyczny nurt wiślany napędzają: cymbały, dulcimer, skrzypce okta- wowe, suka, udu czy żeński

śpiewokrzyk. Trąbka jazzowa niesie melodie, a uwypuklony kontrabas wprowadza dostojny groove. W „Rzeceńce” pojawia się hinduska tabla, która dodaje całości wspaniałej, wschodniej transowości.

Kolejnym krokiem w nowym kierunku jest zaproszenia do studia Marcina Świetlickiego. Wykonuje własną odę do Wisły zatytułowaną „Uwodzenie”: „Miasto istnieje, jeżeli ty zechcesz / Miasto odpływa, jeśli chcesz”.

Istotnym elementem wydawnictwa jest dołączony na DVD film dokumentalny „Zaginione Urzecz”. Przepiękne zdjęcia Wisły i wspaniała, zapomniana historia Olędrow, którzy zmienili oblicze królowej polskich rzek. © ©



★★★★★
KAPELA ZE WSI
WARSZAWA
„UWODZENIE”
KARROT



★★★★★
SBB
„ZE SŁOWEM
BIEGNĘ DO CIEBIE”
GAD

Kiedy w 1977 r. punk burzył schematy w Polsce, hegemonem było śląskie trio, które nagrywało suity. Dzisiaj te syntezatorowe uniesienia przypominają rockowe skamieliny. Na bonusowym, 30-minutowym (!) „Odejściu” Apostolis Antymos daje popis na buzuki. To tak ku zachęce.



★★★★★
GRUBSON
„AKUSTYCZNIE(NIE)
ZUPEŁNIE”
MYSTIC

Raper, który lubi też pośpiewać. Między „Ja” i „Ty” jest 16 piosenek o naszej rzeczywistości i wewnętrznych rozterkach autora. Jakub Mitoraj na gitarze akustycznej intrygująco dobarwia elektroniczne bity. Do słuchania i rozmyślania. © ©

Demokracja po unijnemu.

Czyli co w praktyce oznacza zgoda na unijny dyktat?



Kamil Góral, ekspert Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa

Kluczową rolę w Unii Europejskiej odgrywają traktaty europejskie, stanowiące niejako fundament procesu integracji. Najważniejsze są dwa z nich, Traktat o Unii Europejskiej (TUE) oraz Traktat o Funkcjonowaniu Unii Europejskiej (TFUE). Ogólnie tzw. prawo pierwotne wyznacza kompetencje organom Unii, których tym w żadnym razie nie wolno przekraczać.

Instytucje UE działają w oparciu o zasadę kompetencji powierzonych, polega ona na tym, że Unia może być aktywna w tych obszarach, które zostały jej przekazane przez państwa członkowskie w prawie traktatowym. W artykule 5 TUE przeczytać można „Zgodnie z zasadą przyznania Unia działa wyłącznie w granicach kompetencji przyznanych jej przez Państwa Członkowskie w Traktatach do osiągnięcia określonych w nich celów. Wszelkie kompetencje nieprzyznane Unii w Traktatach należą do Państw Członkowskich”. Nie trzeba być filozofem prawa żeby wiedzieć, że przepis ten chroni państwa członkowskie przed samowolą unijnych urzędników i zlokalizowanych w Brukseli instytucji. Tak aby nie okazało się, że wchodząc do UE oddaje tej organizacji wszystkie możliwe uprawnienia, jakie dotąd należały do poszczególnych państw tworzących wspólnotę. Wydaje się, że ta zasada to bezpiecznik w procesie integracji, chroniący interesy suwerennych państw członkowskich wspólnoty

przed zewnętrznym dyktatem. Interpretacja tego przepisu nie może mieć zatem charakteru rozszerzającego, ponieważ wtedy trudno byłoby wyznaczyć jej rozsądną granicę. Najpewniej byłoby nią efektywne utworzenie federacji, która dysponowałaby gigantyczną przewagą kompetencyjną nad poszczególnymi, tworzącymi ją częściami (poszczególne kraje należące do wspólnoty).

Faktyczne zanegowanie art. 5 TUE to zatem prosta droga do przekształcenia Unii w państwo. I nie ma w tym żadnej przesady. Można to zrobić metodą faktów dokonanych, stopniowo acz systematycznie gotować żabę zanim ta zorientuje się, że woda zaczyna już bulgotać. Taki proces ma miejsce obecnie w UE, wprowadza się kolejne precedensy i liczy na to, że w sumie nikt się nie zorientuje, co w praktyce z nich wynika. Od lat w Unii obowiązuje np. doktryna podparta orzecznictwem TSUE, że prawo UE ma pierwszeństwo przed konstytucjami państw członkowskich. To absurdalne założenie zastosowane w praktyce oznacza, że jeśli we wspólnocie zostanie przyjęta jakaś regulacja, to nawet krajowy sąd konstytucyjny nie może zawiesić jej obowiązywania. Z poglądem tym jakiś czas temu rozprawiał się już Federalny Trybunał Konstytucyjny w Karlsruhe. Podobnie orzekał także nasz Trybunał, ale eurokraci nic sobie z tego nie robią. Na jakiej podstawie? Trudno orzec.

Kolejnym krokiem do wysadzenia w powietrze idei państw narodowych jest tzw. kontrola praworządności. Chodzi o rozporządzenie przyjęte przez Parlament Europejski i obecnie czekające na zatwierdzenie w Radzie UE. Jeśli wejdzie ono w życie, a najpewniej wejdzie, państwa unijne będą poddane permanentnemu szantażowi. Albo zgodzą się na dyktat Unii albo nie dostaną pieniędzy. Proste? Aż za bardzo! To o tyle bulwersujące, że aby osiągnąć ten cel wykorzystuje się desperację wielu członków UE, którzy w związku z pandemią mają bardzo poważne problemy gospodarcze. Fakt, że Polska się na to nie godzi oznacza tylko tyle, że mamy odwagę mówić o tym,

o czym inni najpewniej wiedzą, ale są tak zdeterminowani, że wolą udawać, że nie wiedzą.

Prawo staje się zatem poręcznym narzędziem politycznej woli. Mamy tutaj typowy przypadek prymatu polityki nad regułami. Traktaty w żadnym miejscu nawet nie sugerują, że można ograniczać przyznawanie środków budżetowych według procedury, która obecnie jest istotą sporu między UE a Polską i Węgrami. To kwestia tak istotna, że trudno sobie wyobrazić aby prawo pierwotne jasno jej nie regulowało. A skoro nie reguluje to znaczy, że żadna instytucja UE nie ma możliwości aby przyjąć i wdrożyć przedmiotowe rozporządzenie.

Od pewnego czasu bombarduje się polską opinię publiczną narracją w rodzaju: „Unia chce nam dać tyle pieniędzy, a w zamian domaga się tylko przestrzegania prawa”. To bzdura! Po pierwsze Unia nam nic nie daje za darmo. Większość przyznanych w ramach Funduszu Odbudowy środków to pożyczki, są one denominowane w euro co zwiększa ryzyko jeśli chodzi o zarządzanie finansami państwa. Musimy bowiem euro mieć żeby je oddać, im droższa będzie ta waluta tym więcej trzeba będzie zwrócić. Po co nam taki dług? Po drugie przyznane nam środki będziemy mogli wydać tylko na to, na co zgodzi się Unia, nie będzie tutaj zbyt dużego pola manewru. I po trzecie skoro sam mechanizm wprowadzania tzw. kontroli praworządności jest bezprawny, to jak podmiot go wprowadzający może kontrolować praworządność u innych? Przecież to nonsens sam w sobie. Niemniej urabianie ludzi trwa w najlepsze, gra się na różnego rodzaju lękach i kompleksach okraszając to stekiem półprawd i zwykłych bzdur. Prawdziwą stawką nie jest jednak praworządność, a prawo suwerennych państw do samostanowienia. Pamiętajmy o tym!

www.radagospodarcza-sws.pl
www.fpg24.pl

Rada Gospodarcza
STREFA WOLNEGO SŁOWA

Przestrzenna, pootwierana na wiele stron, wertykalna i horyzontalna proza zostawiona przez Iwaszkiewicza traktowana jest przez dzisiejszych teatralników niczym zbyt obszerne bagaż, który należy upchnąć kolanem do małej podręcznej walizki. Kończy się taka czynność w oczywisty sposób: porzuceniem tematów najcięższego kalibru. A jednak... Właśnie na przykładzie starych mistrzów – wciąż silnych, wciąż zza mogiły gadatliwych – można się przekonać, jak pełna niespodzianek bywa robota teatralna.

Reżyser Kuba Kowalski, w wywiadzie udzielonym miesięcznikowi „Teatr” z okazji swojej najnowszej realizacji, wyznał: „Wpadły mi w ręce listy wydane przez Annę Król »Wszystko jak chcesz. O miłości Jarosława Iwaszkiewicza i Jerzego Błeszyńskiego«. Zacząłem je czytać i poczułem, że można z tego ulepić teatr”. I ulepił, w gdańskim teatrze Wybrzeże, rzecz całą opatrując także prowokacyjnym tytułem „Życie intymne Jarosława”, no bo sami wiecie o jakiego Jarosława nam tutaj chodzi albo nie chodzi (cytując klasyka), heheszki na całego. „Chcę pokazać widzom, że nieheteronormatywna, queerowa rodzina i tego typu konstelacja – wywodzi reżyser Kowalski, a ja podaję w skrócie – funkcjonowała w Polsce już kilkadziesiąt lat temu. To jest ważne także w kontekście politycznym. Opowiadanie o relacji miłosnej zawsze jest decyzją polityczną. Pokazanie na scenie dwóch mężczyzn w relacji miłosnej też jest naznaczone politycznie”. „LGBT nie jest wymysłem naszych czasów. Mamy LGBT we krwi” – i tak dalej, widać już, co reżyser wyjmuje ze swojej podręcznej walizeczki – trochę ideologicznego trunku. Ciekawy jednak okazuje się jego skład. „Sekretne życie...” zawiera scenki inscenizujące „Efebosa”,



„Życie intymne Jarosława”, reż. Kuba Kowalski, teatr Wybrzeże, Gdańsk, premiera: 24 lipca 2020 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Iwaszkiewicz w bagażu podręcznym



Grzegorz Kondrasiuk

Wydawałoby się, że Jarosław Iwaszkiewicz, najczęściej wystawiany w teatrach autor sezonu, nie ma z grasującymi po jego tekstach reżyserami najmniejszych szans. Ci mają bowiem nad nim jedną, ale za to zasadniczą przewagę – żyją

kultowe w „pewnych kręgach” dziełko Karola Szymanowskiego. Trzech młodych, pięknych, dobrze zbudowanych aktorów odgrywających wspólnie rolę Jerzego (Krzysztof Matuszewski, Marcin Miodek, Jan Napieralski) recytuje całe frazy tego manifestu, dając systematyczną wykładnię efefofilii, czyli modernistycznej wiary w nową kastę nadludzi, pogardzających niezdolnymi do wyższych uczuć kobietami i „heterykami”. Hm.

I tu zaczyna się najciekawsza część tej historii. Kowalski upraszczacz, uwspółcześniacz, któremu wszystko kojarzy się ze wszystkim, walczy z Kowalskim badaczem kontekstów, słuchającym tekstu. I wtedy, znienacka, dobry teatr i dobra literatura wygrywają z banałem, z reżyserskim bagażem podręcznym. Żeby nie było niedomówień: pisząc „dobry teatr”, mam na myśli aktorstwo Anny Kociarz (Anna) i Piotra Biedronia (Jarosław), a „dobra

literatura” to sekretne listy Iwaszkiewicza. Przeliterackie właśnie, nieustannie hiperbolizujące to żałosne i piękne zarażenie, karmiące się i przeżyciami quasi-religijnymi, i rozpustą pisarskie „ja”. Listy wspaniale odsłaniające destruktywną naturę pożądania spuszczonego z łańcucha, skrajnie egoistycznego, nieszukającego tak naprawdę uzasadnień ani ideologii. Zagrać z tak mocnym materiałem – rzecz ryzykowna, ponieważ frazy zbyt dobrze napisane i zagrane trudno poddają się reżyserskim uproszczeniom. I choćby szef całego zamieszania uprawiał taniec na lodzie, ideową ekwilibristykę uzasadniającą, jak bardzo słuszny i polityczny spektakl udało mu się w tych „trudnych czasach” zrobić, to zawsze spod spodu wyleżą historia i jej złożone konteksty, wszystkie ciężkie te zagadnienia, z których być może żadne nie nadaje się do wypisania na kartonach po pizzie. Ta wspaniała „nieheteronormatywna, queerowa konstelacja” jest nazbyt prawdziwie pokazana przez aktorów Wybrzeża – mądrych, ocalających złożoność postaci – i żyje swoim zwykłym, codziennym koszmarem. Rozszalały Wielki Pisarz, erotoman i egotyk – i wewnętrznie złamana, uciekająca w religijność, niesłuchanie inteligentna żona Wielkiego Pisarza. Jeśli już łączyła tych dwoje jakaś wizja wolności, to tylko poprzez fanatyczny kult sztuki, traktowanej eskapistycznie, jako ucieczka od pułapek własnego „ja”, no i od polityki. Wszystko to jest zresztą zagrane i wypowiedziane przez Annę Kociarz i Piotra Biedronia, cała ich wzniosłość i całe zwątpienie, ale jak gdyby ponad pomysłami na sens zgłaszany przez reżysera Kowalskiego. Jak bardzo trzeba być upitym ideologiami, by tokować o emancypacji, samorealizacji, geście politycznym na kanwie akurat tych właśnie historii ludzkich? ©©

DODATEK SPECJALNY – CZĘŚĆ 4



Prawna obrona polskiej pamięci historycznej

- Jakie narzędzia umożliwiają Polakom dbanie o dobre imię naszego narodu?
- Sądowe batalie o prawdę na temat cierpienia Polaków w czasie drugiej wojny światowej
 - W jaki sposób inne państwa bronią swojej pamięci historycznej?
- Anatomia medialnego ataku na Polskę po nowelizacji ustawy o IPN w 2018 roku



PARTNERZY:

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONETEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI





SPIS TREŚCI

53 ROZMOWA Z LECHEM OBARĄ BAT NA KŁAMCÓW

– Prawo cywilne daje Polakom większe możliwości obrony naszej pamięci historycznej niż prawo karne – mówi mec. Lech Obara ze stowarzyszenia Patria Nostra w rozmowie z Piotrem Włoczykiem.

57 WOJCIECH SIMON WOJNA NA PARAGRAFY

Na świadome fałszowanie historii niewiele pomogą sprostowania czy akcje edukacyjne. Z propagandzistami celowo siejącymi kłamstwa szkalujące dobre imię polskiego narodu o prawdę i godność trzeba walczyć, wykorzystując też prawo cywilne.

61 JAKUB OSTROMĘCKI HISTORIA ZA KRATKAMI

Nie brakuje państw, które w sprawach

dotyczących polityki historycznej sięgają po przepisy karne.

65 ZUZANNA DĄBROWSKA JAK WYGRAĆ WOJNĘ O HISTORIĘ

Nowelizacja ustawy o IPN z 2018 r. unaoczniała skalę niechęci zagranicznych mediów wobec polskiej pamięci historycznej. Przy okazji jasne się stało, że polska machina narracyjna to wciąż niezrealizowany projekt.

– Prawo cywilne daje Polakom większe możliwości obrony naszej pamięci historycznej niż prawo karne – mówi mec. Lech Obara ze stowarzyszenia Patria Nostra
rozmawia Piotr Włoczyk



Bat na kłamców



Mecenas Lech Obara wraz z Karolem Tenderą na sali rozpraw

FOT. JACEK BEDNARCZYK / PAP

PIOTR WŁOCZYK: Czy polskie prawo wystarczająco chroni polską pamięć historyczną?

MEC. LECH OBARA: Spośród narzędzi, których można używać do obrony prawdy historycznej, zdecydowanie najlepszym jest prawo cywilne. W ciągu ostatnich lat pojawiły się mechanizmy, które pozwalają skutecznie reagować na próby fałszowania naszych dziejów. Zdaję sobie przy tym sprawę, że sięganie po środki cywilne jest często sprzeczne z wolą wielu Polaków, którzy chcieliby ostrzejszej reakcji na najbardziej podłe kłamstwa historyczne, w rodzaju twierdzeń o „polskich obozach zagłady” czy przypisywania nam współudziału w innych niemieckich zbrodniach. Niektórzy bowiem chcieliby takich kłamców przede wszystkim ścigać na podstawie kodeksu karnego.

Czy to oznacza, że w ogóle nie jest pan zwolennikiem używania narzędzi karnych w takich sytuacjach?

W przypadku ludzi, którzy kłamią na temat naszej historii w sposób perfidny, szczególnie w kontekście drugiej wojny światowej, próbując przypisać Polakom zbrodnie popełnione przez innych, jestem w stanie wyobrazić sobie karanie takich czynów nawet więzieniem. Musimy jednak zdawać sobie sprawę z tego, jak wygląda praktyka w takich przypadkach. Najczęściej kłamstwa godzące w polską pamięć historyczną formułowane są poza granicami naszego kraju. Oznacza to, że musielibyśmy postawić przed polskim sądem obywatela innego państwa, który najpewniej nie będzie miał ochoty pojawić się w tym celu w Polsce. Tymczasem prawo, aby było szanowane, musi być skuteczne. Dlatego uważam, że prawo cywilne daje Polakom większe możliwości obrony naszej pamięci historycznej niż prawo karne. Głośne przeprosiny lub zasadzenie wysokiego zadośćuczynienia może

równie dobrze odstraszać w przyszłości potencjalnych kłamców jak groźba więzienia.

Jak źle jest dziś w tej kwestii?

Sytuacja jest trudna nie tylko w Niemczech, o których jest najgłośniejsz z uwagi na prowadzone przez nas interwencje. Szkalujące Polskę wyrażenia często padają też m.in. w mediach francuskich i brytyjskich. W 2014 r. nasze polskie placówki dyplomatyczne przeprowadziły w tej sprawie 151 interwencji, a w 2017 r. już 258. Ewidentnie same interwencje dyplomatyczne to za mało. Przeważnie dowiadujemy się o użyciu frazy „polskie obozy” przez internetowe wydania największych zachodnich mediów. Sprostowania, których domagają się polscy ambasadorowie, jeżeli w ogóle się pojawiają w tych mediach, to kilka miesięcy po fakcie. Zazwyczaj, z oczywistych względów, nie są eksponowane

■ i efekt jest taki, że wielokrotnie więcej osób przeczyta o „polskich obozach”, niż dowie się o treści sprostowania.

Obserwując to wszystko z rosnącym niepokojem, my, polscy prawnicy chcący chronić wizerunek naszego narodu, postanowiliśmy działać. Skoro bowiem funkcjonujemy w jednym europejskim systemie prawnym, gdzie wyroki sądu wydane w jednym państwie powinny być automatycznie wykonywane w innym państwie unijnym, to uznaliśmy, że należy skorzystać z polskich przepisów, by ścigać kłamstwa z zagranicy.

Jakie narzędzia daje polskie prawo ludziom chcącym walczyć z fałszowaniem polskiej historii?

Z jednej strony mamy narzędzia chroniące dobra osobiste, które ujęte są w Kodeksie cywilnym. W Kodeksie karnym mamy natomiast obronę przed znieważeniem (art. 133 kk), zwalczanie propagowania faszyzmu i komunizmu (art. 256 kk) oraz przeciwdziałanie kłamstwom na temat zbrodni niemieckich oraz zbrodni komunistycznych (art. 55 ustawy o IPN).

Właśnie w oparciu o polskie prawo cywilne pozywaliśmy najpotężniejszych zagranicznych wydawców, reprezentujących różne kanały medialne: telewizję ZDF, gazetę „Die Welt”, radio Bayerischer Rundfunk, regionalne czasopismo „Mittelbayerische”. Także wielki portal internetowy Focus Online, gdzie powodem była wiceprzewodnicząca stowarzyszenia Patria Nostra dr Janina Luberda-Zapaśnik, była więźniarka obozu Lebrechtsdorf.

Zaczęliśmy od pozwania koncernu Axel Springer, wydawcy dziennika „Die Welt”. Poprosił nas o pomoc Zbigniew Osewski, potomek więźniów obozów koncentracyjnych, który poczuł się dotknięty użyciem przez „Die Welt” sformułowania „polski obóz” w stosunku do niemieckiego obozu zagłady na Majdanku. Ta sprawa stała się kamieniem milowym w polskim orzecznictwie.

Dlaczego?

Zanim doszło do procesu z powodztwa pana Osewskiego, nie mieliśmy dobrego „punktu zaczepienia”. Jak bowiem nazwać to, co u potomka ofiar niemieckich zbrodni w obozach koncentracyjnych wywołuje przeczytanie w niemieckiej prasie określenia „polski obóz”? Artykuł 23 i art. 24 Kodeksu cywilnego mówią o dobrach osobistych będących



pod ochroną polskiego prawa, m.in. o zdrowiu, wolności oraz czci. Początkowo inni eksperci odradzali nam angażowanie się w tę sprawę, twierdząc, że polskie prawo nie wymienia dobra, które zostało naruszone w przypadku pana Osewskiego. Stwierdziliśmy jednak, że będziemy argumentowali przed polskim sądem, iż chodziło tu o godność narodową i tożsamość narodową. I ostatecznie ta argumentacja została przyjęta przez sąd. Obecnie te dobra są w polskim porządku prawnym chronione i godność narodowa oraz tożsamość narodowa są wymieniane w komentarzach do Kodeksu cywilnego jako przykłady dóbr osobistych oraz uznawane w kolejnych orzeczeniach sądów powszechnych. To było absolutnie kluczowe. Drugim stojącym przed nami wyzwaniem była tzw. indywidualizacja.

Czyli dlaczego właściwie ktoś ma się czuć urażony, jeżeli w kontekście „polskich obozów” nie został wymieniony z imienia i nazwiska?

Dokładnie. Chodziło o pokazanie, że coś, co dotyczy grupy, może dotyczyć

też konkretnego członka tej grupy. Powołaliśmy się tu na orzeczenie Sądu Najwyższego w bulwersującej sprawie obrażenia Jana Pawła II przez Jerzego Urbana. Z pozwem wystąpił nieżyjący już ks. Zdzisław Peszkowski, kapelan Jana Pawła II, a także kapelan Rodzin Katyńskich. Sąd uznał wtedy, że jeżeli dany człowiek jest bardzo emocjonalnie związany z obrażoną osobą, to może dochodzić przed sądem swoich roszczeń. To było nowatorskie podejście, które okazało się bardzo pomocne dla ludzi walczących przed sądami z kłamstwami historycznymi.

Kolejnym problemem była kwestia właściwości polskiego sądu i polskiego prawa. Skrótowo rzecz ujmując: Dlaczego sprawa ma się toczyć w Polsce, a nie w Niemczech? Przyjmuje się bowiem, że pozywa się w sądzie pozwanego. Początkowo sąd okręgowy w Polsce stwierdził, że nie jest władny, by zajmować się sprawą niemieckiej gazety, ale już sąd apelacyjny przedstawił inne zdanie.

Przepisy unijne przewidują bowiem, że w sytuacji deliktu, o którym tu mówi-



w którym Polacy byli przedstawieni jako antysemita. Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej włączył się w ten proces. W pierwszej instancji udało się wygrać, ale teraz toczy się apelacja. Wkład swój mają również niemieccy adwokaci, w tym mec. Piotr Duber i mec. Rajmund Niwiński.

Najśłynniejszą sprawą był pozew Karola Tendery, więźnia Auschwitz. Pan Tendera poczuł się urażony tekstem, który ukazał się w 2013 r. na stronie internetowej ZDF. Tekst omawiał film dokumentalny o niemieckich obozach zagłady. Znalazło się w nim zdanie: „Odkrycie polskich obozów zagłady na Majdanku i w Oświęcimiu w lipcu 1944 r. i styczniu 1945 r.”

Dzięki przedstawionej wyżej ścieżce, którą udało nam się przetrzeć, pozwem pana Tendery zajęły się polskie sądy. ZDF przeprosiła wprawdzie pana Tendere, ale zostało to zrobione prywatnie. Pan Tendera uznał, że skoro kłamstwo padło publicznie, to przeprosiny również powinny być publiczne, by jak najwięcej Niemców dowiedziało się prawdy na temat funkcjonowania niemieckiej maszyny zagłady. Polskie sądy uznały, że roszczenie byłego więźnia jest zasadne, i zdecydowały, że ZDF musi zamieścić przeprosiny na swojej stronie internetowej na okres 30 dni.

Niestety niemiecka stacja nie chciała wykonać wyroku. Zwróciliśmy się więc do sądów niemieckich. Reprezentował nas przed nimi świetny adwokat pracujący w Berlinie, mec. Piotr Duber, który robił to pro publico bono. Wysłaliśmy do niemieckich sędziów list od pana Tendery, posłaliśmy im także jego książkę ze wspomnieniami. ZDF miała po swojej stronie najlepszą kancelarię w Niemczech. Próbowano z nas zrobić awanturników, twierdząc, że realizujemy politykę historyczną PiS, która ma rzekomo skłócać Polaków z Niemcami. Przedstawiciele ZDF twierdzili też, że wyrok jest niesprawiedliwy, ponieważ sędziowie w Polsce nie są niezależni... Niemieccy sędziowie w pięknych słowach stwierdzili jednak, że wolność słowa musi zejść na drugi plan wobec cierpień pana Tendery. Niemieccy sędziowie przyznali też, że fraza „polskie obozy” nie może być uznawana za określenie geograficzne, ponieważ niewyrobiniony czytelnik uzna, iż jest to określenie narodowości sprawców zbrodni. Potwierdzili tym samym zasadność wyroku polskiego sądu i nakazali przeproszenie

pana Tendery. Jednak adwokaci ZDF odwołali się do Federalnego Trybunału Sprawiedliwości w Karlsruhe.

I wówczas okazało się, że od zasady automatycznego wykonywania wyroków wydanych w innych państwach unijnych są jednak pewne wyjątki...

Niestety, automatyzm nie zadziałał. Najważniejsi sędziowie w Niemczech niejako raz jeszcze otworzyli sprawę i zaczęli badać ją merytorycznie! Zachowali się jak kolejna instancja nad polskimi sądami. Na koniec stwierdzili, że nawet jeśli dziennikarze nie mieli prawa napisać o „polskich obozach zagłady”, to nie można im narzucić sądowo obowiązku zaprzeczenia tej tezie. Według trybunału w Karlsruhe nie można zmusić mediów do publikowania opinii innych osób, w tym opinii określonych w wyroku sądowym. Uznał po prostu, że oświadczenie nakazane w orzeczeniu sądowym, iż nie było polskich obozów śmierci, jest opinią.

To bardzo ciekawe podejście, bo Niemcy starają się przecież pokazywać jako naród, który otwarcie mówi o swoich zbrodniach. Trudno byłoby wyobrazić sobie podobny wyrok w stosunku do choćby żydowskich ofiar III Rzeszy.

Oczywiście. Jeżeli chodzi o Żydów i Holokaust, to coś takiego byłoby nie do pomyślenia, ponieważ Niemcy mają swoje przepisy karne wymierzone w ludzi mówiących nieprawdę na temat cierpień Żydów. Niemieccy dziennikarze zdają sobie z tego sprawę i są na tym tle bardzo wyczuleni. Polacy niestety nie są objęci taką ochroną...

W całej tej sprawie bardzo przykre jest to, że owo skandaliczne orzeczenie zbiegło się w czasie z wizytą w trybunale w Karlsruhe prof. Małgorzaty Gersdorf. Ówczesna pierwsza prezes Sądu Najwyższego była fetowana przez niemieckich sędziów, którzy ubolewali nad rzekomym upadkiem praworządności w Polsce... Niemieckie sądy dostały wskazówkę na przyszłość, co robić, jeżeli Polacy domagaliby się od niemieckich mediów przeprosin za kłamstwa historyczne. Pan Tendera zmarł w zeszłym roku, teraz została nam tylko apelacja do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu.

Obecnie stowarzyszenie Patria Nostra zajmuje się sprawą, której finał może mieć bardzo duże konsekwencje dla przyszłych pozwów w obronie

my, można pozwać tam, gdzie nastąpiła szkoda. Tymczasem pan Osewski został krzywdy, czytając o „polskich obozach”, gdy był u siebie, w Świnoujściu. I właśnie taką argumentację uznał sąd apelacyjny.

Czyli można powiedzieć, że polscy adwokaci sami wykuli narzędzia, których dziś można używać, by bronić polskiej pamięci historycznej?

Tak. Jeszcze 10 lat temu było to niemożliwe, ponieważ mówiono, że nie sposób wskazać konkretne dobro osobiste, które fraza „polskie obozy” mogłaby naruszać. W kontekście pozwów muszę tu wymienić prof. Aurelię Nowicką, znawczynię prawa europejskiego, która bardzo nam pomogła je sformułować. Ich współautorem jest zaś również mec. którym Szymon Topa.

Bardzo aktywni są tu również dr Monika Brzozowska i mec. Jerzy Pasieka z Reduty Dobrego Imienia. Wystąpili oni z pozwem o naruszenie dóbr osobistych żołnierza AK kpt. Zbigniewa Radłowskiego przeciwko producentowi serialu „Nasze matki, nasi ojcowie”,

■ polskiej pamięci historycznej. Jak wygląda to zagrożenie?

W styczniu 2018 r. złożyliśmy w warszawskim sądzie okręgowym pozwy przeciwko stacji radiowej i gazecie z Bawarii. Na swoich stronach internetowych media te nazwały niemieckie obozy zagłady w Sobiborze, Treblince i Bełżcu „polskimi obozami”. Stroną pozywającą jest Stanisław Zalewski, prezes Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych. Były więzień obozu zagłady domaga się przeprosin oraz wpłacenia 50 tys. zł na rzecz stowarzyszenia.

Polski sąd nieoczekiwanie w jednej z tych spraw zadał pytanie prejudycjalne do TSUE: Czy miejsce zamieszkania pozywanego na pewno powinno przesądzać w takich sprawach o właściwości polskiego sądu? Zobaczmy, co odpowie TSUE. Mało tego, że istnieje zagrożenie, iż wyroki polskich sądów nie będą wykonywane w innych krajach UE, teraz dodatkowo grozi nam, że w sprawach, w których do tej pory prawo unijne mówiło o właściwości determinowanej miejscem wyrządzenia szkody, dojdzie do reinterpretacji tej zasady. Możliwe więc, że będziemy musieli od razu pozywać niemieckie media przed tamtejszymi sądami. To oczywiście bardzo utrudniłoby naszą pracę i radykalnie

zmniejszyłoby szanse na uzyskanie korzystnego wyroku, zwłaszcza po wyroku niemieckiego trybunału w Karlsruhe.

Jak pan ocenia w tym kontekście starania Věry Jourové?

Wiceszefowa Komisji Europejskiej, widząc, że sąd niemiecki nie wykonuje wyroku, jako strażniczka traktatów powinna „z automatu” interweniować. Powinna wystąpić w obronie prawa europejskiego do TSUE w trybie art. 258 Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej, ale nie uczyniła tego, mówiąc, że to nie jest jej rola. Pisaliśmy do niej petycję i wciąż walczymy, by zajęła się tematem. Mało tego, KE wyraziła stanowisko w sprawie pytania prejudycjalnego w sprawie pana Zalewskiego. Zdaniem KE to sądy niemieckie powinny się zajmować takimi procesami. Czekamy teraz na orzeczenie TSUE, które przesądzi, czy wciąż będziemy mogli korzystać z „polskiej ścieżki” w takich sprawach.

Czyli skuteczność polskiego prawa w kontekście walki z kłamstwami na temat naszej historii zależy od tego, czy dokonują tego Polacy, czy obywatele innych państw UE?

Tak. Jak już mówiłem, w Polsce nie ma z tym problemu – udało nam się przetrzeć tu drogę. Niewykluczone jednak, że w kwestii zagranicznych mediów będziemy mieć dużo trudniej. Mówi się,

że piłka nożna to taka gra, w której 22 mężczyzn biega za piłką, a na końcu i tak wygrywają Niemcy. Wiele wskazuje na to, że podobna zasada dotyczy unijnego prawa... Rząd Polski może jednak spróbować zmienić ten stan rzeczy i wystąpić samemu w trybie art. 259 Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej do TSUE ze skargą przeciwko Niemcom za naruszenie prawa unijnego.

Czy to wszystko nie jest jednak w znacznej mierze walką z wiatrakami? Czy Polacy nie stoją tu na straconej pozycji?

Trzeba walczyć, trzeba nagłaśniać te skandaliczne historie. Jeżeli zbitka słów „polski obóz” utrwali się w pamięci zachodnich społeczeństw, to konsekwencja tego może być tylko jedna – to my zostaniemy uznani za nazistów. Profesor Witold Kieżun przestrzega przed tym mechanizmem. Jak to działa? Cały świat wie, że to naziści budowali obozy zagłady. Jeżeli Zachód powszechnie będzie uważał, że obozy zagłady faktycznie były polskie, to ci mityczni naziści automatycznie uzyskają narodowość. Nazistami staną się Polacy, a nie Niemcy. Nie możemy do tego dopuścić.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

mec. Lech Obara – jest prezesem stowarzyszenia *Patria Nostra*, organizacji przeciwdziałającej fałszowaniu historii Polski.

Państwowe Muzeum na Majdanku – Niemiecki Nazistowski Obóz Koncentracyjny i Zagłady (1941–1944) FOT. ADOBE STOCK





Kadr z serialu „Nasze matki, nasi ojcowie”
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wojna na paragrafy

Wojciech Simon

Na świadome fałszowanie historii niewiele pomogą sprostowania czy akcje edukacyjne. Z propagandzistami celowo siejącymi kłamstwa szkalujące dobre imię polskiego narodu o prawdę i godność trzeba walczyć, wykorzystując też prawo cywilne

Auschwitz-Birkenau. Niemiecki nazistowski obóz koncentracyjny i zagłady. Tak brzmi poprawne historycznie określenie. Niby wszyscy powinni je znać, ale po latach kłamliwych publikacji mówiących o „polskich obozach”, które w XXI w. pojawiały się wielokrotnie m.in. w mediach brytyjskich, amerykańskich, niemieckich, francuskich, duńskich, austriackich, norweskich, izraelskich, słowackich, włoskich czy hiszpańskich, skojarzenie tego obozu z niemieckimi oprawcami wcale nie jest powszechne wśród młodszych pokoleń. Właśnie dlatego w 2006 r. Polska wystosowała do UNESCO wniosek o oficjalną zmianę nazwy. Został on zaakceptowany i właściwa nazwa obowiązuje już ponad dekadę.

Dyplomatyczne interwencje nie wystarczą jednak do obrony polskiej pamięci. W czasach, w których w zagranicznych mediach, muzeach czy w podręcznikach historii używane są takie nieprawdziwe, dezinformujące i szkalujące dobre imię Polaków określenia jak „polskie obozy śmierci”, „polskie komory gazowe”, „polskie ludobójstwo” czy „polskie SS”, konieczne jest również składanie pozwów w sądach.

O tym, jak groźne może być tolerowanie „uproszczeń” i „skrótów myślowych”, świadczy fakt, że słów „polski obóz śmierci” w maju 2012 r. nieopatrznie użył nawet prezydent USA Barack Obama. I zrobił to podczas ceremonii pośmiertnego uhonorowania Prezydenckim Medalem Wolności Jana Karskiego – człowieka, który jako jeden z pierwszych opowiedział Rooseveltowi o Holokauście i błagał o podjęcie działań. „Nieumyślnie użyłem sformułowania »polskie obozy śmierci« w swoim przemówieniu” – napisał potem Obama, wyrażając ubolewanie, ale odmawiając przeprosin.

NUMER 100430

Urodzony w 1921 r. w Krakowie Karol Tendera – autor książki „Polacy i Żydzi w KL Auschwitz 1940–1945” – na własnej skórze poznał prawdę o niemieckich zbrodniach w czasie drugiej

wojny światowej. Po aresztowaniu przez gestapowców 5 lutego 1943 r. Niemcy wywieźli go do obozu koncentracyjnego Auschwitz. Od tego czasu nie miał nazwiska. Niemcy wypalili mu na ręce numer obozowy: 100430. W barakach niemieccy zbrodniarze, na czele z dr. Josefem Mengelem, poddawali go pseudomedycznym eksperymentom. Następnie Niemcy deportowali go do obozu Birkenau, gdzie znów był świadkiem niemieckiego bestialstwa, a potem do Flossenbürg w Leitmeritz (obecnie czeskich Litomierzycach). Po odzyskaniu wolności w ostatnim dniu wojny przez lata współpracował z Fundacją Pamięci Ofiar Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu, brał udział w wielu spotkaniach edukacyjnych, opowiadając o swoich doświadczeniach i robiąc wszystko, aby nigdy więcej ludzkość nie przeżyła już horroru znanego z drugiej wojny światowej.

– Byłem w trzech obozach i we wszystkich wieszali, bili, katowali i palili Niemcy, nie Polacy. Nie wolno dać się zakrzyczyć, że to była pomyłka. Ja tego nie zaakceptuję i nie zgadzam się na to! – mówił Karol Tendera w sądzie podczas procesu, który wytoczył niemieckiej telewizji publicznej ZDF za haniebne kłamstwo na antenie. – To świadome fałszowanie historii. Oczekuję od sądu, że postawi temu tamę, mam nadzieję,

■ że takie publiczne przeprosiny i zakaz sądowy pomogą – podkreślał były niemiecki więzień, który ostatnie lata swego życia musiał poświęcić na walkę z fałszerzami historii. W wywiadach podkreślał, że niemiecką telewizję pozwał nie z zemsty za uczynione mu przez Niemców krzywdy, ale po prostu dla obrony prawdy.

Karolowi Tenderze trudno było odmówić racji, a jednak batalia sądowa z przedstawicielami niemieckiej telewizji ZDF za posłużenie się w roku 2013 określeniem „polskie obozy zagłady Majdanek i Auschwitz” w informacji na jej portalu, dotyczącej planowanej emisji programu dokumentalnego przygotowanego przez niemiecko-francuski kanał telewizyjny ARTE, trwała aż sześć lat.

Dlaczego tak długo? Chociaż w grudniu 2016 r. krakowski sąd apelacyjny podtrzymał wyrok sądu okręgowego i nakazał niemieckiej telewizji ZDF zamieścić na portalu zdf.de przeprosiny Karola Tendery, byłego więźnia Auschwitz, za użycie w 2013 r. określenia „polskie obozy śmierci”, to niemiecki nadawca próbował wykręcić się od wykonania wyroku.

Od orzeczenia polskiego sądu odwołał się do niemieckiego wymiaru sprawiedliwości. Sądy w Moguncji i Koblencji (po odwołaniu prawników ZDF od pierwszego wyroku) przyznały jednak, że sformułowanie „polskie obozy zagłady” może „wywołać u przeciętnego odbiorcy wrażenie, że nie chodzi tylko o geograficzną lokalizację, lecz także narodową”, co sugerowałoby, że obozy były tworzone i prowadzone przez Polaków.

Prawnicy ZDF ciągle jednak nie odpuszczali i – mając świadomość, że skarżący telewizję były więzień jest już w sędziwym wieku – kontynuowali arogancję strategii kolejnych apelacji. Po skardze wniesionej do Federalnego Trybunału Sprawiedliwości w Karlsruhe, najwyższej instancji w niemieckim systemie prawnym, doczekali się sprzyjającego im orzeczenia. Sędziowie federalnego trybunału orzekli bowiem, że orzeczenie polskich sądów nie może być wykonane w Niemczech z uwagi na konstytucyjnie chronioną wolność słowa, która wyklucza nakazanie komukolwiek konkretnej treści przeprosin.

Niemieccy sędziowie w swym orzeczeniu nie tylko insynuowali wyższość cywilizacyjną niemieckiego systemu prawnego nad polskim, lecz także arogancko potraktowali określenie „polski

obóz” – oczywisty błąd nie może być chroniony przez prawo do swobody wypowiedzi, nie jest bowiem opinią, lecz określeniem przeczącym faktom historycznym.

Prawnicy kłamliwego niemieckiego nadawcy szli więc w zaparte również w Polsce. Ostatecznie ZDF jednak skapitulowała i wycofała skargę kasacyjną do Sądu Najwyższego.

KŁAMSTWA KONCERNU AXEL SPRINGER

Szkalowanie dobrej pamięci Polaków ma na koncie nie tylko ZDF, lecz także niemiecka publiczna TV SWR, stacja radiowa B5 aktuell i cieszący się dużą renomą „Die Welt”. Ten ostatni dziennik dwukrotnie w roku 2008 użył określenia „polnische Konzentrations-lager Majdanek”, a nieco ponad dwa lata później pisał o „polskich obozach koncentracyjnych”.

Szkalowanie pamięci Polaków ma na koncie nie tylko ZDF, lecz także publiczna TV SWR, stacja radiowa B5 aktuell i dziennik „Die Welt”

Wydawcę „Die Welt” – koncern Axel Springer Societas European – za te oszczerstwa pozwał do sądu Zbigniew Osewski, wnuk jednego z więźniów niemieckiego obozu zagłady, argumentując, że użycie fałszującego historię określenia narusza nie tylko narodową godność Polski, lecz także jego dobra osobiste. Podczas rozprawy przekonywał także, że czuł się zobowiązany do walki o godność i pamięć historyczną przez szacunek dla ofiary, jaką ponieśli jego dziadkowie – jeden z nich zginął w podoboże pracy Deutsch Eylau koło Ławy, a drugi uciekł z obozu Gross-Rosen, dzięki czemu mógł opowiadać o horrorze, który przeżył z rąk niemieckich oprawców.

W swym pozwie Zbigniew Osewski wnosił, by sąd nakazał pozwanej spółce Axel Springer w Berlinie (wydawcy „Die Welt”) wpłatę miliona złotych na cel społeczny oraz przeprosiny w „Rzeczpospolitej”, „Gazecie Wyborczej” oraz w Internecie za naruszenie dóbr osobistych powoda. Sąd Okręgowy w Warszawie oddalił pozew. Z takim orzeczeniem zgodził

się również w roku 2016 Sąd Apelacyjny w Warszawie, tłumacząc, że wprawdzie używając zwrotu „polski obóz”, niemiecki dziennik „Die Welt” naruszył dobra osobiste powoda, ale żądanie indywidualnych przeprosin idzie za daleko. Sąd apelacyjny zmienił rozstrzygnięcie sądu okręgowego jedynie w tym zakresie, że nie obciążył powoda obowiązkiem zwrotu kosztów procesu na rzecz pozwanego.

W lutym 2017 r. Sąd Najwyższy odmówił rozpoznania skargi kasacyjnej.

Według „Die Welt” użycie tego zwrotu było „niezamierzoną pomyłką” – autorom chodzić miało jedynie o położenie geograficzne obozów i nie było ich zamiarem przypisywanie Polakom tego, że je założyli. To często stosowany argument w sprawach szkalujących dobre imię Polaków, choć trudno znaleźć zachodnie medium, które pisałoby np. o „amerykańskich atakach z 11 września 2001 r.”, choć przyjmując logikę geograficzną niemieckich redakcji i ich mecenasów, taki termin najlepiej oddawałby lokalizację dokonanych przez islamistów zamachów na Pentagon i wieże World Trade Center. Chociaż niemieckie obozy istniały także np. w okupowanej Francji, to rząd w Paryżu nie musi walczyć z określeniem „francuskie obozy”.

To, że w grę wchodzi arogancja i jawne lekceważenie odczuć Polaków przez pracowników niemieckiego koncernu, widać również wyraźnie po tym, że już w trakcie trwania procesu wytoczonego przez Zbigniewa Osewskiego „Die Welt” kolejny raz opublikował określenie „polskie obozy zagłady”.

Na szczęście po sukcesie Lecha Obary, radcy prawnego i prezesa stowarzyszenia Patria Nostra, które reprezentowało pro publico bono Karola Tenderę, gdy do polskich sądów trafiały kolejne sprawy, orzekające konsekwentnie zgadzali się z argumentem, że nieprawdziwe informacje o „polskich obozach koncentracyjnych” naruszają takie dobra osobiste jak tożsamość narodowa czy godność narodowa. To zaś oznacza, że godzą w dobre imię każdego Polaka.

Stowarzyszenie Patria Nostra w styczniu 2018 r. złożyło także pozwy przeciwko niemieckim wydawcy gazety i rozgłośni radiowej z Bawarii, ponieważ w ich internetowych publikacjach niemieckie obozy zagłady w Sobiborze, Treblince i Bełżcu nazwano „polskimi obozami”. Urażony tymi publikacjami poczuł się Polski Związek Byłych Więźniów Poli-



Brama obozowa w Auschwitz | FOT. WIKIPEDIA

tycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych, reprezentowany przez prezesa Stanisława Zalewskiego.

Jak czytamy na stronie internetowej stowarzyszenia, w przypadku obu pozwanych – Mittelbayerischer Verlag KG oraz Bayerischer Rundfunk – Patria Nostra żąda m.in. zakazania pozwanemu rozpowszechniania w jakikolwiek

sposób określeń „polski obóz zagłady” lub „polski obóz koncentracyjny”, a także jego odpowiedników w językach angielskim, niemieckim i jakimkolwiek innym, określając w ten sposób niemieckie obozy koncentracyjne i niemieckie obozy zagłady zlokalizowane w okresie drugiej wojny światowej na terenie okupowanej Polski. Stowarzyszenie domaga się także

opublikowania w języku niemieckim, na portalu internetowym <http://www.mittelbayerische.de>, i pozostawienia przez jeden miesiąc na stronie głównej w ramce wyboldowaną czcionką 14 pt na własny koszt oświadczenia w języku niemieckim, w którym wydawca wyrażałby ubolewanie z powodu użycia „nieprawdziwego i fałszującego historię Narodu Polskiego określenia, sugerującego, jakoby obóz zagłady w Treblince został wybudowany i prowadzony przez Polaków”, a także przeprasza „Pana Stanisława Zalewskiego, który był więziony w niemieckim obozie koncentracyjnym, za naruszenie jego dóbr osobistych, w szczególności tożsamości narodowej (poczucia przynależności do Narodu Polskiego) i jego godności narodowej”

W przypadku obu pozwanych prawnicy stowarzyszenia wnoszą także o zasądzenie 50 tys. zł na rzecz Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych. Wnoszą też o „sporządzenie opinii biegłego z zakresu polityki historycznej Niemiec lub instytutu naukowego, aby na podstawie dotychczas przeprowadzonych badań lub badań przeprowadzonych przez siebie na potrzeby niniejszej sprawy wypowiedziano się w przedmiocie, czy posługiwanie się przez niemieckie redakcje prasowe określeniem »polski obóz koncentracyjny« lub »polski obóz zagłady« jest przejawem niemieckiej polityki historycznej (polityki pamięci) oraz czy niemiecka polityka historyczna (polityka pamięci) dąży do umniejszenia odpowiedzialności Niemiec za zbrodnię Holocaustu”.

ICH MATKI, ICH OJCOWIE

W grudniu 2018 r. w związku z emisją trzyczęściowego serialu „Nasze matki, nasi ojcowie” krakowski sąd nakazał niemieckiej telewizji ZDF m.in. publikację przeprosin za „nieuprawnione sugestie dotyczące rzekomego współdziałania Armii Krajowej w przeprowadzeniu Holocaustu” oraz za nieuprawnioną sugestię, „że wszyscy żołnierze AK reprezentowali postawy antysemickie i nacjonalistyczne”.

Chodzi m.in. o scenę, w której dowódca oddziału AK szuka w swojej jednostce Żydów, a jeden z polskich żołnierzy ostrzega: „Żydów potopimy jak koty”. Przeciwnie niemieckiej stacji wystąpili 94-letni weteran AK Zbigniew Radłowski oraz Światowy Związek Żołnierzy AK. Proces wspierany przez Redutę Dobrego



Polska akcja informacyjna na temat niemieckich obozów zagłady. FOT. JOERG HALUSCH/EPA/PAP

Imienia wytoczono za naruszenie dóbr osobistych rozumianych jako prawo do tożsamości narodowej, dumy narodowej i narodowej godności oraz wolności od mowy nienawiści.

Sąd zdecydował także, że pozwani mają przed każdorazową emisją serialu, niezależnie od kraju, w jakim miałyby ona nastąpić, zamieścić oświadczenie, że „wszystkie postacie żołnierzy AK wskazane w serialu są fikcyjne i jakiegokolwiek podobieństwo do prawdziwych osób jest niezamierzone, że to Niemcy okupowali Polskę 1939–1945, prowadząc politykę eksterminacji Polaków i Żydów, a żołnierze AK w zdecydowanej większości pomagali Żydom, chronili ich i ukrywali pomimo groźby utraty życia”. UFA Fiction i ZDF mają też solidarnie zapłacić na rzecz Zbigniewa Radłowskiego 20 tys. zł tytułem zadośćuczynienia oraz ponad 3,6 tys. zł tytułem zwrotu kosztów postępowania. Orzeczenie jest nieprawomocne, a telewizja ZDF nie zgadza się z wyrokiem i wkrótce po jego ogłoszeniu zapowiedziała apelację.

Krytyczne uwagi Polaków dotyczące serialu „Nasze matki, nasi ojcowie” podzielają jednak nawet niemieccy historycy, w tym dyrektor berlińskiego muzeum Topografia Terroru Andreas Nachama. Można więc zakładać, że twórcy serialu dobrze wiedzieli, co robią, a tytuł celowo utrwała nieprawdziwe stereotypy na temat Polaków.

Prezes Reduty Dobrego Imienia w 2019 r. wygrał także przed sądem –

choć wyrok jest jeszcze nieprawomocny – z niemieckim portalem „Frankfurter Rundschau”. „Niemiecka gazeta na swoim internetowym portalu napisała, że zgłęda nie była czynem czysto niemieckim, i zasugerowała współodpowiedzialność Polski i Polaków. Maciej Świrski – prezes Reduty – zażądał przeprosin, a Sąd Okręgowy w Warszawie przyznał mu rację. Po raz pierwszy przeproszony był Polak urodzony po II wojnie światowej, którego wydarzenia z lat 1939–1945 bezpośrednio nie dotyczyły” – podała Reduta Dobrego Imienia na swojej stronie.

SĄDOWA PRZEGRANA „NEWSWEEKA”

Dobre imię narodu polskiego szkalują nie tylko media wydawane poza granicami Polski. W sierpniu 2019 r. Sąd Najwyższy nakazał portalowi polskojęzycznego tygodnika „Newsweek” sprostowanie nieprawdziwych informacji o tym, że w Polsce znajdowały się polskie obozy koncentracyjne utworzone przez Polaków. Taka teza ukazała się w artykule ze stycznia 2017 r. pt. „Po wyzwoleniu nazistowskich obozów Polacy ponownie je otworzyli? »Mała zbrodnia« Marka Łuszczyny” autorstwa Pauli Szewczyk. Pierwsze orzeczenie sądowe z 2018 r. nakazywało „Newsweekowi” sprostowanie tej informacji. Tygodnik złożył apelację od wyroku, a później kasację do Sądu Najwyższego.

W sierpniu 2019 r. Sąd Najwyższy podzielił pogląd Macieja Świrskiego –

prezesa fundacji Reduta Dobrego Imienia, zdaniem którego artykuł zawierał „błędy historyczne” – i odmówił przyjęcia skargi kasacyjnej do rozpoznania. Co ważne, w tej sprawie sądy uznały, że nie ma potrzeby, aby w publikacji pojawiło się nazwisko Macieja Świrskiego – wystarczy, że artykuł dotyczy Polaków i wówczas Maciej Świrski jako Polak ma prawo żądać sprostowania nieprawdziwych informacji w kontekście prawdy historycznej.

Po interwencjach Reduty Dobrego Imienia wiele mediów również poza granicami Polski poprawiło kłamliwe określenia na takie, które są zgodne z prawdą historyczną. Przykładowo pod koniec listopada 2020 r. włoski serwis ComoZero poprawił określenie „campo polacco” (polski obóz) na „campi tedeschi nella Polonia occupata dai nazisti” (niemiecki obóz w okupowanej przez nazistów Polsce) w artykule o Ines Figini ocalałej z Auschwitz.

Tylko w październiku 2020 r. po interwencjach Reduty hiszpańskie „El Correo de España” poprawiło określenie „polskie getto” („gueto polaco”) na „Getto żydowskie w okupowanej przez Niemców Polsce” („Gueto judío en la Polonia ocupada por los alemanes”), a „Europa Press La Rioja” poprawił określenie „polski obóz koncentracyjny” („campo de concentración polaco”) na „niemiecki obóz w okupowanej przez Niemców Polsce” („campamento alemán en Polonia ocupada por los alemanes”), amerykański zaś portal „Readers Favorite” poprawił w recenzji książki Natalie B. Hess „Remembering Ravensbrück – Holocaust to Healing” określenie „Polish ghetto” na „Jewish ghetto”.

Dzięki skutecznym interwencjom polskich władz oraz obywateli szkalujące Polaków określenia pojawiają się w mediach coraz rzadziej. W walce o dobre imię i o prawdę historyczną nie wolno dać się zakrzyczeć. I chociaż zaangażowanie państwowego aparatu ścigania i prawa karnego do walki z oszczercami może budzić oskarżenia o naruszanie wolności słowa – co obserwowaliśmy przy próbie wprowadzenia ustawy przewidującej karę więzienia lub grzywny za używanie określeń typu „polski obóz” – to od kłamców należy konsekwentnie żądać przeprosin i naprawienia krzywd na drodze pozwów opartych na prawie cywilnym.



Moskiewskie obchody Dnia Zwycięstwa FOT. ADOBE STOCK



Jakub Ostromięcki

Nie brakuje państw, które w sprawach historycznych sięgają po przepisy karne

Takie metody stosują m.in.: Węgry, państwa bałtyckie, Ukraina, Rosja, Turcja oraz Izrael. Ich kodeksy były u nas przedmiotem analiz Instytutu Wymiaru Sprawiedliwości.

Każde z wymienionych państw prowadzi oczywiście inną politykę historyczną. Jedne będą starały się bronić przed odpowiedzialnością za zbrodnie popełnione niegdyś na ich terenie lub przy ich współudziale. Inne będą konsolidowały społeczeństwa wokół danych wydarzeń, idei, ugrupowań lub postaci historycznych, którym dany naród zawdzięcza w swojej opinii przetrwanie.

„RUSKI MIR”

Jednym z ważniejszych celów rosyjskiej polityki historycznej jest wspoma-

ganie budowy tzw. ruskiego miru, czyli odbudowy strefy wpływów w obszarze postsowieckim. Związek Sowiecki musi w myśl takich założeń jawić się jako „wyzwolicieł od faszyzmu”. Owa polityka historyczna działa też do wewnątrz, podtrzymując wśród obywateli mit niezwykłego imperium.

Artykuł 3541 rosyjskiego kodeksu karnego przewiduje karę grzywny w wysokości do 300 tys. rubli lub równowartości dwuletniego wynagrodzenia za pracę lub innego dochodu albo karę prac przymusowych w wymiarze do lat trzech, albo karę pozbawienia wolności do lat trzech za publiczne zaprzeczenie faktom stwierdzonym w wyrokach Międzynarodowego Trybunału Wojennego w Norymberdze, pochwalenie tych przestępstw, a także „rozpowszechnianie świadomie nieprawdziwych informacji o działaniach ZSRS podczas drugiej wojny światowej”.

Przeczenie faktom stwierdzonym w wyrokach norymberskich nie oznacza, że w Rosji do więzienia w związku z tym artykułem idą jedynie negacjoniści Holokaustu czy piewcy III Rzeszy. Przed sądem można stanąć na przykład za stwierdzanie faktu, że Polska została zaatakowana przez

ZSRS wspólnie z III Rzeszą. Spotkało to Władimira Łuzgina, ślusarza z Permu, który zamieścił post o tej treści na portalu społecznościowym. Łuzgin został skazany na grzywnę 200 tys. rubli, czyli ponad 3 tys. dol.

W ust. 3 tego samego artykułu przewidziana została odpowiedzialność za „rozpowszechnianie wyrażających jawny brak szacunku wobec społeczeństwa informacji o dniach sławy wojennej i pamiętnych dniach Rosji, związanych z obroną Ojczyzny”. Czyny te zagrożone są karą grzywny do 300 tys. rubli lub równowartości wynagrodzenia za pracę lub innego dochodu za okres do lat dwóch albo pracami społecznie użytecznymi w wymiarze do 360 godzin.

W Rosji nie potrzeba jednak specjalnych przepisów do realizacji polityki historycznej. Jurij Dmitrijew, historyk i członek stowarzyszenia Memoriał, po tym, jak odkrył miejsca mordów dokonanych przez NKWD, został w procesie łamiącym wszelkie zasady praworządności skazany na trzy lata więzienia pod zarzutem pedofilii. Andriej Żukow, emerytowany wojskowy, obecnie zaś archeolog tworzący w Internecie bazę

danych oficerów NKWD odpowiedzialnych za wielką czystkę sprzed 80 lat, został niedawno skazany w tajnym procesie „za szpiegostwo”.

SPRAWA PAMUKA

Najsłynniejszym tureckim przepisem związanym z polityką historyczną jest słynny art. 301 tamtejszego kodeksu karnego, który wszedł w życie w 2005 r. Stanowił on, że „osoba, która publicznie znieważa tureckość, Państwo Republiki Turcji, Tureckie Wielkie Zgromadzenie Narodowe, rząd Republiki Turcji i organy sądowe Turcji, podlega karze pozbawienia wolności od sześciu miesięcy do lat dwóch. W punkcie drugim zaś: „Osoba, która publicznie znieważa wojsko lub inne organy bezpieczeństwa, podlega karze przewidzianej w ustępie pierwszym”. W 2008 r. słowo „tureckość” zamieniono na „naród turecki” – niewiele to jednak zmieniło, ponieważ „tureckość” i „naród turecki” tamtejsi prokuratorzy interpretują dość szeroko.

Obrazą narodu może być na przykład stwierdzenie, że Turcja w 1915 r. dokonała ludobójstwa na Ormianach. Przekonał się o tym turecki pisarz i noblista Orhan Pamuk. W 2005 r., na kilka miesięcy przed ogłoszeniem przepisu, udzielił wywiadu szwajcarskiej gazecie, w której nawiązał do owej zbrodni. Chwilę po rozpoczęciu procesu prokuratura wycofała się z oskarżenia. Po kilku latach Pamuk przegrał jednak proces cywilny, w wyniku którego musiał zapłacić na rzecz powodów, których honor miał obrazić, ok. 6 tys. lirów, czyli równowartość niskiej tureckiej pensji. Pamuk nie był jedynym publicystą sądzonym z tego artykułu. Najwięcej takich spraw rozegrało się w 2006 r. Jedna z nich zakończyła się tragicznie. Ormiański dziennikarz mieszkający w Turcji Hrant Dink wkrótce po tym, jak dostał wyrok w zawieszeniu, został zastrzelony przed budynkiem swojej redakcji przez młodocianego fanatyka, który po zabójstwie miał krzyczeć: „Zabiłem niewiernego!”. Rok później za twierdzenie o ludobójstwie Ormian został skazany syn Hrant Dinka, Arat.

Chęć uniknięcia odpowiedzialności za ludobójstwo Ormian nie jest jedynym elementem kształtującym turecką politykę historyczną. Równie ważna w Turcji jest pamięć o Atatürku, przywódcy i wielkim modernizatorze z okresu międzywojennego. Od 1951 r. obowiązuje „Prawo dotyczące przestępstw popełnianych

przeciw pamięci Atatürka”. Za urąganie czci wodza grozi do trzech lat pozbawienia wolności. Wśród oskarżonych na sali sądowej możemy spotkać zarówno lewicowo-liberalnych intelektualistów zarzucających Atatürkowi dyktatorskie zapędy i krytykujących kult jednostki, jak i radykalnych islamistów zarzucających mu zdradę wiary muzułmańskiej.

WYPĘDZENIE CZY EXODUS?

W 1986 r. Kneset uchwalił ustawę zabraniającą negowania Holokaustu. W Izraelu za negacjonizm można trafić do więzienia nawet na pięć lat. W ciągu następnych lat podobne prawa uchwaliły większość państw Unii Europejskiej oraz Rosja. To właśnie na podstawie tych przepisów w 2005 r. skazano w Austrii znanego historyka Davida Irvinga. Nawet biorąc pod uwagę, że przekonanie o słuszności takich unormowań mogło zrodzić się niezależnie od prób lub nalegań płynących z zewnątrz, to jest to niewątpliwie sukces polityki historycznej Izraela.

Wprowadzenie takich zakazów nie spotkało się z większymi oporami na arenie międzynarodowej czy w świecie naukowym, w przeciwieństwie do zakazów negowania zbrodni komunistycznych. Tutaj protestowali zarówno pogrobowcy owej ideologii, sama Rosja uważająca się za kontynuatorkę Związku Sowieckiego, jak i często członkowie żydowskiej diaspory oburzeni tym, że można traktować zbrodnie nazistowskie na równi z komunistycznymi.

W Izraelu obowiązuje jeszcze jeden zakaz związany bezpośrednio z polityką historyczną. Chodzi o arabskie święto Nakba. Jest to upamiętnienie wypędzeń – jak chce strona arabska – czy exodusu – jak chce Izrael – ludności arabskiej z Palestyny po przegranej wojnie. Izrael nie może zakazać owych obchodów w Strefie Gazy ani na Zachodnim Brzegu. Robi to jednak w stosunku do Arabów mających izraelskie obywatelstwo, zarzucając im, że obchody takie negują istnienie państwa Izrael jako państwa żydowskiego. Pierwotnie organizowanie upamiętnienia arabskiego exodusu było zagrożone karą do trzech lat więzienia. Obecnie przepisy są mniej represyjne, choć kto wie, czy nie bardziej skuteczne z punktu widzenia Izraela – minister finansów może wstrzymać dotację dla każdego stowarzyszenia, które w jakiejkolwiek formie wspiera obchody Dnia Nakba. Podczas uchwalania nowego prawa premier Netanjahu



był bardzo pewny siebie. Widać to było w czasie scysji, do jakiej doszło przy okazji głosowania w Knesecie. Arabski poseł zarzucił rządowi, że ustawa jest rasistowska. Spuentował swoje oskarżenie tymi słowami: „Jeśli coś chodzi jak kaczka, wygląda jak kaczka i kwacze jak kaczka, to jest to kaczka”. Niewzruszony Netanjahu odparł do posła: „Może Pan sobie kwakać, nawet w Knesecie. Na tym między innymi polega demokracja”. Owa riposta i brak większego odzewu w świecie wobec zakazu organizacji obchodów dobrze oddaje stan rzeczy związany z polityką historyczną. Okazuje się bowiem, że dwa kraje demokratyczne mogą być kompletnie różnie oceniane za podobne ograniczenie wolności słowa.

STRZAŁOKRZYŻ JAK SWASTYKA

Polityka historyczna nad Dunajem ma na celu wykazanie, że Węgrzy są nie tylko ofiarą drugiej wojny światowej, lecz także doświadczili zbrodni zarówno nazistow-



Palestynscy z Hebronu na Zachodnim Brzegu obchodzą Dzień Nakba (2011 r.). Na pierwszym planie izraelscy żołnierze. FOT. WIKIMEDIA COMMONS/PALESTINE SOLIDARITY PROJECT

skich, jak i komunistycznych. Węgierska konstytucja mówi wprost: „Przywrócenie państwowej suwerenności naszej ojczyzny, utraconej 19 marca 1944 roku, datujemy od 2 maja 1990 roku”. 19 marca 1944 r. Węgry przestały być sojusznikiem III Rzeszy, a stały się państwem przez nią okupowanym. Wtedy też trwały największe wysiedlenia Żydów do obozów koncentracyjnych. Okupacja sowiecka była zaś w latach 50. okrutniejsza niż w reszcie państw komunistycznych w Europie.

Od 1 lipca 2013 r. obowiązuje na Węgrzech nowy kodeks karny. Polityki historycznej dotyczy rozdział XXXII: „Przestępstwa przeciwko spokojowi publicznemu”. Wymienia on między innymi podleganie przeciwko wspólnocie, publiczne negowanie zbrodni systemów narodowosocjalistycznych lub komunistycznych i używanie symboliki despotyzmu. Karę do trzech lat więzienia można zatem dostać nie tylko za podawanie w wątpliwość ludobójstwa nazistowskiego i komunistyczne-

go, lecz także za ukazywanie ich jako mało istotnych czy czynienie wysiłków na rzecz ich usprawiedliwienia.

Na Węgrzech nie wolno propagować swastyki, oznaczeń SS, strzałokrzyża, sierpa i młota, czerwonej pięcioramiennnej gwiazdy ani innych symboli nazizmu i komunizmu. Grozi za to areszt, czyli kara taka jak u nas za wykroczenia. Węgrzy osiągnęli zatem plan minimum – poprzez kryminalizację strzałokrzyża odcięli się od kolaboracyjnego rządu utworzonego w październiku 1944 r. i zestawili go jednocześnie z symbolami komunistycznymi, akcentując zbrodniczość obu totalitarnych systemów.

PRAWO BAŁTÓW

Polityka historyczna państw bałtyckich ma podobne podstawy jak na Węgrzech. Konstytucja Estonii za okres okupacji uznaje czas od 16 czerwca 1940 r. do 20 sierpnia 1991 r. Podobnie jest w konstytucjach łotewskiej i litewskiej.

W Estonii nie karze się za negowanie zbrodni przeciwko ludzkości ani naruszanie godności narodu. Jest natomiast deklaracja parlamentu z 2002 r., w której instytucje sowieckie biorące udział w agresji i okupacji Estonii uznano za organizacje przestępcze. Samo członkostwo w tych organizacjach nie jest uznane za przestępstwo, ale konkretne działania podejmowane w czasie pełnienia obowiązków już tak. Oskarżony odpowiada wtedy z artykułów dotyczących przestępstw przeciwko państwu. Innym ważnym dokumentem jest deklaracja parlamentu z 2012 r.: „Parlament oddaje hołd obywatelom Estonii, którzy działali de facto na rzecz odbudowania państwa estońskiego podczas okupacji niemieckiej i sowieckiej”. Publicyści z racji daty ogłoszenia nadali jej nazwę „Uchwały walentynkowej”.

Zgodnie z art. 741 łotewskiego kodeksu karnego z 1998 r. penalizowane jest publiczne usprawiedliwianie ludobójstwa, zbrodni przeciwko ludzkości, zbrodni przeciwko pokojowi i zbrodni wojennych. W ustawie o bezpieczeństwie wydarzeń publicznych z 16 czerwca 2013 r. (art. 41) został wprowadzony przepis zakazujący publicznego używania, włączając w to stylizacje, flag, odznak i hymnów byłego ZSRS, byłych republik związkowych ZSRS i faszystowskich Niemiec; swastyki, run SS, symbolu sierpa i młota, pięcioramiennnej gwiazdy, z wyłączeniem sytuacji, w których ekspozycja tych symboli nie jest gloryfikacją totalitarnych reżimów. Kary nie są jednak surowe – grożą za to grzywna lub areszt administracyjny.

21 grudnia 2017 r. łotewski Sejm uchwalił Ustawę o uczestnikach drugiej wojny światowej. Bardzo ważny jest art. 1 tej ustawy. Mówi on: „Republika Łotewska nie jest prawnie odpowiedzialna za działania władz okupacyjnych na jej terytorium”, wskazując Niemców i Sowietów jako sprawców ludobójstwa. W kolejnym przepisie wskazano, którzy obywatele Łotwy nie mogą uzyskać statusu uczestnika drugiej wojny światowej. Są nimi na przykład osoby, które należały do Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotniczej (NSDAP) i SS, przy czym, co ważne, nie chodzi tu o żołnierzy z poboru, służących na przykład w jednostkach frontowych. Dalej wyłączeni są funkcjonariusze aparatu represji III Rzeszy i ZSRS lub osoby, które zostały mieszkańcami Łotwy w wyniku łotewsko-sowieckiego układu z 5 października 1939 r. i służyły

w jednostkach wojskowych ZSRS lub były członkami personelu pomocniczego, a także ich małoletnie dzieci i osoby pozostające na ich utrzymaniu.

Bardzo istotnym elementem polityki historycznej Estonii i Łotwy są tamtejsze ustawy o obywatelstwie. Ktoś, kto służył zatem w aparacie bezpieczeństwa ZSRS lub Armii Czerwonej, a nie jest potomkiem obywateli Estonii lub Łotwy sprzed czasów okupacji, ma jedynie stratus cudzoziemca. Litwa, mająca jedynie 8 proc. mniejszości rosyjskiej, nie zdecydowała się na takie rozwiązanie.

Na Litwie penalizowane jest pochwalanie zbrodni ZSRS i nazistowskich Niemiec przeciwko Litwie oraz zbrodni ludobójstwa i zbrodni przeciwko ludzkości dokonanych przez ZSRS lub nazistowskie Niemcy na terytorium Republiki Litwy albo przeciwko mieszkańcom Litwy. Karane jest także zaprzeczanie zbrodniom dokonany w latach 1990–1991 lub pomniejszanie ich, jeżeli zostały one popełnione przy użyciu groźby, przemocy lub zniewagi. Taki czyn karany jest karą grzywny, ograniczenia wolności lub aresztu albo pozbawienia wolności do lat dwóch. Za czyn ten odpowiedzialność ponoszą także osoby prawne. Owe zbrodnie z lat 1990–1991 dotyczą na przykład ataku Sowietów na siedzibę telewizji w Wilnie w styczniu 1991 r. czy ataków na litewskie posterunki graniczne.

Obie deklaracje estońskie oraz łotewski i litewski kodeks karny mają osłabić rosyjską narrację stawiającą ZSRS w roli „wyzwolicielem od faszyzmu” oraz usprawiedliwiającą okupację Bałtów w latach 1940 i 1944. Narracja owa jest o tyle niebezpieczna, że Estonię i Łotwę zamieszkuje liczna mniejszość rosyjska, w dużej części wywodząca się z rodzin wojskowych i partyjnych, a więc przeja-

wiająca sentyment do czasów sowieckich. Łotewska ustawa o uczestnikach drugiej wojny światowej ma dodatkowo bronić Łotwę, choć bez użycia sankcji karnych, przed przypisywaniem jej odpowiedzialności za ludobójstwo.

W OBRONIE UPA

Ustawodawstwo ukraińskie jest dużo bardziej kontrowersyjne od unormowań państw bałtyckich, a jednocześnie Ukraina ma dużo większy problem ze swoją pamięcią historyczną. Na Łotwie i w Estonii mieszka co prawda liczna mniejszość rosyjska identyfikująca się z Sowietami, nie posiada ona jednak obywatelstwa, a wśród samych Bałtów nie widać istotnych pęknięć, jeśli chodzi o pamięć kolektywną. Jednakże na Ukrainie, na olbrzymich obszarach kraju na wschód od Kijowa, sama ludność ukraińska wykazuje brak identyfikacji z bohaterami i wydarzeniami, które ważne są z kolei dla Ukraińców z zachodniej części kraju.

Budowanie tożsamości ukraińskiej odbywa się zatem niejako na siłę. Na Ukrainie od 9 kwietnia 2015 r. obowiązuje ustawa Nr 314-VIII „O statusie prawnym i uczczeniu pamięci bojowników o niepodległość Ukrainy w XX wieku”. Bojownicy ci stanowią dość eklektyczne grono liczące kilkanaście historycznych organizacji, w którym jest miejsce zarówno dla UPA, jak i Ukraińskiej Grupy Helsińskiej. W art. 6 ustawy przewidziano, że kto wyraża brak szacunku dla osób przynależących do wymienionych wyżej organizacji, ten „ponosi odpowiedzialność przewidzianą przez ustawodawstwo ukraińskie”. Podobnie w ust. 2 zapisano, że negowanie faktu zasadności walki o niepodległość Ukrainy w XX w. uznaje się za znieważenie pamięci bojowników o niepodległość i poniżenie godności narodu ukraińskiego.

W ukraińskim prawie brak jednak sankcji za owe działania.

O ile gloryfikacja organizacji, która dokonała ludobójstwa w Wołyniu i w Galicji Wschodniej, jest haniebna, o tyle w pełni zrozumiałe jest ustawowe uznanie hołdomoru, czyli klęski głodu wywołanej w latach 30. przez władze sowieckie, za ludobójstwo. W 2017 r. wprowadzono dwa projekty zmian w kodeksie karnym przewidujące karę do pięciu lat więzienia za negowanie hołdomoru i brak okazywania szacunku jego ofiarom.

Oprócz tego na Ukrainie od 9 kwietnia 2015 r. obowiązuje ustawa Nr 317-VIII „O osądzeniu totalitarnych reżimów komunistycznego i narodowosocjalistycznego (nazistowskiego) na Ukrainie oraz o zakazie propagowania ich symboliki”. Znowelizowano w związku z tym kodeks karny, w którym przewidziano: „Produkcyj, rozpowszechnienia i publiczne wykorzystywanie symboli totalitarnych reżimów komunistycznego i narodowosocjalistycznego (nazistowskiego), także jako upominków, publiczne wykonywanie hymnów ZSRS, Ukraińskiej SRS, innych republik związkowych lub autonomicznych albo ich fragmentów na obszarze Ukrainy [...] podlega karze ograniczenia wolności do lat pięciu lub pozbawienia wolności na ten sam okres, z przepadkiem mienia lub bez niego”. Ustawa nie uznaje więc UPA za organizację nazistowską.

Wszystkie te ustawy mają osłabić rosyjską politykę historyczną, ale również skonsolidować samych Ukraińców wokół jednego mitu. W związku z głębokimi podziałami między wschodem a zachodem Ukrainy oraz rosyjskim triumfem na Krymie i w Donbasie jest to zadanie bardzo trudne.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Tłumaczenie przepisów:

Institut Wymiaru Sprawiedliwości

Dzień pamięci Legionu Łotewskiego SS,
Ryga, 16 marca 2008 r. FOT. WIKIMEDIA COMMONS/DEZIDOR





PROJEKT USTAWY



FOT. JADOBESTOCK

Jak wygrać wojnę o historię



Zuzanna Dąbrowska

Nowelizacja ustawy o IPN z 2018 r. unaoczniała skalę niechęci zagranicznych mediów wobec polskiej pamięci historycznej. Przy okazji jasne się stało, że polska machina narracyjna to wciąż niezrealizowany projekt

Droga Polsko, czy jesteś pewna, że chcesz iść tą drogą? – pytał Bradley Burston w internetowym wydaniu izraelskiego „Haaretz”, dziennika, który zachęcając czytelników do subskrypcji, reklamuje się hasłem „Wybierz prawdę”. Tekst pochodzący z końca lutego 2018 r. jest papierkiem lakmusowym tego, jak nowelizacja ustawy o IPN została odebrana na świecie. Propozycja, którą pilotował resort sprawiedliwości, weszła ostatecznie w życie bez budzącego największe kontrowersje zapisu o karaniu grzywną lub trzema latami więzienia

za przypisywanie polskiemu narodowi lub państwu odpowiedzialności m.in. za zbrodnie III Rzeszy Niemieckiej. Pomimo to sprawiła, że jak na dłoni zobaczyliśmy skalę... No właśnie – skalę czego? Niezrozumienia czy braku dobrej woli? A może po prostu opadły maski i uznano, że nie trzeba już udawać, iż nie mamy do czynienia z wojną o pamięć?

Chyba najpoważniejsze z medialnych oskarżeń dotyczyło próby zmieniania historii. „Polsko, możesz skazać prawdę na wyrok 3 lat więzienia, nawet na 30 lub dożywocie. Prawda się nie zmienia. Bo na końcu wszyscy pamiętają, jak było” – pisze w moralizatorskim tonie Bradley Burston. „Haaretz”, podobnie jak inne izraelskie media, stanął na czele propagandowej krucjaty przeciwko ustawie.

Jeszcze dalej w ocenie nowelizacji poszła na łamach „The Jerusalem Post” Melanie Phillips. „Polska spuszcza ze smyczy swoje wewnętrzne demony. Konstruuje narrację historyczną o podejściu do Żydów, która jest fałszywa” – oskarża autorka, wytykając Polakom, że choć oburzają się na stwierdzenie „polskie obozy koncentracyjne”, to sami dopuszczają się przeinaczania historii. Phillips, która pisze też także dla brytyjskiego „The Times”,

bez przytoczenia jakichkolwiek danych stwierdza, że od kiedy ustawa weszła w życie, w Polsce „wybuchła fala antysemityzmu”. Szkoda, że autorka z takim samym zapałem nie opisała rosnącej liczby incydentów antysemickich w Niemczech. Według statystyk prowadzonych przez Punkt Badań i Informacji o Antysemityzmie (RIAS) w Berlinie w 2018 r. doszło do 1083 antysemickich incydentów. Oznacza to wzrost w stosunku do poprzedniego roku o 14 proc.

MICHNIK AUTORYTETEM

Medialna i polityczna presja zadziałała. Ustawę znacznie zmieniono, jednak nawet podpisanie przez premierów Morawieckiego i Netanjahu w czerwcu 2018 r. wspólnej deklaracji mającej łagodzić spór i podkreślać wspólnotę nie sprawiło, że medialne ataki ustały.

– To jest błąd popełniany często w myśleniu Polaków, że czują się ofiarami czegoś. To tak nie jest. Jeżeli Polacy mogą być ofiarą czegoś, to czasami samych siebie lub ludzi, którzy podejmują niewłaściwe decyzje. Myślę, że intencją noweli była ochrona pamięci historycznej i nieprzypisywanie Polakom zbrodni, których nie popełnili w czasie drugiej wojny światowej.



Muzeum Polaków Ratujących Żydów podczas drugiej wojny światowej im. Rodziny Ulmów w Markowej FOT. ADOBE STOCK

Natomiast Izraelczycy odebrali ją jako zupełnie coś innego – jako zagrożenie karą więzienia za mówienie o tym, co się działo, czyli o zabijaniu Żydów przez Polaków, do czego przecież też dochodziło – mówi „Do Rzeczy” Jarosław Papis, szef Fundacji Hatikva, zajmującej się nawiązywaniem dialogu oraz upowszechnianiem polsko-żydowskiej tradycji.

Wygląda na to, że zamysłu polskiej noweli nie zrozumiały też media w Stanach Zjednoczonych. „The Washington Post” stwierdza, że w świetle ustawy mordu w Jedwabnem właściwie nie było. „Błotnista ścieżka do stodoły to kolejna droga donikąd” – twierdzi James McAuley. Warto zaznaczyć, że w chórze krytyków wybrzmiewającym poza granicami naszego kraju niemal zawsze słychać polskie głosy. Jako autorytet „The Washington Post” przywołuje słowa Adama Michnika, redaktora naczelnego skrajnie krytycznej wobec ustawy „Gazety Wyborczej”: „Nie ma narodu, który ma całkowicie czyste sumienie. Każdy kraj ma swój Ku Klux Klan”.

„Polska od lat ma niełatwe relacje z Holocaustem. Ten projekt jest po prostu najbardziej wyszukaną i rzucającą się w oczy próbą redefiniowania historii Polski” – oskarża na łamach tego samego tytułu Volha Charnysh.

Historyk, politolog i sowietolog prof. Marek Jan Chodakiewicz, który od lat mieszka w USA, z bliska obserwował reakcję tamtejszych mediów na ustawę. Ekspert zaznacza, że intencje strony polskiej nie zostały odebrane tak, jak chciał rząd nad Wisłą. „Po pierwsze, strona polska nie przygotowała gruntu pod te przepisy. Po

drugie, strona zainteresowana utrzymaniem status quo, gdzie Polakom przypisuje się zbrodnie (tzw. nowa szkoła Holocaustu, czyli antylogocentryczni »naukowcy«), od dawna stosuje narrację, że to Polacy są winni. Po trzecie, strona żydowska bardzo nerwowo reaguje na takie tematy i przyjęła narrację »nowej szkoły Holocaustu«, odrzucając z góry zastrzeżenia polskie. Po czwarte, Amerykanie odczytali to wszystko jako zamach na wolność słowa, bo tak to było im pokazane” – wylicza prof. Chodakiewicz w rozmowie z „Do Rzeczy”.

I to właśnie oskarżenie o chęć ograniczenia nie tylko wolności słowa, lecz także wolności badań naukowych stało się kolejnym argumentem podnoszonym przez krytyków. Co symptomatyczne, w roli obrońcy tych wartości stawał na łamach zagranicznej prasy prof. Jan Grabowski, traktowany przez zachodnie media jako autorytet. „Jan Grabowski, historyk, który pokazał kolaborację granatowej policji z nazistami, został oskarżony o antypatriotyzm. Lecz on mówi: »Jesteśmy strażnikami pamięci milionów ofiar«” – pisała włoska „La Repubblica”, broniąc Grabowskiego przed krytyką, jaką wystosował pod jego adresem na łamach „Do Rzeczy” publicysta historyczny Leszek Żebrowski. Gazeta określiła Jana Grabowskiego mianem „być może najważniejszego badacza Holocaustu w Polsce”, który „znalazł się na nowo w centrum gwałtownych polemik”. „La Repubblica” zapomniała wspomnieć o licznych zarzutach natury merytorycznej, jakie regularnie są formułowane pod adresem współautora skrajnie stronicznej publikacji „Dalej jest noc”.

O tym, po czyjej stronie w sporze o historię staje badacz, może świadczyć np. jego tekst z czerwca tego roku opublikowany przez portal Haaretz. „Podczas gdy większość izraelskich i amerykańskich historyków zajmujących się Holocaustem skupia się na żydowskich ofiarach, niemieccy akademicy poświęcili się badaniu »swoich« ludzi – policji, nazistowskich liderów politycznych, procesu podejmowania decyzji w III Rzeszy” – stwierdza Grabowski, konkludując, że taki tok myślenia sprzyja próbom wybielenia się przez Polaków, Ukraińców czy Węgrów.

DEPESZA Z GROSSEM

– Zachodnie media chcą słyszeć skrajności. Z jednej strony słuchają Jana Grabowskiego, którego po prostu nie można nazwać badaczem – manipuluje źródłami, podaje nieprawdę, niestety mając tego świadomość. Z drugiej strony słowa osób takich jak pani Ewa Kurek, stojących po przeciwnej stronie, także padają na podatny grunt, potwierdzają one bowiem stereotypy o rzekomej polskiej zaścianowości i antysemityzmie – tłumaczy w rozmowie z „Do Rzeczy” prof. Bogdan Musiał, polsko-niemiecki historyk, ekspert stosunków polsko-niemieckich i rosyjsko-niemieckich.

Tezę tę wydaje się potwierdzać m.in. depesza niemieckiej agencji DPA z marca 2018 r. Według cytowanego w niej Jana T. Grossa ustawa o IPN Polska chciała „zdusić w zarodku debatę na temat współudziału Polaków w prześladowaniu Żydów”. Depeszę przedrukowały duże zagraniczne portale – a to pierwszy i najważniejszy krok w kreowaniu opinii publicznej. W świat poszły słowa Grossa o tym, że „polscy nauczyciele będą się bać”.

O „polskich antysemitach” można było też przeczytać w „Die Welt”. Gerhard Gnauk ocenił, że ustawa o IPN to dowód na to, iż polski rząd „woli młot od dyplomacji”. Komentator w dość oczywisty sposób skrytykował przy tym reformę sądów przeprowadzoną przez Prawo i Sprawiedliwość: „Polska popadła w kryzys w polityce zagranicznej. Bo jak prokuratorzy mają decydować, czy opis zbrodni polskich antysemitów obciąża »narod«? Jak będą wytyczne granice wolności sztuki i badań? Jak orzekać będą sądy, w których przecież za prawo uznaje się ostatnio w Polsce »wolę narodu«, ducha czasów [...]”.

Eksperci wydają się zgodni: media przeważnie napędzane antypolskim



Spotkanie premierów Mateusza Morawieckiego i Beniamina Netanjahu. FOT. KPRM

paliwem, pochodzącym często znan z Wisły, plus lata zaniedbań w kreowaniu własnej narracji sprawiły, że świat po prostu tak na nas patrzy – oczywiście nie bez znaczenia jest tu interes polityczny. Spór o nowelę wywołał wiele skrajnie kłamliwych oskarżeń. Szef izraelskiego MSZ Israel Katz stwierdził, że „Polacy wysłali antysemitizm z mlekiem matki”. „Było wielu Polaków, którzy kolaborowali z nazistami [...], nikt nie będzie nam mówić, jak mamy się wyrażać i jak pamiętać naszych poległych” – te słowa prominentnego polityka w rządzie Beniamina Netanjahu wywołały w Polsce burzę. Jednak za mistrza w dziedzinie oczerniania Polaków można uznać Ja'ira Lapida. „Hitlerizm był ideologią niemiecką, ale obozy powstały przy czynnej pomocy Polaków. Polacy współpracowali przy tworzeniu i prowadzeniu obozów zagłady, Polacy wydawali Żydów Niemcom i tym samym wysyłali ich na śmierć” – powiedział członek Knesetu w rozmowie z portalem Onet. To nie koniec. Lapid poszedł o krok dalej: „Były polskie obozy śmierci i żadne prawo tego nie może zmienić”.

Zdaniem prof. Bogdana Musiała kolejne antypolskie medialne wzmożenie to okazja nie do przegapienia także dla Kremla. – Władimir Putin oczywiście wykorzystał ustawę ws. IPN do wzmacniania narracji o polskim antysemityzmie. To nic nowego, że rosyjska propaganda używa wszelkich możliwych narzędzi, aby uderzać w Pol-

skę. Robili to Sowiet, przed 1945 r. i po nim, a na micie polskiego antysemityzmu polskich antykomunistów opierała się przecież władza komunistyczna. Dziś robią to współczesna Rosja i Niemcy – zaznacza historyk.

AKCJA STYPENDIALNA

Co w takim razie może uczynić Polska, aby w końcu skutecznie promować własną narrację w kontekście tragedii drugiej wojny światowej i Holocaustu?

– Nie można mówić o dychotomii Polska-Izrael. Zachodzi spór na linii logocentryzm vs. postmodernizm. To zderzenie metodologii, a nie zderzenie etosów czy kultur. Izrael nie wygrywa, bo przecież podskórnie cały czas funkcjonuje na Zachodzie negacjonizm Holocaustu. Poza Zachodem, np. w Iranie, wręcz króluje. Prawdy trzeba stale bronić. To też dotyczy Polski. Zrzucanie na Polaków winy za Holocaust to jest jego rewizjonizm albo wręcz negacja. Ustawa tego nie załatwi. Zmiana paradygmatu kulturowego – tak. Nad tym trzeba pracować. Potrzebne są strategia, wyobrażenia oraz pieniądze na rozwijanie lobby, granty i stypendia. Bez tego ani rusz – stwierdza prof. Marek Jan Chodakiewicz.

O potrzebie „stworzenia łańcucha bezpieczeństwa informacyjnego” mówi z kolei prezes Reduty Dobrego Imienia Maciej Świrski. – Po drugie, przeciwstawienie się fałszerstwom historycznym.

Wymaga to szerokiej i atrakcyjnej akcji stypendialnej ze strony polskich instytucji państwowych (z finansowaniem na poziomie zachodnim) dla młodych naukowców zainteresowanych Europą Wschodnią. Trzeba wykształcić tych młodych i dać im okazję do napisania książek, które byłyby kolejnym stopniem w ich karierze akademickiej – wskazuje Świrski w rozmowie z „Do Rzeczy”.

Tezę o konieczności kreowania pozytywnej polityki historycznej poprzez kulturę przy jednoczesnym budowaniu bazy naukowej potwierdza brytyjski pisarz i dziennikarz Jack Fairweather. Autor słynnej książki „Ochotnik. Prawdziwa historia tajnej misji Witolda Pileckiego”, pokazującej w sposób atrakcyjny dla zachodniego odbiorcy heroiczną drogę rotmistrza, wskazuje, że białych plam w polskiej historii wciąż jest wiele. – Myślę, że dla wielu na Zachodzie druga wojna światowa kończy się zwycięstwem w maju 1945 r. Los powojennej Europy Środkowej i Europy Wschodniej pod okupacją sowiecką jest mało znany. Kiedy rozmawiam z czytelnikami w Wielkiej Brytanii lub w USA, czasami proszę ich, aby wyobrazili sobie, jak by to było, gdyby bohaterowie bitwy o Anglię lub D-Day byli przez pół wieku uznawani za zdrajców i wrogów ludu. To nie do pomyślenia. A jednak tak się stało w Polsce. Krajowi odmówiono jego bohaterów. Uważam, że bez nich trudno było w pełni rozliczyć się z przeszłością. Często mówi się, że kraje takie jak Francja czy Holandia pogodziły się ze swoją historią kolaboracji pod okupacją hitlerowską. Moim zdaniem stopień, do jakiego to zrobiły, wynika ze świadomych powojennych wysiłków włożonych w pokazywanie ich ruchu oporu. Dopiero wtedy te kraje były w stanie przyjąć ciemniejsze karty swojej przeszłości. Ten proces ponownego odkrywania ma w Polsce zaledwie kilkadziesiąt lat. Podczas moich badań byłem zdumiony, gdy odkryłem, jak wiele rodzin, z którymi rozmawiałem, nie miało pojęcia o niesamowitych rzeczach, których dokonali ich rodzice lub dziadkowie. Wiele historii jeszcze nie zostało opowiedzianych – mówi „Do Rzeczy” Jack Fairweather.

– Zwykle nie myślę o historii w kategoriach pozytywnych lub negatywnych. Uważam, że próbując kształtować przeszłość, ryzykujemy utratę jej najważniejszego daru – zrozumienia, dlaczego ludzie dokonali takich, a nie innych wyborów – dodaje Fairweather.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



To Marta Lempart i Klementyna Suchanow instruują dziś posłów, co mają robić na protestach

FOT. TOMASZ WASZCZUK/PAP

Od michnikowszczyzny do lempartyzmu



Rafał A. Ziemkiewicz

To, co służy mediom – radykalizm opinii – zupełnie nie służy politykom. Od czasów Michnika opozycja tkwi jednak w systemie, w którym to media wiodą prym

Choć doświadczenie uczy, że nie ma takiego dna, którego nie można przebić, by opaść jeszcze niżej, to ekscesy Strajku Kobiet wydają się już końcem drogi, na którą wstąpił obóz lewicowo-liberalny w chwili, gdy przewodniczący Schetyna zapowiedział: „Będziemy opozycją totalną”. Trudno już wyobrazić sobie większy radykalizm niż sprowadzenie politycznego przekazu do bezmyślnej agresji, wulgaryzmów i wyparcia rzeczywistości. Prezydent nie jest prezydentem, tylko „panem Dudą”,

rząd nie jest rządem, bo „stracił moralne prawo”, Trybunał Konstytucyjny to tylko „grupa znajomych magister Przyłębskiej” i nawet policja państwowa to już tylko „pseudopolicjanci”. Nie są to cytaty z jakichś anonimowych blogerów, antypisowskich lustrzańców „Matki Kurki” czy „Toyaha”, ale z wypowiedzi wygłaszanych w głównym programie informacyjnym TVN przez posłów i działaczy z „głównego nurtu” lewicowo-liberalnej opozycji.

POLITYCY TŁA

Nigdy chyba nie było lepszej ilustracji powiedzenia o „ogonie kręcącym psem” niż to, co się z opozycją obecnie dzieje. Chociaż formalnie liderami obozu anty-PiS są przewodniczący PO Borys Budka i Lewicy Włodzimierz Czarzasty, a najbardziej prominentnymi działaczami prezydenci dużych miast, tacy jak Rafał Trzaskowski czy Aleksandra Dulkiewicz, w istocie wszyscy oni odgrywają jedynie rolę tła i pudła rezonansowego dla ulicznych radykałów. To ci drudzy określają tematy politycznego sporu, wyznaczają cele i narzucają reto-

rykę. Nie znaczy to, że sami radykałowie mogą być pewni raz osiągniętej pozycji – co chwila są spychani z liderowania przez jeszcze większych radykałów. Już nie tylko „obywatele” Pawła Kasprzaka, lecz także bardziej radykalne ołdamy Elżbiety Podlesnej czy Arkadiusza Szczurka okazały się „miększonami”. I wcale nie wiadomo, czy podobny los nie spotka niebawem Marty Lempart z Klementyną Suchanow, bo ich sukcesy w wyprowadzaniu „mas” na ulicę także już się skończyły – a liberalna lewica na pytanie o niepowodzenie kolejnych „ciamajdanów” od lat ma tylko jedną odpowiedź: widocznie wciąż jeszcze byliśmy nie dość radykalni!

Dlaczego kiedyś z wolna już zapomniany Mateusz Kijowski w kilka tygodni nabrał takiego znaczenia, że ówczesnie formalni przywódcy opozycji, Grzegorz Schetyna i Ryszard Petru, musieli się prosić, aby pozwolili im przemawiać na swoich manifestacjach (pojawily się nawet w samym KOD pogłoski, że musieli mu się za to prawo opłacać)? Dlaczego dziś, jak wykazał dostępny w sieci amatorski film,

„dowodząca” zadykami Marta Lempart instruuje posłów PO i Lewicy, by wykorzystać swe legitymacje i immunitety, robili jej bojówkom „korytarze” w policyjnych kordonach? A rola politycznych przywódców sprowadza się do udzielania w medialnych wywiadach pełnego poparcia dla ulicznych działań, relatywizowania i usprawiedliwiania wszelkich ekscesów oraz osobistego udziału w manifestacjach – już nawet nie na ich czele, jak za czasów KOD, ale w dalszych szeregach.

Samomarginalizacja polityków opozycji wydaje się szczególną, polską specyfiką, dla której nie sposób znaleźć podobieństw w innych krajach. Przeciwnie, standardem demokratycznej sceny politycznej jest walka o centrum, o wyborcę niezdecydowanego, niechętnego gwałtownym zmianom, umiarkowanego. Nowe siły polityczne rodzą się zwykle wokół postulatów radykalnych i niszowych, ale jeśli chcą się liczyć, to muszą je mocno łagodzić – przykładem ewolucja niemieckich Zielonych. U nas natomiast odwrotnie. Inicjatywy takie jak Ruch Palikota czy Nowoczesna Ryszarda Petru powstawały i zyskiwały popularność jako inicjatywy centrowe, dystansujące się od ideologicznego sporu, zdroworozsądkowe, promujące przedsiębiorczość i rozwój, by szybko przeradzać się w jacejki skrajnej, „tęczowej” lewicy i równolegle z tą ewolucją wytracać poparcie, aż do całkowitego zejścia na krzykliwy margines.

POCZĄTEK W MEDIACH

Odpowiedź w obu przypadkach jest ta sama: to skutek oddania władzy nad obozem lewicowo-liberalnym obsługującym jego emocje mediom. A raczej zbudowania tego obozu, od samego początku, wokół mediów.

Cała ta polityczna i, szerzej, kulturowa formacja płaci do dziś za wielki sukces Adama Michnika, jakim było objęcie przez niego i jego gazetę u zarania III RP „rządu dusz” nad lewicującą i otwartą na liberalne nowinki inteligencją, z pozycji „king makera”, przywódcy „metapolitycznego”. Politycy, którzy chcieli korzystać z propagandowego wsparcia i „miękkiej siły” Michnika (a zwłaszcza jego kontakty międzynarodowe i wpływ na pokrewne, opiniotwórcze media na Zachodzie były tu nie do przecenienia), czuli się zmuszeni podporządkowywać dyktatowi autoryzowanych przez niego opinii – praktycznie jedynymi wyjątkami od tej zasady byli Leszek Miller i Donald Tusk, przy czym

temu ostatniemu było znacznie łatwiej, bo działał już w innej medialnej epoce. Pozycja samego Michnika, sponiewieranego „afery Rywina”, słabła, rosła pozycja konkurencji (tu punktem przełomowym było zepchnięcie „Gazety Wyborczej” z roli wyroczni przez TVN filmem „Trzech kumpli” i nagłośnieniem sprawy Lesława Maleszki), ale ustalony na początku lat 90. model nadrzędności „autorytetów”, kreowanych przez media, nad politykami uznano za jedyny możliwy. Tyle tylko, że władza „środkowskiego opiniotwórcy” rozproszyła się i przestała służyć politycznej wizji, wymarzonemu przez Michnika „zbudowaniu czegoś, co będzie lepsze i od biurokratycznego socjalizmu, i od dzikiego kapitalizmu”, a zaczęła służyć po prostu samym mediom, ich zyskom i rozwojowi.

To zaś jest, oczywiście, logika diametralnie sprzeczna z tą, którą rządzi się polityka. Polityk powinien przede wszystkim nie zrażać do siebie – media zaś potrzebują wyznawców jak najbardziej emocjonalnie oddanych. Do zwycięstwa w wyborach prezydenckich potrzeba kilku milionów, w ostatnich wyborach ponad 10 mln, głosów, do zyskania znaczącej reprezentacji w parlamencie – co najmniej kilku milionów. Sukcesem telewizji czy portalu jest kilkaset tysięcy widzów, a gazety bądź tygodnika – kilkadziesiąt tysięcy. Czyli cała działalność mediów skupia się na przywiązaniu do siebie wąskiej grupy najbardziej zainteresowanych. Kiedy jednak mamy do czynienia z wieloma mediami walczącymi o tę samą grupę zapalonych odbiorców, kurs na „przekonywanie przekonanych” zaostrza się tym bardziej.

Inaczej mówiąc – politycy powinni konkurować o głosy tych, którzy od polityki stronią, myśleć o niej niewiele, a już na pewno nie szukają w mediach politycznych przekazów. To właśnie ich głosami, dodawanymi do „żelaznych elektoratów”, wygrywa się polityczne kampanie. Media zaś konkurują o tych, którzy od rana siedzą z głową w „swoim” radiu, na portalu czy informacyjno-publicystycznym kanale informacyjnym. A tych, rzecz jasna, odbiera się konkurencji, przelicytowując ją w szarpaniu emocjami, które przykuwają wyznawców do „swoich” mediów poczuciem śledzenia apokaliptycznego starcia dobra ze złem czy nawet bezpośredniego w nim udziału. Jest to, mówiąc nawiasem, konkurencja równie ostra jak między przywódcami ulicznych radykałów, także tutaj można utracić zainteresowanie rozhisteryzowanej publiczności dosłownie

z dnia na dzień – tak jak Tomasz Lis, który kiedyś chwalił się milionami widzów, a dziś jego kanał z wywiadami na YouTube, mimo promocyjnego wsparcia RASP, pozycji szefa wysokonakładowego tygodnika i bardzo znanych w kręgach opozycji gości, przyciąga zaledwie kilkuset widzów tygodniowo.

„ŁOIC”, ILE WLEZIE

W opozycji po ucieczce do Brukseli Donald Tusk i pokoleniowym zatrzymaniu się lewicy na ostatniej generacji działaczy PZPR, których supremacji nie są w stanie zagrozić krzykliwe działaczki i działacze prezentujący folklor lewicowych kampusów, od dawna już próżno szukać polityka o silnej osobowości. Tacy zaś, jakich ma, zwyczajnie nie są w stanie odróżnić rzeczywistości od medialnej „bańki”, w której są zamknięci wraz ze swym żelaznym elektoratem.

Ponieważ w bańce premiowany jest radykalizm, doświadczenie uczy ich, że aby być zapraszani i chwalonymi, trzeba „łoić”, ile wlezie. Ale „łoją” i tak za mało, lewicowo-liberalne media kreują więc sobie nowe gwiazdy, coraz to mocniej przekraczające wszelkie granice przyzwoitości. A politycy, dla których rzeczywistość medialna dawno już stała się bardziej rzeczywista od rzeczywistości, nie są w stanie znaleźć w sobie odwagi, by przeciwko kolejnym przekroczeniom zaprotestować. Przeciwnie, drogę do sukcesu widzą w „podłączeniu” się pod kolejną gwiazdę zadem i protestów szybciej i bardziej, niż zrobią to politycy konkurencyjnej partii.

Upadek Palikota i Petru nie nauczył ich niczego, żadnego wniosku nie wyciągają też z fenomenu Hołowni, który na proaborcyjnych protestach zyskał najwięcej, ponieważ w nich nie uczestniczył, a nawet usłyszał od ich animatorek, że on też ma „wyp.....lać”.

Jest to trwająca od 30 lat równia pochyła, postępująca intelektualna i moralna degradacja lewicowo-liberalnej inteligencji i jej salonów. Od formacji Geremka, Turowicza i ks. Tischnera przez Palikota, Lisa i Wojewódzkiego aż do formacji Lempart, Jachiry i „Margota”.

Zatrzymać się ani cofnąć na tej drodze salony nie potrafią na pewno – ale czy potrafią pójść nią jeszcze dalej? Rozsądek mówi, że głupiej się już nie da (choć zawsze da się bardziej brutalnie). Przecucie jednak podpowiada, że intelektualne tuzy liberalnej lewicy nie powiedziały jeszcze ostatniego słowa.



Wojciech Golonka

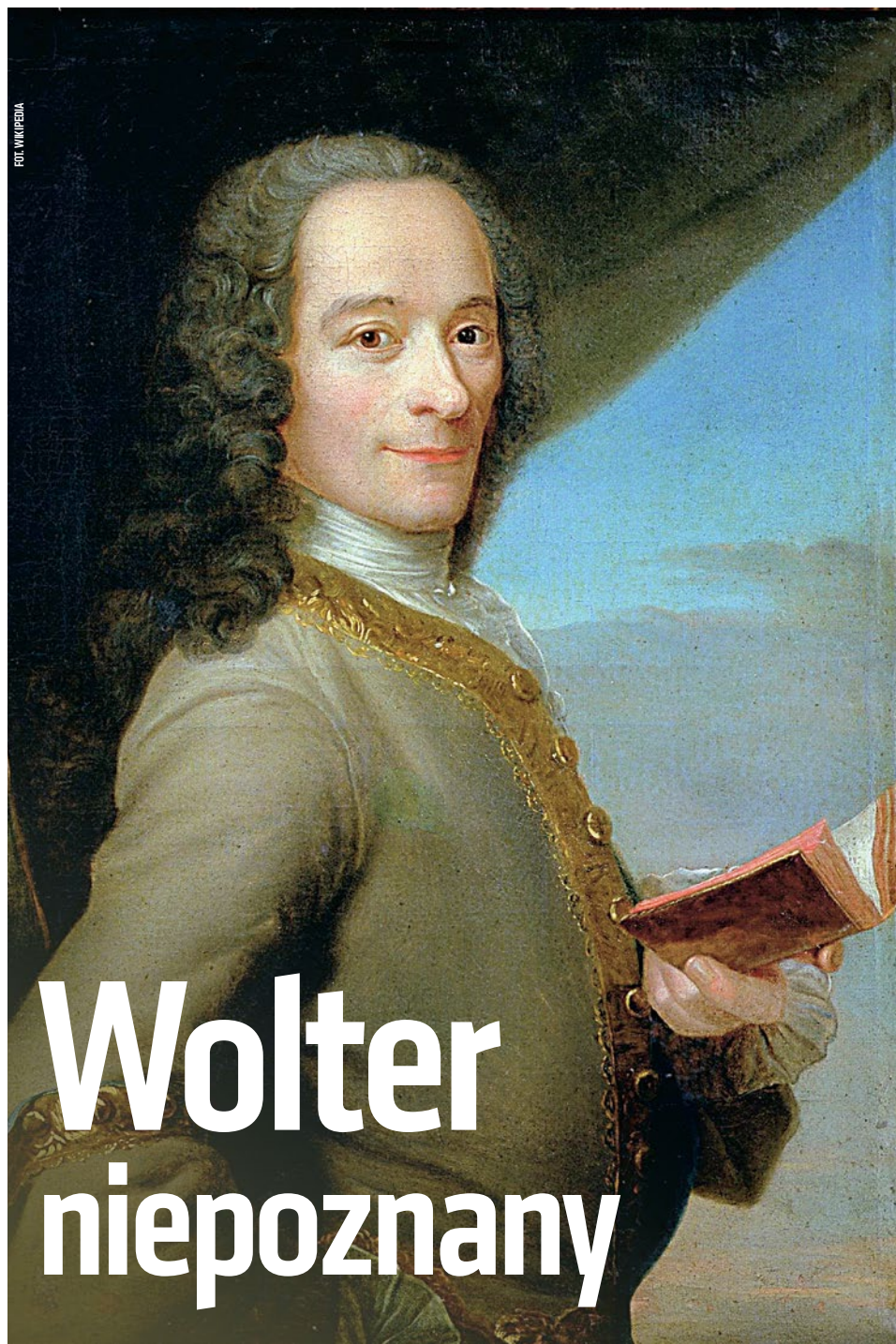
Wyobrażenie o współczesnej wolności, w tym wolności słowa, jest po części mitem idealizującym oświecenie na tle zniekształconego średniowiecza. Dodatkowo dla lewicy mitem nieskrępowanej wolności wrażliwej jednocześnie na krzywdy „mowy nienawiści”. Paradoksalnie mity te mają w sobie coś z dziejów oświecenia – jest to historia wciąż niepoznana

Voltaire méconnu” (2006), czyli „Wolter niepoznany: Ukryte aspekty oświeceniowego humanizmu (1750–1800)” autorstwa Xaviera Martina, to obszerna synteza (351 stron) dokonana na podstawie mało znanych dokumentów epoki oświeceniowej, w tym monumentalnej korespondencji Woltera. Treściwa w źródłowe cytaty książka francuskiego badacza odbiega od utartego obrazu Woltera, a „jej treść była najpierw zaskoczeniem dla samego autora”.

W historii „wolności słowa”, a raczej jej ograniczeń, istnieje niewątpliwie ciągłość między starożytnością a średniowieczem w postaci teleologicznego pojmowania swobody wypowiedzi. „Wolność słowa” była postrzegana jako godziwa, o ile wpisywała się w poznanie i nauczanie prawdy (dobra ludzkiego umysłu), a przynajmniej jako neutralna, o ile nie uderzała w zasadnicze prawdy. Wprawdzie starożytność nie poskąpiła nam wybitnych sceptyków, ale po pierwsze – już sam sceptycyzm zakłada nadrzędność i celowość prawdy (inaczej nie byłoby sensu cegokolwiek twierdzić); a po drugie – w tamtych czasach cenzura jak najbardziej wyznaczała granicę swobody wypowiedzi, co uwidacznia przykład Sokratesa, niesłusznie skazanego na śmierć za demoralizację młodzieży przez głoszenie bezbożności (znaczące, że zwolennicy Sokratesa nie podważali zasadności tego prawa, jedynie sam błędny osąd).

SPUŚCIZNA ŚREDNIOWIECZNEGO PORZĄDKU

Średniowiecze, nie mniej gorliwe, jeśli chodzi o troskę o prawowierność,



przejęło od starożytności znacznie więcej niż prawo do cenzury i zwyczaj palenia nieortodoksyjnych ksiąg. Scholastyka w zupełności przyswoiła sobie „Organon” Arystotelesa, czyli „narzędzie”, jak określano zbiór jego dzieł objaśniających prawidła rozumowania ludzkiego i metody skutecznego przekonywania. Szczytem dokonań ojca logiki nie była jednak genialna teoria sylogizmu, ale „dialektyka” rozumiana jako sztuka dążenia do prawdy na gruncie prawdopodobnych przesłanek,

z której do dziś, świadomie bądź nie, właśnie za pośrednictwem średniowiecznej scholastyki czerpie współczesna nauka. Ponadto opierając się na objawieniu wcielonego Słowa Bożego – Logosu przez duże L – w średniowieczu jeszcze bardziej niż w starożytności podkreślano boski pierwiastek towarzyszący ludzkiemu poznaniu, a co za tym idzie – jego godność.

W tej optyce było jasne, że godność głoszenia swych poglądów jest nierozdzielnie związana z poznaniem

(i umiłowaniem) prawdy. Trzeba jednak zaznaczyć, że w średniowiecznych dysputach naukowych dopuszczano do głosu najśmielsze zarzuty, które pomagały wyważyć rozwiązanie spornych zagadnień z uwzględnieniem całej ich kompleksowości. Intelktualne spory bywały zażarte (a więc swobodne) do tego stopnia, że w złotym wieku scholastyki św. Ludwik wysyłał łuczników królewskich celem ochrony paryskiego klasztoru Dominikanów przed podburzanymi przez przeciwników studentami. Zresztą, ciesząc się zdrową autonomią, doktorzy nie podlegali bezpośrednio pod ocenę jurysdykcji państwa – ich ocenianie było możliwe jedynie na podstawie orzeczenia kolegium doktorów danego uniwersytetu, biskupa miejsca oraz Rzymu, do którego w ostateczności odwołać się mógł (skutecznie) każdy wierzący. W naszych czasach, gdy etatystyczna ingerencja stawia urzędnika ponad lekarzem, nauczycielem czy rodzicem, warto podkreślić średniowieczną autonomię „mędrca” w dziedzinie właściwej mu kompetencji naukowej.

Volter oczywiście nie zastał średniowiecznego porządku, a jedynie jego spuściznę, po części tchnącą stęchłą. W międzyczasie myśl europejską dotknęła fala sceptyków pokroju Ockhama czy rewolucjonistów, takich jak Luter i Kartezjusz; postępująca centralizacja władzy ograniczała regionalne autonomię; klasy nieuprzywilejowane politycznie, ale wykształcone dążyły do emancypacji na wzór arystokracji. Przede wszystkim po śmierci Ludwika XIV ośmioletnia regencja księcia Filipa Orleańskiego naznaczona dekadencją obyczajowo-religijną przypieczętowała we Francji to, co Paul Hazard nazwał „Kryzysem świadomości europejskiej (1680–1715)”. A właśnie w samym środku tego „kryzysu” przyszedł na świat François-Marie Arouet (1694–1778).

POGARDA DLA LUDZI

Oszlifowawszy swe talenty literackie w jezuickim kolegium Arouet praktycznie od razu podbił wyższe sfery jako mistrz pióra. Gardził jednak marazmem swych czasów, które w przeciwieństwie do wieku Ludwika XIV uważał za nudne i niezdolne, zwłaszcza w swych archaizmach, takich jak scentralizowana biurokratyczna monarchia podparta dekadencją arystokracją czy skostniały, bo letni katolicyzm obrzydzony jansenistycz-

nym skazaniem. W wieku 25 lat zmienił nazwisko na Voltaire, a że lubował się w grze słów, z pewnością wiedział, że wybrane przezeń nazwisko jako anagram brzmi fonetycznie: „révolte”, bunt. I tym się właśnie stał, buntownikiem, zabiegającym jednocześnie o poklask i uznanie dla swego genialnego, ale próżnego talentu. Oto rzeczywisty kontekst jego walki o większe swobody, którą historia podsumowuje w tych jego (domniemanych) słowach: „Nie zgadzam się z tobą, ale oddałbym życie, abys mógł twierdzić to, co mówisz”. Jak wykazuje Xavier Martin, Volter zupełnie nie praktykował tak pojmowanego wolterianizmu.

Literat przede wszystkim żywił „niewyobrażalną” pogardę do ludzi, wyznając pod koniec życia: „Myślący rodzaj ludzki to jest maksymalnie jedna stutysięczna część rodzaju ludzkiego”. Ci zaś, co już myślą – jego oświeceni kompani – myślał przede wszystkim hedonistycznie: „Żyłem z tymi, których określa się filozofami, i zapewniam, że nie znalazło się czterech, którzy poświęciliby kolację za wszystkie prawdy świata”. Prawda zresztą nie jest u niego wartością nadrzędną. „Trzeba kłamać jak diabeł, i to nie wstydliwie, ale odważnie, i zawsze” – pisał już w 1736 r. Istotnie, za sprawą kłamliwych donosów i nacisków na urząd królewskiej cenzury „ojciec wolności słowa” z zapalczywością maniaaka dążył do zsyłania swoich krytyków do więzienia, czego najgłośniejszym przykładem był niejaki la Beaumelle, dwukrotnie zaliczający pobyt w Bastylii i zesłanie oraz szykanowany. Erudytom znane są zabawne szyderstwa Woltera odnośnie do myśli Jeana-Jacques’a Rousseau. Ale czy opisuje się skalę jego osobistej doń nienawiści? Gdy Rousseau spowodował jego konflikt z władzami Genewy, oznajmił: „Jeśli go powieszę, będę ubolewał, ale z czystego humanitaryzmu, albowiem osobiście postrzegam go jedynie jako psa Diogenesa, a raczej jako psa pochodzącego z jakiegoś bastarda tego psa” (list do d’Alemberta, 1762 r.). A gdy Rousseau nieopatrznie wyjawiał w „Listach z gór pisanych”, że „Kazanie Pięćdziesiąci”, anonimowy paszkwil przeciw chrześcijaństwu, jest autorstwa Woltera, tenże pisał wówczas do członków rady Genewy, że nie tylko należy spalić książkę Rousseau jako bezbożną, „lecz także ukarać z całą surowością prawa jej autora”. Jaką? W anonimowej broszurze adresowanej

do mieszkańców miasta domagał się dlań kary śmierci.

Czy rzeczywiście poznane są należycie inwektywy Woltera wobec katolicyzmu? Czym wytłumaczyć cenzurę autorstwa Condorceta w pośmiertnym wydaniu „Dzieł wszystkich” Woltera, np. słów typu: „Uważam, że jestem bardzo humanitarny z urodzenia, ale gdyby uduszono dwóch lub trzech jezuitów kiskami dwóch lub trzech jansenistów, to czy świat miałby się gorzej?” (list do Pani d’Épiany, 1760 r.); „Trzeba zagonić do pracy przy drogach wszystkie te zwierzęta, jezuitów, jansenistów, z żełazną obrozą na szyi” (list do Thiériota, 1760 r.). Czy wspominać jego nienawiść i skrajną pogardę wobec Żydów („najbardziej ohydny naród na ziemi”), muzułmanów czy protestantów?

Z wiekiem patriarcha z Ferney bynajmniej nie łagodniał: „Na cóż zdaje się nienawiść do potworów, jeśli nie można ich zmiadzić w ich norach? Jestem już stary, nie mam zębów; jeśli je miałbym, pożarłbym ich, zanim umrę” (list do d’Alemberta, 1766 r.). Zresztą Martin kończy swoją książkę rozdziałem pt. „Wieczór wieku nienawiści”, z którego możemy się dowiedzieć nie tylko o wyznaniach oświeconych, że zmarnowali życie na nienawiści i nie kochali, lecz także o „ślubowaniach nienawiści” dokonywanych podczas rewolucji francuskiej, która najwyraźniej nie pozostała głucha na wolteriańskie sugestie, zwłaszcza względem kleru: „Humanitarność to eksterminacja wszystkich swych wrogów”, apelował w 1794 r. poseł Bertrand Barère.

NARZĘDZIE DLA OSOBISTYCH KORZYŚCI

Wbrew powszechnemu mitowi Volter nie traktował wolności słowa jako dobra samego w sobie, ale instrumentalnie, jako „narzędzie” – nie w arystotelesowskiej służbie prawdy, ale nienawiści i osobistych korzyści. Od przeszłości różnił się także wyznawaną antropologią. Madame de Staël pisała, że nienawidził człowieka stworzonego na obraz i podobieństwo Boga, zamiast którego preferował człowieka na obraz małpy. De Maistre z kolei puentował: „Porzucający przez Boga, który karze, wycofując się, nie miał już żadnych hamulców”. „Volter niepoznany” i inne pozycje Martina prześwietlające ten okres wciąż czekają na polskie tłumaczenia. ©©



Sebastian Ligarski

W grudniu 1970 r. władze PRL użyły wobec społeczeństwa tysięcy żołnierzy, ciężkiego sprzętu bojowego, materiałów chemicznych i ponad setki śmigłowców

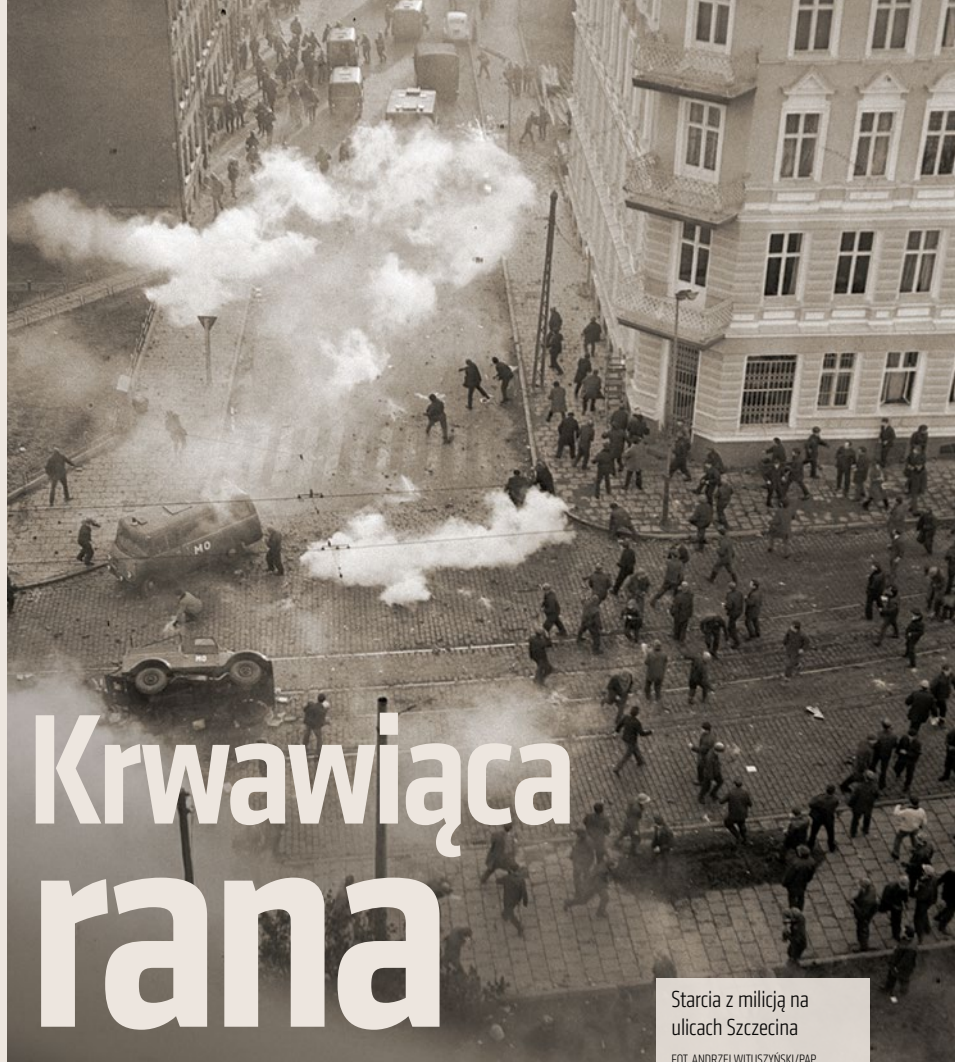
W PRL pod koniec lat 60. narastał kryzys społeczny, polityczny i ekonomiczny. Władze sięgnęły po nieudolne reformy gospodarcze, chcąc ratować niekorzystną sytuację w kraju, a zwiastunem „reform” miała być tzw. regulacja cenowa (podwyżka cen), obejmująca głównie podstawowe artykuły spożywcze. Wprowadzono ją w nocy z soboty na niedzielę 12/13 grudnia 1970 r. Drastyczny ich wzrost spowodował gwałtowną reakcję społeczeństwa, które postanowiło pokazać swój gniew władzy.

JANEK WIŚNIEWSKI PADŁ

14 grudnia 1970 r. jako pierwsi zastrajkowali robotnicy ze Stoczni im. W. Lenina w Gdańsku. Po opuszczeniu zakładu, gdzie przyłączyli się do nich pracownicy okolicznych zakładów pracy, skierowali się w stronę gmachu KW PZPR. Tam nie zastali I sekretarza KW PZPR Alojzego Karkoszki, więc przez kilka następnych godzin pochód poruszał się po całym mieście, czekając na ewentualną rozmowę z lokalnym kierownictwem partii. Około godz. 16 milicja zaatakowała manifestantów w okolicy gdańskiego Błędnika. Doszło do walk.

Następnego dnia sytuacja w mieście zaostriżyła się, doszło do kolejnych walk. Około godz. 9 Władysław Gomułka w otoczeniu swoich akolitów podjął decyzję o użyciu broni wobec, jak twierdził, „kontrrewolucjonistów”. Rozkazy spowodowały ściągnięcie do Gdańska dużych sił wojskowych i użycie broni, co zakończyło się śmiercią siedmiu osób. Następnego dnia pierwsi zabici padli w momencie próby wyjścia na miasto. Wojsko i milicja przez cały dzień pacyfikowały miasto.

Do strajku doszło też w Gdyni. Osoby z powołanego Głównego Komitetu Strajkowego miasta Gdyni, który rozmawiał z władzami miasta, zostały wieczorem aresztowane decyzją ministra spraw wewnętrznych Kazimierza Świątły. Jeszcze tego dnia w przemówieniu telewizyjnym



Krwawiąca rana

Starcia z milicją na ulicach Szczecina

FOT. ANDRZEJ WITUSZYŃSKI/PAP

wicepremier Stanisław Kociołek nawoływał do podjęcia pracy następnego dnia i przywrócenia spokoju na Wybrzeżu, choć już wtedy trwały przegrupowania wojsk, które zablokowały m.in. dojścia do Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Robotnicy, którzy usłuchali próśb wicepremiera, natknęli się rano na blokadę. Na napierający tłum posypały się pociski. Do stacji Gdynia Stocznia dojeżdżały kolejki Szybkiej Kolei Miejskiej, z których wychodzący ludzie dostawali się wprost pod kule żołnierzy i milicjantów. Schronienia nie zapewniały betonowe perony. Symbolem czarnego czwartku w Gdyni stało się ciało Zbigniewa Godlewskiego (Janka Wiśniewskiego z ballady o tragedii w Gdyni) niesione na drzwiach przez manifestantów. Tego dnia w Gdyni zginęło 18 osób.

Jednak czarny czwartek to nie tylko Gdynia – do starć doszło także w Szczecinie. Tego dnia ok. godz. 10 odbył się wiec w Stoczni im. Adolfa Warskiego, podczas którego domagano się odwołania podwyżki cen oraz rozmowy z I sekretarzem KW PZPR w Szczecinie Antonim Walaszkiem. Rozmowy jednak się nie odbyły, a Walaszek miał stwierdzić, że z „motłochem

rozmawiać nie będzie”. O godz. 10.30 ponad 600 robotników opuściło stocznnię. Z pracownikami pobliskich przedsiębiorstw ruszyli w stronę KW PZPR.

Michał Paziewski, autor monografii o Grudniu 1970 r. w Szczecinie, pisał, że „skandowano: »Żądamy obniżki cen!«, »Szczecin z Gdańskiem!«, »Idziemy na komitet!«. Pojawiły się też transparenty: »Niech żyje strajk!«, »My nie chuligani, my ludzie pracy«. Próbowano intonować pieśni towarzyszące przełomowym momentom polskich dziejów – »Jeszcze Polska nie zginęła!«, »Międzynarodówkę«. [...] Sformowano kilka następnych pochodów, które za cel obrały budynek KW PZPR przy pl. Żołnierza Polskiego. Około południa zbierający się przy nim ludzie zaczęli rzucać w niego kamieniami i butelkami z benzyną. Spowodowały one pożar, który szybko ogarnął cały budynek”.

Pierwszy sekretarz KW PZPR Antoni Walaszek podjął decyzję o ewakuacji z komitetu, zaś tłum nie dopuścił straży pożarnej do budynku. Do miasta ściągnięto posiłki wojskowe, w tym te, które wcześniej pacyfikowały Gdańsk i Gdynię. Około godz. 14 tłum wokół budynku KW PZPR

liczył ok. 20 tys. osób. Mniej więcej dwie godziny później rozpoczęto także szturm na nieodległą od budynku partii Komendę Wojewódzką Milicji Obywatelskiej (KW MO) przy ul. Małopolskiej.

Paziewski pisał o ataku: „Używano odłamków tłuczonych płyt chodnikowych, materiałów łatwopalnych, zdobytych na wojsku i strażakach kilofów i oskardów. Do wnętrza budynku nieletni, nierzadko wspinający się po gzymsach i rynnach, wrzucali przez okna materiały palne. Obleganym szybko wyczerpały się granaty łzawiące i petardy, wystrzeliwane i rzucane w tłum, który odrzucał je do gmachu. Po nieudanych próbach sforsowania przy użyciu dragów i oskardów głównych drzwi wejściowych do komendy staranowano je przyciągniętą z pobliskiego placu zabaw starą szalupą ratowniczą. Szalupa rozpadła się i utkwiała w obszernych drzwiach, po czym podpalono wlaną do niej benzynę”.

Budynek płonął. Według Michała Paziewskiego pierwsze strzały z okien komendy wojewódzkiej milicji w kierunku ludzi padły ok. godz. 15.30. Z zachowanych rozmów telefonicznych pomiędzy komendantem wojewódzkim MO płk. Julianem Urantówką a komendantem głównym MO gen. Tadeuszem Pietrzakiem wynikało, że znajdujący się w komendzie funkcjonariusze mieli bronić się jak najdłużej bez użycia broni.

Michał Paziewski pisał: „Po nieudanym ataku na bramę główną zasadnicze uderzenie przeniosło się na znajdującą się na lewo od niej mniejszą drewnianą bramę. Kiedy po jej zniszczeniu okazało się, że wejście jest zamurowane, kilofami oraz metalową ławką uliczną wykuto w niej duży wyłom. Wtedy do wdzierających się oddano wprost krótką serię strzałów z ręcznego karabinu maszynowego ustawionego za kołami ciężarówki, po czym broń się zacięła”.

W ataku na komendę wojewódzką milicji w wyniku strzałów oddawanych przez wojsko oraz milicję lub też w wyniku innych zdarzeń zginęło 12 osób. Tego dnia zginęła w swoim mieszkaniu 16-letnia Jadwiga Kowalczyk. Jej brat, Bolesław Kowalczyk, po latach wspominał: „Patrzyli razem przez te okno. Zaczęło się te strzelanie, siostra [...] doleciała i patrzy, Jadzia leży na podłodze. Łapała ją za głowę i mówi: Jadzia powiedziała tylko: ma... już nic. I krew zaczęła lecieć. Wtedy mówi: tak nic nie leciała, nie wiedziała, co jej się stało, a wtedy zobaczyła, że krew leci, podłoga cała zalana. Dopiero po dwóch dniach

znaleźli tą odstrzeloną część czaszki. Na kanapie. Bo tak to nikt nie patrzył, nikt nie szukał tam. A tak tylko krew wytarli później, te krew my wycieraliśmy, zebraliśmy Jadzi ten mózg. Żeśmy ten mózg zakopali na ogródku. I te włosy...”

Do walk doszło jeszcze w kilku innych miejscach w mieście. Część atakujących komendę milicji przeniosła się pod Prokuraturę Wojewódzką i Wojewódzki Areszt Śledczy. Jak pisał Paziewski: „Zgromadzeni pod siedzibami partii i milicji ludzie – rozpraszeni przez wojsko – uformowali kilka pochodów. Jeden z nich przez mniej więcej pół godziny atakował mieszczące się przy ul. Kaszubskiej i ul. Potulickiej: Prokuraturę Wojewódzką, przylegający do niej Wojewódzki Areszt Śledczy oraz koszary Pułku Inżynieryjno-Budowlanego. Po strzałach oddanych przez żołnierzy zabita została jedna osoba, kilka raniono. Inny pochód, idący al. Niepodległości, najpierw obrzucił materiałami łatwopalnymi śródmiejską Komendę Dzielnicową MO, po czym zaatakował fronton i parterowe pomieszczenia Kuratorium i Wydziału Oświaty w Prezydium Miejskiej Rady Narodowej przy ówczesnym pl. Dzierżyńskiego. Żołnierze kolejny raz użyli broni palnej, raniąc kilka osób”. Aleksander Krystosiak wspominał: „Szedłem do domu po siódmej wieczorem. Walk już nie było. Palił się komitet partii i gmach WRZZ. Ten się raczej tlił. Ludzie pracy podpalili własne związki zawodowe”.

Następnego dnia rano wojsko otworzyło ogień do robotników pod stocznia, zginęły dwie osoby, w tym 16-letni uczeń pobliskiej szkoły okrętowej Stefan Stawicki. W kilku innych punktach miasta, gdzie robotnicy próbowali formować pochody i atakowali budynki instytucji państwowych kojarzonych z władzą, też użyto broni palnej. Tego dnia zatrzymano ogółem ponad 200 osób, w większości ludzi młodych lub bardzo młodych. 18 grudnia 1970 r. w Szczecinie powstał Ogólnomiejski Komitet Strajkowy (OKS), który wysunął 21-punktowe żądania, w tym między innymi odwołania podwyżek cen, powołania niezależnych od CRZZ związków zawodowych, wyrównania nierówności społecznych czy ukarania sprawców tragedii grudniowej. Wiele postulatów miało charakter socjalno-ekonomiczny, niektóre ściśle lokalne. Władze podjęły pertraktacje ze strajkującymi w chwili, gdy w Biurze Politycznym KC PZPR dochodziło do zmian personalnych. Na ten czas wobec totalnej inercji lokalnych władz OKS przejął władzę w mieście. Decydował o podziale

chleba, kursowaniu komunikacji miejskiej czy innych sprawach dotyczących funkcjonowania miasta.

Do podpisania ustaleń pomiędzy OKS a regionalnymi władzami partyjnymi doszło 20 grudnia 1970 r. Były one korzystne dla władz i stąd rozgoryczenie protestujących, którzy nie wahali się nazwać członków OKS zdrajcami. Nie chciano zakończyć strajku i zdecydowano się na jego kontynuowanie, a na jego czele stanął Edmund Bałuka. W ciągu następnych kilku dni zmieniła się liczba zakładów, które strajkowały. Strajk formalnie zakończono 22 grudnia 1970 r., bez żadnych warunków i z poparciem dla nowych władz. Uczestniczyło w nim 117 zakładów pracy.

NIE TYLKO WYBRZEŻE

Warto pamiętać, że rewolta grudniowa to nie tylko Wybrzeże. Do protestów i starć z milicją oraz wojskiem doszło w kilku innych miejscach w kraju, m.in. w Elblągu (zginęła jedna osoba), Wałbrzychu, Słupsku, Białymstoku, Krakowie, Bydgoszczy, Chorzowie, Olsztynie.

W tłumienie rewolty grudniowej na Wybrzeżu władze zaangażowały „łącznie ok. 27 tys. żołnierzy oraz 550 czołgów, 750 transporterów opancerzonych i 2100 samochodów. Zaangażowano również 108 samolotów i śmigłowców, a także 40 jednostek pływających Marynarki Wojennej. »Razem z siłami, które zostały przesunięte w wyznaczone rejon, ale nie użyte do akcji, jak również łącznie z grupami skierowanymi do dyspozycji miejscowych władz dla wewnętrznej ochrony obiektów na znacznym obszarze kraju – zaangażowano ok.: 61 tys. żołnierzy, 1700 czołgów, 1750 transporterów opancerzonych i 8700 samochodów«”. Do tego dochodziło 9 tys. milicjantów oraz innych służb mundurowych.

Po 1 stycznia 1971 r. po raz kolejny doszło do buntu, strajków, aż do nocnych rozmów pomiędzy nowym I sekretarzem KC PZPR Edwardem Gierkiem a robotnikami ze Szczecina i z Gdańska. To jednak dopiero po nieugiętej postawie włóknarek w Łodzi, które w twardych negocjacjach z premierem Piotrem Jaroszewiczem nie dały się zbyć ogólnikami, odwołano podwyżek cen z 12 grudnia 1970 r. Władze nie zamierzały się jednak poddawać i przystąpiły do dalszych represji środowisk robotniczych. Nadchodził czas zemsty.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Szczecinie.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Hitler u władzy

Czy Adolf Hitler był wszechwładnym dyktatorem czy sprawnym menedżerem, który w umiejętny sposób rozgrywał ścierające się ze sobą grupy interesów? Czy narodowi socjaliści musieli przejąć władzę, czy też Niemcy w latach 30. miały jakieś alternatywy? Czy można było uniknąć wybuchu drugiej wojny światowej?

To niektóre pytania, na które stara się odpowiedzieć brytyjski historyk Frank McDonough w książce „Czas Hitlera”, pierwszym tomie monumentalnego dzieła, który obejmuje lata 1933–1939. A więc okres, w którym Adolf Hitler przejął władzę. Zbudował potęgę militarną III Rzeszy i rozpętał drugą wojnę światową.

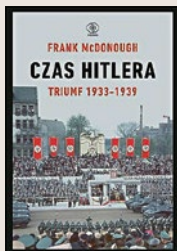
McDonough – podobnie jak wielu innych współczesnych badaczy – sceptycznie podchodzi do teorii, że III Rzesza była totalitarną dyktaturą, bliźniaczą przypominającą Związek Sowiecki. „W praktyce reżim nazistowski – pisze – był znacznie mniej totalitarny od tego w ZSRS. Niemiecka opinia publiczna mogła narzekać i krytykować rzeczywistość w o wiele większym stopniu, niż to wcześniej sugerowano. Wydaje się więc, że pierwotna

koncepcja totalitaryzmu stanowi wysoce niewłaściwą interpretację rządów Hitlera”.

To, że stopień totalizacji państwa w Niemczech był znacznie mniejszy niż w Związku Sowieckim, nie oznacza oczywiście, że III Rzesza nie dopuszczała się zbrodni. Wprost przeciwnie – dokonała ludobójstwa na szokującą skalę. Chodzi o to, że Hitler w wielu sytuacjach musiał iść na kompromisy z innymi potężnymi w Niemczech graczami. Takimi jak wielki przemysł czy Wehrmacht. Jego władza nie była więc totalna.

Kreśląc alternatywny scenariusz da Niemiec, McDonough wskazuje na możliwość stworzenia tradycyjnego, prawniczego i militarystycznego reżimu opartego na junkrach pruskich. Projekty takie snuł m.in. prezydent Hindenburg. Reżim taki – zdaniem brytyjskiego historyka – tak samo jak Hitler dążyłby do rewizji traktatu wersalskiego. A co za tym idzie – druga wojna i tak by wybuchła. Nie doszłoby jednak do Holokaustu i innych zbrodni, które były efektem ideologii narodowosocjalistycznej.

„Czas Hitlera” to ciekawa książka. Uwagę czytelnika zwróca również piękne, welkoformatowe ilustracje. ©©



★★★★★
FRANK
MCDONOUGH
„CZAS HITLERA.
TRIUMF
1933–1939”
REBIS



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Z dziejów narodowego wstydu

Wydawać by się mogło, że o okupacji niemieckiej w Polsce w latach drugiej wojny światowej napisano już praktycznie wszystko. Tymczasem niemal zupełnie ignorowany jest temat zastraszającego wręcz donosicielstwa wśród polskiego społeczeństwa. A gdy czasami nieśmiało poruszano temat, wzbudzało to wręcz histeryczne reakcje specjalistów.

Faktycznie, to bardzo niewygodna prawda, ale nie można jej unikać. Sprawa musiała być bowiem wyjątkowo poważna, skoro zainteresował się nią konspiracyjny „Biuletyn Informacyjny”, grożąc odwetem na donosicieli. Artykuł o tytule „Dno upadku” ukazał się w grudniu 1940 r. Zajął niemal całą stronę, a sam „Biuletyn” liczył ich wówczas osiem.

Znaczną część donosów kierowano do „Szanownego Pana Gestapo”, a ich liczba była przerażająca. Łódzkie gestapo odbierało ich ok. 40 dziennie (!!!), podobnie było w Warszawie i Krakowie. Ich zakres był bardzo szeroki: od czytania nielegalnej prasy, przez tajne nauczanie, aż do działalności konspiracyjnej. Denuncjowano wszystkich i wszystko, ukrywających się Żydów, nielegalny handel, wypowiedzi do sąsiadów na tematy polityczne, bez skrupułów wydawano też Niemcom oficerów ukrywających się przed okupantem. Do tego dochodziły jeszcze

nieprawomyślne wypowiedzi „przeciwko wielkiemu Wodzowi Niemiec” lub donos na sąsiadów, że „szykują zamach na W.P. Hytlera”. Zdarzali się też delatorzy z powodów religijnych, a jeden z nich informował gestapo, że jego sąsiedzi „w dniu postne wydają klientom mięso, które przechowywali w beczkach w piwnicy”.

Chociaż zapewne niektórzy z donosicieli mieli nadzieję na nagrodę finansową, to nie brakowało „bezinteresownych” lub załatwiających osobiste porachunki. Skala zjawiska była potworna, badacze obliczają (na podstawie danych ZWZ), że jeden delator przypadał przeciętnie na 300 mieszkańców Generalnej Guberni! Niektórzy byli zresztą tak uparci, że wysyłali donosy po kilka razy w tej samej sprawie i wyrażali oburzenie, że hitlerowcy nie reagowali.

Zasypywani anonimami Niemcy starali się ustalić najbardziej gorliwych donosicieli i natychmiast ekspedowali ich do obozów koncentracyjnych. Urządzano też specjalne szkolenia dla hitlerowskich funkcjonariuszy na ten temat. Na pocieszenie jednak można dodać, że odsetek donosicieli wśród polskiej ludności Generalnej Guberni nie odbiegał specjalnie od normy europejskiej. Podobnie kształtowały się wskaźniki w innych państwach okupowanych, a nasi rodacy nie odróżniali się specjalnie od Francuzów, Czechów czy Holendrów... ©©

Niedziela

w Telewizji Republika



W Punkt
9:06

zaprasza Katarzyna Gójska



Studio prasowe

10:06

zaprasza Adrian Stankowski



Salonik polityczny

11:00

zaprasza Rafał Ziemkiewicz



Polityczna kawa

12:00

zaprasza Tomasz Sakiewicz



oglądaj również na www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl 15fc4fd28c



Orbán: buntownik z wyboru



Jacek Przybylski

Lewicowe elity UE od lat uważają go za populistę i coraz częściej wprost nazywają dyktatorem. Viktor Orbán to jednak wytrawny polityczny gracz, który jest już najdłużej urzędującym premierem w historii Węgier i który w Europie rządzi krócej jedynie od Angeli Merkel

Kim jest Viktor Orbán? Dla Niemiec, Francji czy Holandii to groźny węgierski nacjonalista i uosobienie antyunijnego rewolucjonisty, który sprzeciwia się liberalnym planom przyjmowania imigrantów oraz tęczowemu

dekalogowi ideologii gender. Orbán stał się więc jednym z najważniejszych wrogów unijnego komisarza sprawiedliwości Didier'a Reyndersa, komisarza UE ds. lepszej regulacji i rządów prawa Fransa Timmermansa czy zagorzałego bojowniczki o prawa LGBTQI Heleny Dalli. Jeśli ktoś więc myśli, że to Warszawa ma napięte relacje z Brukselą, to powinien się przyjrzeć, co unijne elity wygadują o rządzie w Budapeszcie. To Orbána chciała „zagłodzić finansowo” niemiecka wiceszefowa Parlamentu Europejskiego Katarina Barley. Timmermans narzekał, że wolne media na Węgrzech praktycznie nie istnieją. A szef dyplomacji Luksemburga już w 2016 r. domagał się na łamach niemieckiego „Die Welt” wyrzucenia Węgier z UE, oskarżając władze w Budapeszcie o to, że traktują uchodźców „jak dzikie zwierzęta”, i porównując rządy partii Fidesz do białoruskiej dyktatury.

„Viktor Orbán mówi, że buduje nieliberalną demokrację. Ja bym powiedziała, że

buduje chorą demokrację” – stwierdziła w wywiadzie dla niemieckiego „Der Spiegel” wiceprzewodnicząca Komisji Europejskiej Věra Jourová. „Obawiam się, że mieszkańcy Węgier pewnego dnia stwierdzą, że poprzednie wybory były ostatnimi wolnymi” – stwierdziła wiceprzewodnicząca KE, przekonując, że Węgrzy wymagają obrony z zewnątrz, bo „nie potrafią samodzielnie formułować własnych opinii” na temat sytuacji w ich własnym kraju. W odpowiedzi rząd w Budapeszcie wezwał do dymisji Czeszki. W oficjalnym liście do szefowej KE Ursuli von der Leyen premier Orbán zauważył, że Jourová zaatakowała nie tylko demokratycznie wybrany węgierski rząd, lecz także sam kraj i jego obywateli. „To pierwsze jest niewłaściwe, zaś to drugie – niedopuszczalne” – napisał. Oczywiście Czeszka utrzymała stanowisko, a w odpowiedzi rzecznik KE wygłosił starą śpiewkę o potrzebie „nieustannego wzmacniania praworządności” na Węgrzech. Rząd w Bu-



Viktor Orbán mocno komplementował w Warszawie premiera Morawieckiego i prezesa Kaczyńskiego FOT. FACEBOOK.COM/ORBAN VICTOR

dapeszcie nie spodziewał się zapewne ze strony KE innej odpowiedzi. Dlatego dzień wcześniej szef węgierskiej dyplomacji po rozmowach z polskim ministrem Zbigniewem Rauem ogłosił wspólny plan powołania polsko-węgierskiego instytutu zajmującego się ocenianiem praworządności w krajach Unii Europejskiej, którego analizy miałyby zapobiec stosowaniu „podwójnych standardów” wobec Węgier i Polski w porównaniu z innymi członkami Wspólnoty. Polska i Węgry to bowiem dwa kraje UE, w których sprawie Komisja Europejska zdecydowała się na wszczęcie procedury z mocy art. 7 Traktatu o Unii Europejskiej, dotyczącego naruszenia wartości UE. I choć wszczęcie tych procedur zakończyło się fiaskiem, to Bruksela wciąż stawia Budapeszt i Warszawę pod pręgierzem liberalnego mainstreamu.

„Tak naprawdę, drogi Manfredzie, jest zupełnie na odwrót” – zatytułował Orbán swój list otwarty do niemieckiego lidera Europejskiej Partii Ludowej Manfreda Webera, w którym przytoczył jedynie najbardziej skandaliczne stwierdzenia liderów UE wobec Węgier, w prosty sposób udowadniając, dlaczego zapewnienia o tym, że osławiony mechanizm praworządności nie jest skierowany przeciwko Węgrom

i Polsce, to po prostu stek kłamstw. – Nie jesteśmy frajerami – zauważył szef węgierskiego rządu.

Orbán jest też wrogiem George’a Sorosa, amerykańskiego miliardera węgierskiego pochodzenia, który dorobił się fortuny na spekulacjach giełdowych oraz walutowych i który już bez skrupułów, poza ścianami gabinetów unijnych liderów, próbuje zmuszać Europę do przyjęcia jego wizji świata. To właśnie węgierski miliarder apelował w ostatnich tygodniach, aby UE absolutnie nie szła na kompromis z Polską oraz Węgrami, i doradzał unijnym elitom, jak ominąć polsko-węgierski sprzeciw.

Dla rządu w Warszawie węgierski premier to charyzmatyczny sojusznik, który jak mało który światowy lider zrozumiał, jak bardzo elity w Warszawie lubią komplementy. Sprawnie wykorzystał więc weto Polski, choć od jego listopadowego wystąpienia w publicznym Kossuth Rádió można było z dużą dozą prawdopodobieństwa orzec, że Orbán wcale nie zamierzał iść na twarde zderzenie z całą Unią Europejską. Szef węgierskiego rządu słusznie powtarza wprawdzie, że istnieje życie poza UE i że wyczekiwany tzw. fundusz odbudowy to tak naprawdę pożycz-

ka, którą kolejne pokolenia będą musiały spłacać, więc lepiej byłoby podobny fundusz stworzyć wspólnie przez Polskę i Węgry. Mocno prounijne społeczeństwo węgierskie nie wybaczyłoby jednak swemu premierowi, gdyby zaczął na poważnie mówić o hungexicie lub choćby zaryzykował utratę potężnego zastrzyku pieniędzy przypisanego Węgrom na lata 2021–2027.

Podczas ostatniej wizyty w Warszawie, w dniu najważniejszych negocjacji z Angelą Merkel, w wywiadzie dla TVP Info nie tylko nie mógł się nachwalić sojuszu polsko-węgierskiego, lecz także z ogromnym szacunkiem odnosił się zarówno do Mateusza Morawieckiego, jak i do Jarosława Kaczyńskiego, nazywając go „jego ekscelencją”. – Gdy jego ekscelencja Jarosław Kaczyński mnie zaprasza, to zawsze przyjadę. Na Węgrzech jest on legendą, cieszy się tam ogromnym szacunkiem – podkreślał szef węgierskiego rządu, który wcześniej pochlebstwami wielokrotnie obdarzał Mateusza Morawieckiego. Ostatnio polskiego premiera nazwał „w pewnym sensie swoim szefem” (Polska przewodzi bowiem obecnie Grupie Wyszehradzkiej). Wychwalał go również pod niebiosa po lipcowym szczycie UE.

Wizerunkowe zagrania fantastycznie opanowane mają także członkowie rządu w Budapeszcie. Na wieść o kompromisowym rozwiązaniu – mimo wszystko odbiegającym od postulowanego wcześniej przez przywódców obu państw – ogłosili w środę wielką wygraną Polski i Węgier. Dzięki tak optymistycznemu przedstawieniu łatwiej sukces Morawieckiego mógł również po szczycie w Brukseli sprzedać PiS. Obaj premierzy pochwalili się przed kamerami, że nie tylko obronili suwerenność, lecz także wywalczyli gigantyczne pieniądze. – Porozumienie, które wynegocjowaliśmy, to podwójne zwycięstwo – stwierdził szef polskiego rządu Mateusz Morawiecki i podziękował premierowi Węgier Viktorowi Orbánowi „za wspólną pracę na rzecz najlepszego budżetu dla Polski i walkę o utrzymanie uzgodnionych warunków”. Takie rozegranie sporu z Unią pozwoli też zachować twarz Zbigniewowi Ziobrze i politykom Solidarnej Polski, którzy żądali twardych negocjacji.

Niepokojące dla Budapesztu i Warszawy może być tylko to, że sukces tego samego dnia, co Polacy i Węgrzy, świętował również publicznie przedstawiciel drugiej strony sporu: Manfred Weber. „To duży sukces i przełom w sposobie, w jaki UE może chronić praworządność w Europie. ■

Polityczna deklaracja Rady nie jest prawie wiążąca, a rozporządzenie w sprawie praworządności jest” – napisał na Twitterze. Ale to przecież problem na przyszłość.

Tego typu mistrzowskie zagrywki piarowsko-polityczne są typowe dla polityka-hazardzisty, jakim jest Orbán. I to zapewne z powodu tak dobrze rozgrywanych politycznych partii i umiejętności lawirowania między różnymi partnerami liberalne „Politico” uznało niedawno węgierskiego lidera za czwartego z najbardziej wpływowych „ludzi czynu” w Europie przed Macronem, Erdoğanem czy Borisem Johnsonem. Orbán często wygrywa, ponieważ potrafi realistycznie oceniać możliwości i dobrze wie, kiedy może jeszcze licytować dalej, a kiedy trzeba już powiedzieć pas.

Zawsze trzeba bowiem pamiętać, że Viktor Orbán konsekwentnie broni interesu narodowego Węgier. Gdy mu się to opłaca, dawny radykalnie antysowiecki liberał robi więc interesy z Władimirem Putinem (Węgry w tym roku kupują zarówno szczepionki zachodnich firm farmaceutycznych, jak i rosyjską szczepionkę Sputnik V). Węgierski rząd nie obawia się także amerykańskich pohukiwań na Chińczyków, dzięki czemu to w Budapeszcie powstanie nowe centrum badawczo-rozwojowe (pierwotnie miało być w Warszawie). Do 2024 r. w Budapeszcie ma również powstać pierwsza poza Chinami filia prestiżowego Uniwersytetu Szanghajskiego Fudan. Oczywiście nie zawsze wygrywa: przed wyborami w USA zaryzykował i otwarcie poparł Donalda Trumpa (którego popierał też w walce przed czterema laty), zakładając zapewne, że niewielu amerykańskich prezydentów przegrywa walkę o reelekcję. Ameryka za rządów Bidena dołączy więc zapewne do unijnego chóru krytyki „praworządności” na Węgrzech.

KONSTYTUCYJNA WIĘKSZOŚĆ

Przywódca rządzącej na Węgrzech partii Fidesz jest twórcą jej sukcesu i niekwestionowanym liderem krajowej sceny politycznej. Na przełomie listopada i grudnia zapisał się w historii jako najdłużej sprawujący funkcję premiera szef węgierskiego rządu od czasów Austro-Węgier. Szefem rządu w Budapeszcie jest już od 14 lat i ponad 159 dni. Wcześniej najdłużej urząd premiera Węgier piastował Kálmán Tisza (od października 1875 do marca 1890 r.). Wśród współczesnych europejskich premierów lepszym wynikiem może pochwalić się tylko

Angela Merkel, która urząd kanclerza Niemiec piastuje od 22 listopada 2005 r. Obecnie – jak poinformował dziennik „Magyar Nemzet” na podstawie badania przeprowadzonego przez Instytut Nézöpont – z rządów premiera Viktora Orbána jest zadowolonych aż 59 proc. dorosłych Węgrów (w listopadzie 2019 r. było to 52 proc., w 2017 r. – 40 proc., a pod koniec roku 2013 zadowolonych z rządu było 49 proc.).

Swoją sukces na Węgrzech zawdzięcza wyjątkowo stabilnej na tle Europy Zachodniej sytuacji wewnętrznej oraz prostej doktrynie politycznej: chociaż na Węgrzech Fidesz rządzi w koalicji z partią chrześcijańskich demokratów KDNP

Ku przerażeniu liberalnego mainstreamu premier Orbán wygrał europejską debatę na temat imigrantów

(ponad jedna czwarta ogółu posłów), to rządzący obóz działa tak sprawnie, że wielu zachodnich, a nawet polskich komentatorów jest święcie przekonanych, że na Węgrzech sprawuje rządy tylko jedna partia.

Wyborcom Orbána podobać się może rekordowo niskie bezrobocie – w roku 2019 spadło ono do poziomu 3,3 proc., czyli najniższego od 30 lat. W liczącym 9,77 mln mieszkańców kraju pracy nie miało zaledwie 155 tys. osób. Tak dobry wynik rząd Fideszu uzyskał, m.in. stwarzając kobietom lepsze warunki do podjęcia zatrudnienia, a także zmniejszając podatki dla przedsiębiorstw, dzięki którym mają one więcej pieniędzy na płace dla pracowników. Na rynku pracy niezagospodarowana pozostała więc już tylko zupełnie niewykwalifikowana siła robocza. Podczas pandemii bezrobocie wzrosło co prawda do 4,8 proc., ale w okresie czerwiec-sierpień spadło do 4,6 proc. (choć analitycy spodziewali się skoku do 7–8 proc.). Dla porównania w Polsce stopa bezrobocia utrzymuje się w okolicach 3,1 proc., ale już w rządzonej przez socjalistów Hiszpanii wynosi 16,6 proc., w Grecji – 16,8 proc., a średnia w UE wynosi 7,5 proc. Aby zapobiegać bezrobociu wśród młodych, węgierskie władze wprowadziły m.in. dobrowolną, półroczną rezerwową

służbę wojskową dla osób, które straciły pracę podczas pandemii koronawirusa, z miesięcznym żołdem o równowartości 2,1 tys. zł, a także z wyżywieniem i dodatkiem za rekrutację.

Orbán walczy również o zmniejszenie obciążeń finansowych Węgrów, z których niemal połowa narzeka, że pandemia koronawirusa pogorszyła ich sytuację finansową. W grudniu rząd w Budapeszcie zakazał samorządom podnoszenia podatków, ustanawiania nowych danin i likwidacji różnych ulg. Orbán rozwinął też system wspierania dzieci (w ramach programu CSOK w zamian za posiadanie dzieci bądź nawet sam zamiar powiększenia rodziny można otrzymać solidną dopłatę do zakupu mieszkania).

BOGU, CO BOSKIE

Ku przerażeniu liberalnego mainstreamu premier Viktor Orbán wciąż upiera się, że Europa jest zbudowana na podstawach chrześcijańskich. W maju oficjalnie uczcił więc np. setną rocznicę urodzin papieża Polaka przed pomnikiem Jana Pawła II w bazylice św. Stefana w Budapeszcie. Podczas grudniowej wizyty w Warszawie rano udał się zaś na roraty do kościoła Karmelitów (a swoje zdjęcie z kościelnej ławy zamieścił w mediach społecznościowych).

Nie chodzi jednak tylko o symbole. Rząd w Budapeszcie już w maju tego roku wprowadził zakaz urzędowej zmiany płci. W listopadzie piękna i zdolna minister sprawiedliwości Judit Varga przedłożyła w parlamencie projekt zmian konstytucji, który zakłada zamieszczenie w ustawie zasadniczej jasnego zapisu o tym, że „matką jest kobieta, a ojcem mężczyzna”. Tęczowe unijne elity mocno ubódl też zapis w projekcie, który mówi, że płeć człowieka należy zdefiniować łącznie w chwili jego przyjścia na świat.

Premier Węgier konsekwentnie sprzeciwia się także przyjmowaniu i przymusowej relokacji imigrantów, co kłuje w oczy lewicowych unijnych decydentów bardziej niż jakkolwiek reforma wymiaru sprawiedliwości. Mimo to nawet „Politico” musiało przyznać, że szef węgierskiego rządu tę debatę wygrał. Viktor Orbán umiejętnie rozgrywa również ciągle skłóconą, rozdrobnioną i nieudolną opozycję. Dzięki temu po wyborach w 2022 r. ma szansę nie tylko ponownie zostać premierem, lecz także kolejny raz utrzymać konstytucyjną większość w parlamencie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Złodzieje na miarę czasów



FOT. IRENEJ CHABANOV/ADOBE STOCK



Gabriel Michalik

– Do kryminału cię zamknę, łobuzie! – drze się do słuchawki emerytka z Saratowa, okradziona właśnie z oszczędności zgromadzonych na opłacenie własnego pogrzebu. – Ja już tu jestem... – odpowiada ponuro łobuz i rozłącza się

Masz do wynajęcia pokój z kuchnią w – dajmy na to – Permie na Uralu. O fakcie tym zawiadamiasz świat za pośrednictwem jednego z serwisów ogłoszeniowych (najpopularniejszy z nich to avito.ru) i już po minucie od zatwierdzenia anonsu odbierasz pierwszy telefon.

Oferent nie pyta nawet o wyposażenie mieszkania i o jego stan. Od razu oświadcza, że metraż i lokalizacja są idealne – właśnie takiego lokum szuka! Choćby

nawet szczury z pluskami organizowały sobie w twojej garsonierze taniec figurowy na brudzie, to oferent się nie ulęknie. Nie z tych on bowiem, których łatwo wystraszyć: jest wojskowym. Na dniach, powiada, przenoszą go z Woroneża do Permu. Nie zdążył zawczasu zatroszczyć się o zakwaterowanie; myślał już, że przyjdzie mu waletować w koszarach, i wtedy twoje ogłoszenie spadło jak z nieba. Podjął decyzję, a u niego decyzja to decyzja: bierze mieszkanie w ciemno! Zjedzie do Permu wprawdzie dopiero za tydzień, ale już dzisiaj wpłaci zaliczkę, żeby mu nikt nie podkupił twojego gniazdka. Pieniądze przyjdą szybkim przelewem, wprost na twoją kartę debetową.

Następnie rozmówca prosi, abyś podał mu numer karty, datę ważności i numer CVV (jest wydrukowany kursywą na odwrocie karty). Obaj się cieszyecie, że tak szybko sprawa się rozstrzygnęła. Ale... ponieważ nie jesteś w ciemni bity i domyślasz się, że po podaniu „wojskowemu” daty ważności karty i numeru CVV, nie tylko nie dostaniesz żadnej zaliczki, lecz także z twojego konta znikną nawet te kopiejki, które tam trzymasz, informujesz oszusta, że nie ciebie, starego wróbla, na

takie plewy brać. „Wojskowy” życzy ci rychłego zgonu, i na tym się żegnacie.

Po chwili dzwoni „żona milicjanta z Nowosybirsk”. Męża przenoszą do Permu, potrzebne mieszkanie. Lokalizacja w porządku, metraż, wystrój – „nie jestem wymagająca”. „Milicjantowa” rezerwuje: „Tylko proszę mnie nie oszukać, ludzie teraz nieuczciwi”. Za trzy dni przyjedzie z mężem; dzisiaj chce wpłacić zaliczkę, żeby nikt jej nie sprzątnął mieszkania sprzed nosa; pieniądze prześle ci na konto itd., itp.

Tym razem, miast życzenia śmierci, rozmowę kończy skierowanie cię w pewne brzydkie miejsce (dla znających język Zoszczenki przytoczmy słowa te w oryginale: Пошел в жопу, козёл!).

Jedni chcą numery karty, inni proponują ci spacer do bankomatu lub terminalu do płatności (tak tobą pokierują, że oczywiście to nie ty od nich dostaniesz swoje 10 tys. rubli, ale oni od ciebie całe saldo konta). W ciągu kilku godzin odbierasz blisko setkę telefonów od przedstawicieli najsolidniejszych profesji, gotowych z marszu brać twoją zapuszczoną kawalerkę i wpłacać zaliczkę. Usuwasz ogłoszenie, ale i to nie pomaga. Numer telefonu

■ znalazł się już w bazie danych złodziei. Dopóki nie zmienisz numeru, dopóty dzień w dzień będziesz odbierał po kilka telefonów z banku, „by odblokować kartę”, z kancelarii windykacyjnej „w razie braku spłaty, sprawę przejmie komornik”, z posterunku drogówki („Brat miał wypadek, potrzebne pieniądze... Nie macie brata? A tak, przepraszam, pomyliłem akta; chodzi o waszą żonę, żona miała wypadek...”).

Wszystko, co powyżej, to przypadki z własnego życia piszącego te słowa, gdy rok temu, wraz z żoną i dziećmi, wskutek postępowania spadkowego i własnej nieostrożności, stał się bene natus et possessionatus de garsoniera na przedmieściach Permu. Poraża skala: telefonów w odpowiedzi na ogłoszenie było po 20 na godzinę, a każdy z nich stanowił próbę oszustwa.

OSZUKAŃCZY PRZEMYSŁ

Sposób działa w obie strony. Oszuści zarówno odpowiadają na ogłoszenia, jak i publikują własne. Sprzedają tablety, komputery, telefony komórkowe, wiertarki, samochody, dźwigi, koparki, mieszkania, rowery, hulajnogi, działki pracownicze i co tam jeszcze dusza zapagnie... Nie, nie za bezcen, gdyż to byłoby nazbyt podejrzane; cena zwykle jest o 10–20 proc. niższa od rynkowej. Ogłoszeniodawca już niemal sprzedał oferowany przedmiot, twoja jedyna szansa na wyprzedzenie innych klientów to wpłacenie zaliczki.

Przyjaznym środowiskiem dla oszustów są również serwisy z ogłoszeniami o zgubach. Zapodziać możesz najbardziej ekscentryczny przedmiot (łowcom oszustów zdarzało się wabić złodziei na anons o pozostawionej w toalecie publicznej protezie zębowej), każda zguba zostanie przywitana życzliwie przez chętnych do podjęcia nagrody. Płatnej, jasna rzecz, z góry.

Gałęzi oszukańczego przemysłu związanej z drobnymi ogłoszeniami bardzo pomagają, wszechobecne w Rosji, terminale do dokonywania płatności gotówkowych. Opłaca się w nich zakupy w sieci, doładowuje telefony i reguluje rachunki. System wydaje się wręcz skonstruowany na zamówienie oszustów. Gotówkę poprzez terminal można przelać na anonimową kartę płatniczą, zasilić nią konto telefonu komórkowego, saldo telefonu przekształcić w elektroniczne pieniądze na zakupy w sieci, a je wypłacić natychmiast w innym terminalu.

Skala telefonicznych oszustw jest w Rosji tak wielka, że dała życie oddzielnej

niszy ekonomicznej: produkcji dochodowych filmików wideo zawierających zarejestrowane rozmowy z oszustami. Niejaki Andriucha, jeden z najpopularniejszych vlogerów specjalizujących się w demaskowaniu przekrętów (kanał „Vidosy o Razwodach”), często słyszy od złodziei, że zamiast ich osądzać, powinien okazać wdzięczność. Gdyby bowiem nie ciężka praca naciągaczy, nie miałby do dyspozycji treści przyciągających na jego kanał w serwisie YouTube setki tysięcy widzów.

Organy ścigania, co do zasady, czują się bezsilne wobec zjawiska. Wskazuje się, że nawet gdyby wszystkie siły policyjne zostały zaangażowane do łapania „uczciwych znalazców”, „funkcjonariu-

W pierwszym półroczu 2020 r. Sbierrbank przyjął aż 3 mln zawiadomień klientów o udanych i nieudanych próbach wyłudzenia pieniędzy

szy drogówki” i „żołnierzy z Woroneża w drodze do Permu”, to i tak nie na wiele by się ten trud zdał. Z oszustami bowiem, powiada życiowe doświadczenie, jest jak z poetą w znanym wierszu Miłosza albo z żołnierzami, według uspokajających demografów słów Stalina: co roku baby rodzą nowych.

A jednak to błąd. Pozór. W istocie bowiem łapanie złodzieja nic nie zmienia z przyczyn dalece bardziej efektywnych niż złodziejska rozrodczość, co więcej, złodzieja właściwie nie trzeba łapać, gdyż jest już zawczasu złapany, o czym najdobitniej przekonało się kierownictwo Sbierrbanku, największego rosyjskiego banku detalicznego.

Potężną część złodziejskiego biznesu stanowią oszustwa polegające na podszywaniu się pod działu zabezpieczeń banków. Instytucje finansowe latami znosiły z obojętną godnością odnośne skargi klientów. Wreszcie, w dobie pandemii, przelała się czara goryczy. Tylko w pierwszym półroczu 2020 r. Sbierrbank przyjął rekordowe 3 mln zawiadomień klientów o udanych i nieudanych próbach wyłudzenia pieniędzy przez osoby podające się za pracowników banku. Oszuści żądali danych kart kredytowych, potrzebnych rękoma do ich ochrony przed użyciem przez osoby nieupoważnione; kiedy indziej

informowali, że w wyniku wycieku haseł klienta na koncie doszło do nieautoryzowanych transakcji i jedynym sposobem uratowania pieniędzy jest przelewanie ich na specjalny rachunek depozytowy banku.

CALL CENTER

Zarejestrowane przez tropicieli oszustów rozmowy do złudzenia przypominają pierwowzory, inicjuje je bankowa melodyjka, ofiara ma do czynienia po kolei z kilkoma „pracownikami” – od szczerbla doradcy klienta do menedżera, zdarzają się też uzupełniające telefony od rzekomego oficera Federalnej Służby Bezpieczeństwa, który instruuje ofiarę o konieczności współpracy z pracownikami banku i zaświadcza, że operacja jest prowadzona pod kontrolą FSB. W trakcie „opracowywania” ofiary przestępcy z wielkim talentem aktorskim imitują „nowomowę” i intonację pracowników bankowych działów obsługi klienta. Dopiero gdy niedosłucha ofiara przejrzy intrygę, „doradca” przechodzi na język, którego nie powstydziliby się organizator-ki Ogólnopolskiego Strajku Kobiet.

Sbierrbank niepokojony ciągłymi skargami klientów i wyśmiewany przez vlogerów zaangażował wiosną bieżącego roku oddziały detektywów i jednoznacznie wskazał, że blisko połowa telefonów od samozwańczych pracowników Sbierrbanku wykonywana jest z rozsianych po całej Rosji aresztów i kolonii karnych. 20–30 proc. wykonano z Ukrainy (w większości również z tamtejszych zakładów karnych i aresztów), reszta to najprawdopodobniej „prywatna inicjatywa”. W trakcie przeszukania dokonanego z inicjatywy Sbierrbanku w jednym tylko moskiewskim areszcie Matroska Tiszyna latem bieżącego roku w więziennych celach znaleziono telefony, routery i inny sprzęt elektroniczny o wartości ponad 7 mln rubli (ok. 350 tys. zł). Dopingowani przez detektywów Sbierrbanku śledczy wyłuskali 50 osadzonych tworzących zorganizowane call center, odbywające tygodniowo co najmniej 20 tys. rozmów z potencjalnymi ofiarami. A jako że ta działalność nie byłaby możliwa bez ścisłej współpracy z władzami aresztu, to i owym władzom, po wybuchu afery, przyszło z pewnymi oporami poświęcić w charakterze kosztów ofiarnych dwóch szeregowych strażników. Podobno mieli przymykać oczy na działalność osadzonych w zamian za łapówki w wysokości 5 mln rubli miesięcznie (dla porównania, oficjalna pensja strażnika wynosi 40 tys. rubli). Wyższe szczeble tak były zajęte ważniejszymi

mi sprawami, że nie zauważyły funkcjonowania w jednostce „filii” Sbirbanku.

Wynikiem działań Sbirbanku stał się pewien medialny szum, żądania dymisji w najwyższym kierownictwie zarządu więziennictwa (do których nie doszło), a w końcu wyasygnowanie z państwowej kasy 3 mld rubli na zakup zagłuszek telefonii komórkowej, które są teraz instalowane w pobliżu więzień. Złośliwi twierdzą, że celem całego bankowego śledztwa było uzyskanie przez krewnych i znajomych królika państwowych zamówień na te właśnie zagłuszarki, o tyle jednak bezużyteczne, że ich obsługą zajmą się przecież sami więźniacy. Zresztą w Matroskiej Tiszynie już październiku detektywi wynajęci przez Sbirbank zarejestrowali odrodzenie się więziennego call center w pełnej krasie.

WIEZIENNY INTERES

Na tragicomiczny obraz więzień, z których osadzeni działający w zмовie ze strażnikami przy aprobacie ich przełożonych dokonują dzień w dzień tysięcy drobnych oszustw, jeszcze bardziej ponure światło rzuciła dziennikarka Olga Romanowa, założycielka i szefowa fundacji Siedząca Rosja, zajmującej się walką

o prawa osadzonych (organizacja działa od 10 lat, to jest od momentu, gdy do aresztu, pod sfingowanym zarzutami, trafił na wiele miesięcy mąż Romanowej). Według informacji Siedzącej Rosji, powołującej się na świadectwa samych osadzonych, wydzwanający do swych ofiar więźniowie zmuszani są do tej działalności biciem, groźbami zgwałcenia bądź zabójstwa oraz pozbawienia i tak skromnych racji żywnościowych. Kradzione Rosjanom dzień w dzień pieniądze trafiają do więziennej starszyny i funkcjonariuszy, ci zaś odpalają należytą dółę najwyższym szarżom, zasiadającym w ministerialnych gabinetach Moskwy.

Spektakularny wzrost liczby oszustw telefonicznych w trakcie epidemii wynika zaś według Siedzącej Rosji z obowiązujących ze względów epidemicznych ograniczeń we wstępie do aresztów i kolonii adwokatów i obrońców praw człowieka. Więźniowie zostali sam na sam ze swoimi poganiaczami. System się domknął.

Opozycyjna publicystka Julia Łatynina wskazuje w komentarzu do rewelacji Siedzącej Rosji, że układ spraw ma spore przewagi nad zwykłym niewolnictwem, znanym chociażby z historii obu Ameryk. Klasyczny właściciel niewolników, aby

korzystać z owoców ich pracy, musiał zapewnić swojej ludzkiej trzodzie odzież, dach nad głową, wyżywienie, a niekiedy nawet leczenie. W przypadku rosyjskich niewolników wydatki ponosi państwo. Przyjmując ostrożnie, że tylko co 10. spośród ogólnej liczby blisko pół miliona osadzonych zmuszany jest do tej szczególnej pracy, rosyjscy emeryci, ogłoszeniodawcy, kierowcy i wszyscy inni nieszczęśnicy, których numery telefonu wpadną w ręce więziennych „firm”, mają przeciwko sobie świetnie zorganizowaną armię złożoną z 50 tys. zdesperowanych mężczyzn i kobiet, z których (jak wskazało śledztwo w Matroskiej Tiszynie) każdy dokonuje dzień w dzień nie mniej niż 50 prób wyłudzenia pieniędzy.

Cokolwiek by sądzić o etycznej stronie omawianego modelu biznesowego, nie sposób nie dostrzec, że doprowadzenie do sytuacji, w której nawet drobna przestępczość jest kontrolowana przez funkcjonariuszy państwowych, i to właśnie oni z niej czerpią dochody, zasługuje na uznanie jako swego rodzaju rosyjski cud z pogranicza prawa i ekonomii. O czymś takim nie śniło się nawet budowniczym Związku Sowieckiego.

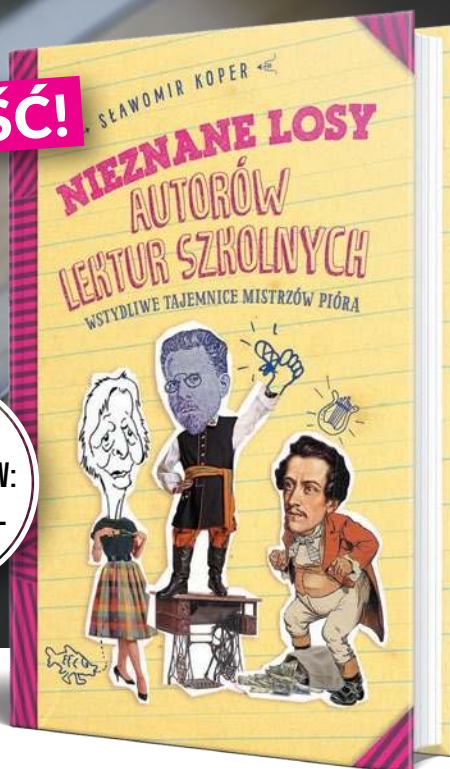
© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

NIEZNANE LOSY AUTORÓW LEKTUR SZKOLNYCH WSTYDLIWE TAJEMNICE MISTRZÓW PIÓRA

NOWOŚĆ!

KSIAŻKA
DO KUPNIENIA W:
WWW.XLM.PL



PATRONATY
MEDIALNE:





FOT. GIANLUIGI GUERCA/APPEAST NEWS

HITLER WYGRAŁ WYBORY

W byłej niemieckiej kolonii – Namibii – odbyły się wybory do lokalnego samorządu. Do rady regionu Oshana z listy rządzącej Organizacji Ludu Afryki Południowo-Zachodniej kandydował... Adolf Hitler Uunona. I odniósł zdecydowane zwycięstwo (zdobył 85 proc. głosów). Pan Adolf Hitler tłumaczył niemieckiemu tabloidowi „Bild”, że imię na cześć niemieckiego dyktatora III Rzeszy nadał mu ojciec i jego zdaniem nie bardzo rozumiał, jakie wartości wyznawał Hitler. Mimo wszystko Uunona zastrzegł w mediach: „To, że mam tak na imię, wcale nie oznacza, że chcę podbić Oshanę. Nie dążę do dominacji nad światem”.

PUBLICZNE RADIO CENZURUJE CHRZEŚCIJAN

We Francji od 164 lat działa stowarzyszenie non profit L'Œuvre d'Orient. Wspiera chrześcijan na Wschodzie, finansuje ich działania społeczne, szkoły, szpitale i przychodnie. Francuskie publiczne Radio France Inter odmówiło mu emisji reklamy, bo zawierała słowo „chrześcijanie”. Stacja opublikowała oświadczenie, w którym tłumaczy swoje zachowanie tym, że jej zdaniem wielu słuchaczy nie życzy sobie wysłuchiwać reklam, które naruszają neutralność religijną.

BYŁY GANGSTER SZEFEM PARTII

Madryckim struktorem partii Podemos – to ugrupowanie aktualnie współprzewodzi Hiszpanią – prowadzi Jose Luis Nieto Pereira. W partyjnym głosowaniu zebrał 63 proc. głosów. Nieto Pereira na początku lat 80. został skazany m.in. za napad na bank. Mimo popełnienia jeszcze kilku innych przestępstw otrzymał wyrok zaledwie pięciu lat więzienia, z czego odsiedział jedynie połowę.

HOLENDRZY KONTRA AWOKADO

Holenderski związek chirurgów plastycznych bije na alarm. Zdaniem lekarzy trafia do nich coraz więcej ludzi, którzy poważnie ranią sobie ręce... rozcinając awokado. Każdego tygodnia do lekarzy ma trafiać po kilku pacjentów, którzy ostrym nożem próbują wydobyc olbrzymią pestkę. Stowarzyszenie chirurgów plastycznych zaapelowało więc do konsumentów o usuwanie pestki za pomocą łyżki.

450 KM SPACERU PO KŁÓTNI Z ŻONĄ

Pewien 48-latek z Como w Lombardii pokłócił się z żoną. Wzburzony małżonek wyszedł, trzaskając drzwiami, i zniknął. Na długo. Rodzina zgłosiła nawet zaginięcie. Karabinierzy spotkali mężczyznę w mieście Fano – ponad 450 km od domu. Okazało się, że wściekły na żonę 48-latek doszedł tam piechotą, pokonując średnio dziennie 65 km. Chyba było warto, bo żona po informacji o odnalezieniu natychmiast wsiadła w samochód i pojechała go odebrać. ©©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Twardy brexit?

Twardy brexit jest możliwy – podkreślają obie strony negocjacji między Londynem a UE, czekając, kto pierwszy mrugnie. Stanowcze stanowisko w tej sprawie zajęli w zeszłym tygodniu zarówno kanclerz Niemiec Angela Merkel, jak i przywódca Wielkiej Brytanii Boris Johnson.

Teoretycznie osiągnięto postęp w bardzo wielu obszarach, ale jeżeli do końca grudnia nie zostaną zawarte porozumienie, to jedno byłoby pewne: koszt twardego brexitu byłby ogromny dla obu stron. Rozwód bez umowy sprawiłby, że byłoby drożej (handel zgodnie z zasadami Światowej Organizacji

Handlu dla wielu stałby się nieopłacalny) oraz bardziej chaotycznie.

Na posterunki graniczne już 1 stycznia 2021 r. powrócą gigantyczne korki oczekujących na kontrolę ciężarówek. Ucierpieć mogą też Polacy – nie tylko ci, którzy mieszkają na Wyspach, wciąż stanowią największą w Wielkiej Brytanii mniejszość narodową, lecz także ci pracujący w Polsce dla firm motoryzacyjnych, meblarskich czy spożywczych, które istotną część swej produkcji wysyłają do Wielkiej Brytanii.

Straciłyby też oczywiście inne kraje UE. Szansa na porozumienie wciąż więc istnieje. Niewykluczone

również, że w ostatniej chwili politycy zgodzą się na znane już dobrze rozwiązanie, czyli na przełożenie „ostatecznego” terminu zakończenia negocjacji o kolejne trzy miesiące. Najciekawsze w tym wszystkim są nastroje wśród samych Brytyjczyków. Tuż przed wymarzoną rozprawą większość deklaruje, że gdyby teraz odbyło się referendum w sprawie wyjścia z UE, to zagłosowałyby za pozostaniem w UE. Brzmi jak klasyka brytyjskiego humoru, ale jeżeli okaże się, że mieszkańcy Wielkiej Brytanii na rozwodzie stracą, to nie będą już też mieli prawa śmiać się z „głupich Amerykanów”. ©©

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

Jacek Bartosiak
o strategicznym
znaczeniu Bramy
Smoleńskiej!

Paul Kengor – **Jak Reagan wyzwolił Polskę**

Piotr Włoczyk – **Kulisy zamachu na prezydenta**

Arkadiusz Karbowski – **CIA i mudżahedini**

Tomasz Stańczyk – **Jak na Litwie wynaradawiano Polaków**

Tony Booth – **Horror na okręcie podwodnym**

Nikołaj Iwanow – **Zdrajca u boku Lenina**

Sławomir Cenckiewicz – **Nowa Mitteleuropa**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Chociaż jeszcze dekadę temu trudno byłoby uwierzyć w podobną historię, to od 2015 r. oraz premiery „Wiedźmina 3” – gry, która błyskawicznie stała się dobrem narodowym – to nie jeden z państwowych banków czy gigantów energetycznych stał się liderem polskiej giełdy, ale firma zajmująca się cyfrową rozrywką. Przez ten czas kurs CD Projekt RED wzrósł w sumie o 1760 proc., a 10 tys. zł zainwestowane w akcje na Gwiazdkę pięć lat temu dzisiaj czyniłoby z nas milionerów. Dla spółki z ambicjami bycia czymś więcej niż spadającą gwiazdą jednego hitu było jasne, że aby utrzymać trend wzrostowy, musi pokazać inwestorom, iż ma pomysł na przyszłość. W ten sposób jeszcze w trakcie wydawania produkcji na podstawie prozy Andrzeja Sapkowskiego od 2012 r. równolegle pracowano nad grą, która zelektryzowała branżę. Deweloper nie poszedł bowiem oczekiwaną ścieżką niekończących się, bezpośrednich kontynuacji „Wiedźmina”, ale stworzył zupełnie nowe, diametralnie różne uniwersum.

PRZEMOC, SEKS I BIZNES

Drugą twarzą CD Projektu stała się zatem nie quasi-średniowieczna sceneria magicznego fantasy, ale brudny, futurystyczny, pełen przemocy, seksu i biznesu świat „Cyberpunka”. Opiera się on na oryginalnym systemie „papierowej” gry fabularnej „Cyberpunk 2020”, zaprojektowanej przez Amerykanina Mike’a Pondsmitha pod koniec lat 80. Tak rozpoczęła się historia jednej z najbardziej oczekiwanych gier w dziejach, która obiecywała nieznaną do tej pory skalę immersji, głębię fabularną oraz żywe i działające jak autonomiczny ekosystem miasto Night City, w którym rozgrywa się główny wątek produkcji.

Chcąc zrozumieć skalę wyzwania, które postanowiono przedsięwziąć, musimy spojrzeć na całość projektu z lotu ptaka. Aby gra po licznych perturbacjach i przekładaniu daty premiery mogła się ukazać na półkach sklepowych 10 grudnia tego roku, zarówno w Polsce, jak i za granicą, pracowało nad nią ponad 500 osób. Zbudowano przez ten czas własny oryginalny silnik graficzny, napisano tysiące stron dialogów, nagrano setki godzin animacji motion capture i dubbingu, zatrudniono jeden z najbardziej znanych zespołów hip-hopowych Run The Jewels do stworzenia ścieżki dźwiękowej oraz aktora Keanu

Reevesa. To właśnie gwiazda „Matrixa” odgrywa pierwszoplanową rolę, jest jednym z głównych bohaterów „Cyberpunka” oraz stanowi twarz gigantycznego marketingu gry.

MARKETINGOWY GIGANT

À propos marketingu – również w tym zakresie licznik wychodzi poza skalę. „Rozmach! Zasięg dyskusji o »Cyberpunku« za ostatnie 30 dni przekroczył 1,1 mld internautów! To poziom nor-

wszystko, a nawet więcej, jeśli chodzi o wykorzystanie charakterystycznego dla wysokobudżetowych produkcji zestawu narzędzi promocyjnych. Mamy zatem edycję kolekcjonerską gry z artystycznie wykonaną figurką „V” – naszego protagonisty, metalowymi przypinkami, przewodnikiem w formie książkowej, naklejkami, mapą miasta, pocztówkami, naszywkami, karabińczykiem, breloczkiem i toną innych spersonalizowanych gadżetów.

Cyberszaleństwo



Marcin Makowski

Nie tylko na żadną polską grę, lecz także na żaden polski produkt nie czekano z porównywalnymi emocjami. Lata budowania napięcia, podpartego sukcesem „Wiedźmina 3”, sprawiły, że „Cyberpunk 2077” – chwilę przed premierą – zmonopolizował Giełdę Papierów Wartościowych

malnie zarezerwowany wyłącznie dla dużych wydarzeń, takich jak start misji załogowej. Według metryk Brand24 rozpoznawalność tej marki jest aktualnie wyższa niż 91 proc. marek na świecie! – ujawnił Michał Sadowski, właściciel spółki zajmującej się monitorowaniem mediów. CD Projekt zrobił właściwie

Jeśli mnie pamięć nie myli, to po raz pierwszy z premierą gry pojawiły się również dedykowane jej smartfony, np. turystycznie wykonany OnePlus 8T, z dostosowaną obudową oraz interfejsem. Na rynku chińskim zadebiutowały również cyberpunkowe fotele dla graczy, napoje energetyczne, trampki, karty graficzne

oraz reklamy wielkopowierzchniowe. Jedna z nich zagościła również na nowojorskim Times Square. Równocześnie Netflix zapowiedział prace nad animacją „Cyberpunk: Edgerunners”, dziejącą się w świecie produkcji polskich programistów. Jej premiera została zapowiedziana na rok 2022. W przededniu wydarzenia, gdy recenzenci otrzymali możliwość streamowania gry w sieci, zdominowała ona wszystkie gamingowe platformy do przesyłania obrazu na żywo, z Twitchem



i tak rekordowy „Wiedźmin 3”, a ponad jedną trzecią kopii cyfrowych na komputery PC sprzedano właśnie za pośrednictwem portalu producenta, dzięki czemu oszczędzono na marżach. Jak podała firma – w zamówieniach przedpremierowych sprzedano 8 mln kopii gry. Szaleństwo zakupów przełożyło się na szalony ruch na Giełdzie Papierów Wartościowych. Tylko w ciągu tygodnia przed premierą obroty akcji CD Projekt wyniosły ponad 2 mld 400 mln zł. Choć w ciągu ostatnich miesięcy kurs dołował ze względu na obawy związane z kolejnym odłożeniem terminu premiery, to w kulminacyjnym momencie 7 grudnia papier osiągnął rekord wartości – 463,90 zł za sztukę.

ARCYDZIEŁO ZE SKAZĄ

Pandemia, rozchwianie rynku, silne emocje oraz aura tajemnicy wokół finalnej wersji produktu przełożyły się jednak – po początkowej fali entuzjazmu – na trwającą dwa dni panikę oraz błyskawiczną realizację zysków. W ten sposób cena akcji spadła w pewnym momencie do ok. 380 zł za sztukę, przy obrotach przekraczających ponad 500 mln zł dziennie. Ogromny wpływ na ten stan rzeczy miała zwłaszcza informacja płynąca ze wszystkich recenzji – „Cyberpunk”, mimo że jest grą wybitną, na starcie posiada ogromną liczbę błędów. Część z nich jest do tego stopnia uciążliwa, że uniemożliwiały one dokończenie danego zadania, wymagając wczytania starszego zapisu postępów fabularnych. Akcjonariusze powiązali te informacje z prawdopodobną decyzją zakupową polegającą na odłożeniu dodania produktu do koszyka na czas przed świętami Bożego Narodzenia albo po Nowym Roku, gdy pojawią się usprawnione i zoptymalizowane wersje gry na konsole nowej generacji – PlayStation 5 oraz Xboxa Series X.

Nie zmienia to jednak faktu, że zdecydowana większość recenzentów, przysmykając oko na możliwe do wyeliminowania za pomocą zapowiedzianych nakładek błędy, jednym głosem zakrzyknęła: „Znowu to zrobili!”. Średnia ocen portalu metacritic.com, zbierającego recenzje najważniejszych tytułów branżowych, wynosiła na starcie tytułu 91 punktów na 100, z czego 44 były w ogólnym wydźwięku pozytywne, dwa mieszane, żadna redakcja nie zdecydowała się jednak ocenić gry w sposób jednoznacznie negatywny. „Jesteśmy zadowoleni z tego, jak przyjęte zostało uniwersum »Cyberpunka«». Gra jest

ogromna i wielopłaszczyznowa – widzimy, że recenzującym dziennikarzom bardzo spodobały się Night City, gameplay, przedstawiona historia i bohaterowie. Teraz z niecierpliwością czekamy na oceny graczy” – mówił mediom Adam Kiciński, prezes zarządu CD Projekt RED.

SZTUKA OPOWIADANIA HISTORII

Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że również te opinie będą w przytłaczającej większości pozytywne. W tej chwili osoby, które kupiły grę w momencie premiery, choć również im doskwierają pojawiające się gdzieś błędy, zwracają uwagę na cechy, które czynią „Cyberpunka” jednym z najciekawszych uniwersów ostatnich dekad. Polskim programistom udało się bowiem nie tylko stworzyć mieszkankę gatunkową PRG i FPS – czyli stylu opartego na dialogach i rozwoju postaci z dodatkiem intensywnych strzelanin – lecz także umieścić w Night City niesamowicie przekonującą i krwistą historię. Co charakterystyczne dla produkcji studia, nasze wybory – często wieloznaczne moralnie – mają bezpośrednie przełożenie na dalszy rozwój fabuły, losy postaci, z którymi się spotykamy, a w konsekwencji na wiele możliwych zakończeń i przynajmniej trzy różne alternatywne rozpoczęcia zabawy.

Choć ukończenie „Cyberpunka” w wersji głównego wątku fabularnego ma zajmować ok. 40, 50 godzin, wykonanie wszystkich zadań pobocznych to wyzwanie na przynajmniej drugie tyle. Jeśli dodamy do gry zapowiadaną opcję rywalizacji dla wielu graczy oraz planowane dodatki rozszerzające historię, to w mrocznym świecie Night City będziemy walczyć o wpływy i pieniądze przez kolejne długie lata. Być może to jest właśnie, pomimo nadal żywych i licznych obaw, największy atut CD Projekt. Lata tworzenia futurystycznego miasta, funkcjonującego jak otwarty ekosystem, będą procentować zbudowaniem lojalnej bazy nowych klientów, preferujących science fiction zamiast fantasy. Dzięki temu firma będzie w stanie rozwijać nie tylko świat „Wiedźmina” – a już mówi się o czwartej części – lecz także alternatywny kierunek korporacyjno-hakerskiej dystopii. W czasach lockdownów, zamykanych pubów, kin i sal koncertowych cyfrowa rozrywka stanowi przyszłość, w której kierunku „Cyberpunk” postawił wyraźny krok ku nowej jakości i nowym standardom.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

– największym podmiotem na rynku – na czele.

Bardzo dobrze dla polskiego giganta zadziałał również dystrybucyjny system synergii, związany z posiadaniem platformy do sprzedaży gier on-line GOG.com. „Cyberpunk 2077” cieszył się przedpremierowo większym zainteresowaniem niż



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

PiS – zwrot o 180 stopni

W sprawie energetyki PiS w ciągu pięciu lat swych rządów, a właściwie w ciągu jednego, ostatniego roku, dokonał zwrotu równo o 180 stopni – od węgla, od jego twardej obrony, do decyzji o zamknięciu wszystkich kopalń węgla do 2049 r.

„Polski przemysł wydobywczy stanowi filar naszej gospodarki, jest gwarancją naszej suwerenności energetycznej” – zapewniał górników prezydent Duda jeszcze podczas Barbórki w 2018 r. A już latem 2020 r. w PiS zapadła decyzja o likwidacji polskiego górnictwa w ciągu mniej niż 30 lat. I niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki polskie koncerny energetyczne, w których nie ma do powiedzenia ma rząd, jeden po drugim jąły deklarować, że „przechodzą na zieloną stronę mocy”, czyli zaczynają odchodzić od wytwarzania prądu z węgla i stawiają na energię z gazu i ze źródeł odnawialnych.

To pytanie stawiane było w ciągu ostatnich lat regularnie – pytanie o to, czy Polska nie chce pozostać w UE – i wtedy oparta na węglu polityka energetyczna ma sens, czy jednak chce zostać w UE, a wówczas taka polityka – biorąc pod uwagę skądinąd absurdalną, lecz konsekwentną, „zeromisyjną” politykę energetyczną Unii – całkowicie nie ma sensu, bo koszty trwania przy niej, wskutek gigantycznego wzrostu cen prądu, wykończyłyby Polskę.

I jeśli dobrze rozumiem, do PiS wreszcie dotarło, że Polski – jeśli chce pozostać w UE – po prostu nie stać na

luksus trwania przy dotychczasowej wizji „suwerenności energetycznej”, opartej na miksie energetycznym, na który w 80 proc. składa się prąd z węgla. I pojawiła się inna wizja „suwerenności energetycznej”, tym razem opartej – na razie, rzecz jasna, wyłącznie w dalekosiężnych planach – na energetyce jądrowej, gazowej i źródłach odnawialnych, które jednak w naszych warunkach klimatycznych (za mało słońca i wiatru) mogą mieć znaczenie raczej jedynie wspomagające.

Zatem rząd PiS dokonał w sprawie polityki energetycznej zwrotu o 180 stopni, lecz na razie wyłącznie w sferze retorycznej. Czy jednak rząd PiS (a potem następne, bo to nie jest zadanie na jedną kadencję) będzie chciał i potrafił dokonać tego zwrotu także w sferze realnej? Czy będzie potrafił zamknąć kopalnie i elektrownie węglowe, a co dużo ważniejsze – czy będzie potrafił zbudować – NA CZAS! – taką liczbę elektrowni jądrowych, gazowych, wiatrowych i słonecznych, żeby wystarczało nam energii? Aby wystarczało nam jej przez okrągły rok – dniem i nocą? Czyli czy będzie potrafił na to wszystko znaleźć pieniądze – a chodzi o wprost niewyobrażalną sumę, którą McKinsey szacuje na, bagatela... 4 bln zł; niemal dwa roczne PKB Polski! I czy będzie umiał te wielce złożone operacje przeprowadzić?

Legendarna już niemożność zbudowania w Polsce od pół wieku – przez kolejne rządy – choć jednej elektrowni atomowej dowodzi, że to wcale nie jest takie pewne. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Liczy się realna siła

Gdy było już jasne, że na szczycie Rady Europejskiej osiągnięto kompromis, polegający na dodaniu do rozporządzenia KE odpowiednich interpretacyjnych dodatków, Zbigniew Ziobro zamieścił tweeta o treści: „»Konkluzje interpretujące« i »wytyczne« nie są prawem! Prawem jest rozporządzenie. Jeżeli rozporządzenie łączące budżet z ideologią wejdzie w życie, będzie to znaczące

Waszczykowski, komentując doniesienia o kompromisie, napisał: „Jeśli to prawda, to przegraliśmy polską suwerenność”.

To mocne oskarżenia. Sprawa zgody na rozporządzenie w niezmiennionej postaci na pewno będzie kolejnym pretekstem do uderzenia środowiska ministra Ziobry w premiera Morawieckiego – co, nawiasem mówiąc, pokazuje kompletną czczość obecności Jarosława Kaczyńskiego w rządzie.

Morawiecki wyboru właściwie nie miał po tym, jak zgodził się na ogólną zasadę powiązania pieniędzy z praworządnością jeszcze w lipcu. Polska środków z funduszu odbudowy naprawdę potrzebuje – za ich brak zapłacilibyśmy wszyscy jeszcze wyższymi podatkami. Czy zatem premier wrócił na tarczy czy z tarczą?

Odpowiedź nie jest prosta. Ziobro ma rację, wskazując, że przyjęte reguły nie mają prawnej mocy – są tylko niewiążącymi instrukcjami. Jednak UE wielokrotnie ratowała się niejednoznacznością, rozmywaniem, aneksami, instrukcjami i podobnymi wybiegami. Tyle że gdzieś na końcu zawsze są realna siła państwa i realna polityka. To znaczy, że gdyby Polska była w UE silna jak Niemcy, nie groziłoby jej nawet rozporządzenie bez żadnych dodatków. Jeśli jest zaś słaba, to i 20 appendixów w razie czego nic nie zmieni. ©©

Gdyby Polska była w UE silna jak Niemcy, nie groziłoby jej nawet rozporządzenie bez żadnych dodatków

ograniczenie suwerenności Polski i złamanie europejskich traktatów”.

Co do zasady minister sprawiedliwości ma niestety rację. Co więcej, niezmiennione przecież rozporządzenie w swoim art. 3 zawiera pojemny punkt, mówiący o „innych sytuacjach lub zachowaniach władz państw członkowskich, odnoszących się do właściwego zarządzania budżetem UE i ochrony interesów finansowych Unii”. Sceptycy wskazują, że to właśnie sformułowanie umożliwia zakwestionowanie niemal wszystkiego – z klucza politycznego. Jeszcze wcześniej europoseł Witold

TEST „DO RZECZY”: HUAWEI SOUND X

Nowoczesne, eleganckie wzornictwo, świetna jakość wykonania, duża moc nagłośnienia, solidne basy i czysty dźwięk – to największe zalety bezprzewodowego głośnika opracowanego przez chińskie Huawei we współpracy z francuską audiofilską marką Devialet.

W testowanym modelu zaskakuje wzornictwo. Niewielki (20,3 x 16,5 cm), ważący 3,5 kg głośnik ma walcowaty kształt i w dużej części pokryty jest błyszczącą, fortepianową czernią. Wygląda nowocześnie i elegancko – przynajmniej dopóty, dopóki nie zacznie się go dotykać, bo świetnie zbiera odciski palców (producent dobrze o tym wie, bo w komplecie dołącza miękką ściereczkę do polerowania obudowy głośnika). W zestawie jest też podręczne etui.

Na powierzchni znajdują się dotykowe przyciski sterujące oraz kolorowy otok, który wskazuje aktualny poziom głośności (aby rozświetlić panel sterowania, wystarczy umieścić nad nim dłoń).

Głośnik Sound X można sparować ze smartfonem, tabletem etc. za pomocą aplikacji z wykorzystaniem Wi-Fi lub Bluetooth lub za pomocą modułu NFC (to bajecznie prosty sposób, bo wystarczy dotknąć głośnika smartfonem z włączonym NFC i zaakceptować powiązanie urządzeń).

A co z jakością odtwarzanego dźwięku? Jak na tak niewielkie urządzenie jest ona zaskakująco

dobra. Skłonność do dominowania w tym modelu mają tony niskie – pomruki wydobywające się z dwóch subwooferów (60 W) brzmią solidnie i są bardzo przyjemne dla ucha (częstotliwość podwójnego subwoofera sięga 40 Hz, a maksymalny skok membrany wynosi 20 mm). W urządzenie wbudowano też sześć pełnozakresowych głośników 30 W. Z poziomu aplikacji można nie tylko bezprzewodowo sterować poziomem głośności, lecz także zmniejszać lub zwiększać moc odtwarzanych basów. Dzięki temu środek i góra skali też mogą być bardzo dobrze słyszalne. Pod względem jakości odtwarzanego dźwięku Sound X brzmi istotnie lepiej niż apple'owski HomePod i może śmiało rywalizować z Bose Home Speaker 500. Huawei Sound X został też wyróżniony certyfikatem Hi-Res, który jest przyznawany urządzeniom oferującym ponadprzeciętną jakość dźwięku.

Plusem Sound X jest też przestrzenny, oplatający słuchaczy dźwięk (dzięki technologii

360 stopni Surround.). Narzekać nie można też na maksymalny poziom głośności, ponieważ głośnik generuje do 93 dB, co sprawia, że to chyba najgłośniejszy gadżet w tej półce cenowej.

Wady? Po pierwsze, Sound X jest głośnikiem bezprzewodowym, ale nie przenośnym – żeby działał, musi być podłączony do prądu. Nie można go więc zabrać pod namiot czy na imprezę nad jeziorem.

Po drugie, w ubogiej aplikacji brakuje korektora dźwięku z prawdziwego zdarzenia, który pozwalałby regulować nie tylko poziom basów. I po trzecie, urządzenie nie oferuje wsparcia dla cyfrowych asystentów ani inteligentnych funkcji znanych z urządzeń współpracujących z Google Assistant czy Alexa Amazona. Z tego powodu nie jest to więc „inteligentny głośnik”, ale po prostu bardzo dobry, uniwersalny głośnik. Trzecią wadą może wydawać się cena – wynosi 1059 zł – ale to już kwestia subiektywnej oceny, bo porównywalny z Sound X audiofilski model Devialet Phantom Reactor 600 kosztuje aż 4999 zł. ©©

Jacek Przybylski

PASEK Z KAMERKĄ DO SMARTWATCHA



Pasek do zegarka Wristcam Apple Watch to gadżet, który dodaje do funkcji normalnego smartwatcha od Apple możliwość robienia fotografii i kręcenia filmów prosto z nadgarstka.

Gadżet jest wyposażony w dwa aparaty (główny o rozdzielczości 8 Mpix i przedni o rozdzielczości 2 Mpix) oraz dwa mikrofony. Wristcam potrafi rejestrować video o rozdzielczości 1080 p oraz 4K. Umożliwia też szybkie udostępnianie zdjęć i filmów lub włączenie streamingu na żywo. Według producenta Wristcam może działać na jednym ładowaniu przez cały dzień. Jest też odporny na zanurzanie w wodzie o głębokości 1 m przez 30 min. Cena: 299 dol. (równowartość: ok. 1,1 tys. zł). Gadżet ma się pojawić w sprzedaży w marcu przyszłego roku.

NIEWIDZIALNA PERKUSJA

PocketDrum 2 firmy AeroBand to pakiet dwóch „inteligentnych” pałeczek do perkusji, które po sparowaniu ze smartfonem i słuchawkami/głośnikami

pozwalają „grać” na bębnach niemal w dowolnym miejscu świata. Pałeczki są lekkie i – według producenta – działają na jednym ładowaniu ponad 40 godzin. Gadżet może się więc okazać świetnym prezentem dla niespełnionych muzyków, którzy zawsze marzyli o karierze perkusisty, ale nie mają osobnego pokoju na bębny. Dwie pałeczki PocketDrum 2 kosztują 69 dol. (255 zł). Zestaw powiększony o specjalne nakładki na stopy, które pozwalają ćwiczyć „technikę nożną” gry na perkusji, to już wydatek rzędu 119 dol. (440 zł). ©©

Jacek Przybylski





FOT. ADAM STOLK

Home, sweet home



Joanna Bojańczyk

Jako naród od kilkunastu lat ubrany w polary zapomnieliśmy o istnieniu najlepszego, najzdrowszego, najszlachetniejszego materiału – wełny

Na pytanie, jaki trend w modzie obecnie jest najważniejszy, odpowiedź mam prostą – homing.

Siedzimy w domu. W co ubrani? W coś miękkiego i wy-

godnego: swetry, dresy, legginsy. Na kilkuosobowy zoom można wrzucić na siebie coś bardziej eleganckiego. I nie tylko na górze, jak dziennikarz programu informacyjnego, którego zdjęcie krążyło po

Internecie – na górze marynarka, na dole gatki i klapki.

Słychać nawoływania, żeby się opamiętać i po mieszkaniu nie łązić w wyciągniętym i wyblakłym podkoszulku. Jednym słowem – kupić specjalny strój „home”. Nie wiem, czy to nam pomoże, fashion biznesowi na pewno. Ten pogrążony jest w desperacji, bo zazwyczaj o tej porze roku zbiera całoroczne żniwo. Nie tylko z uwagi na Boże Narodzenie, lecz także sylwester i karnawał. Pewnie w normalnych niezarazowych czasach pisałabym tekst o modzie wieczorowej.

A tutaj w sklepach zamiast cekinów bawełniane dresy, bluzy i cały tzw. loungewear. Rzeczy „po domu” to dział od paru lat wciąż się rozrastający, bo moda zmierza w kierunku wygody. W tym roku jednak wyjątkowo wybujały. Trzeba się dostosować. Biurem dla wielu z nas stał się dom. Zaraza nie oszczędza nikogo, wysoka moda też się musiała dostosować. Nawet Dior wypuścił specjalną eleganczką kolekcję „Dior w domu”. Jedwab, welur, kaszmir, len...

Klimat mamy trochę surowszy niż Francuzi, więc pozwolę sobie zareklamować coś, co teoretycznie nie wymaga reklamy, a jednak... Jako naród ubrany od kilkunastu lat w polary zapomnieliśmy o istnieniu najlepszego, najzdrowszego, najszlachetniejszego materiału – wełny.

Szczególnie zimą, kiedy do akcji wkracza cała gama sztucznych włókien. A wełna jest niezastąpiona: oddychająca, higroskopijna, antystatyczna, nieuczulająca. Ciepła w zimie i chłodna w lecie. Tropik – materiał, z którego szyje się letnie garnitury – to przecież 100 proc. wełny!

NIE TYLKO „MIŁY”

Mało osób zadaje sobie trud sprawdzania składu materiału na metce (ja od

tego zaczynam oglądanie ubrania). Nie tylko to się liczy, żeby sweter był „miły”; liczą się jego właściwości: jak się będzie zachowywał w praniu, jak długo przetrwa. Na przykład akryl, tańszy syntetyczny zamiennik wełny, nie tylko w praniu wydziela setki tysięcy mikrocząsteczek, które trafiają do środowiska, do wód, lecz także łatwo się mechaci i choć nie uczula, to jest mało przewiewny i nie tak ciepły jak wełna. Gdy zdejmujemy sweter z akrylu, włosy stają na głowie. Sukienka klei się do nóg. Polar, materiał, który w pierwszym życiu był butelką, to 100 proc. poliestru. Reinkarnacja PET spowija człowieka plastikowym uściskiem, przez który nie przedostaje się żaden podmuch powietrza.

Panuje przekonanie, że wełniany sweter stał się czymś przestarzałym, dobrym co najwyżej na sesję przy kominku, ale na przykład do uprawiania sportu niezdatnym. Nowoczesne mają być bowiem tylko tkaniny techniczne. Jestem innego zdania. Podobną do mojej opinii ma angielski projektant Paul Smith, który pracuje głównie z wełną z merynosów. – Oglądałem zdjęcia zdobywców Mount Everestu z lat 30. – opowiedział pan Smith w wywiadzie. Przyglądałem się ich garderobie. Mieli na sobie wełniane marynarki (!), spodnie, kurtki, czapki i rękawiczki podbite futrem. Wszystko naturalne.

Nie muszę dodawać, że dzisiaj wyposażenie alpinistów w całości składa się z materiałów technologicznych. Nie wątpię, że skutecznych. Na szczęście wciąż ubrania sportowe: koszulki i bluzy z wełny merynosów, można kupić w sklepach internetowych i niektórych stacjonarnych (m.in. w warszawskim Podróżniku). Są sporo droższe niż sztuczne, ale warto.

Dobrze wiedzieć, że moher, wełna z kóz angorskich, oraz alpaka, wełna z sierści peruwiańskich lam, są bardzo, bardzo ciepłe. Cudowne na mrozie, gorzej w ogrzewanym pomieszczeniu. Ponadto obie te wełny mają skłonność do mechacenia się, o czym warto pamiętać.

CAPRA HIRCUS

Dzisiaj wszyscy pragną „odrobiny luksusu”. Nowym jego synonimem ogłoszono właśnie kaszmir. Jeszcze 15 lat temu ten materiał był u nas prawie niedostępny, teraz kaszmirowe swetry można kupić w sieciówkach i w Internecie. Ceny nie najniższe, ale też nie zaporowe.

Jednak radzę uważać. Kupując szalik z metką „cashmere”, powinniśmy zachować ostrożność. To najczęściej fałszowane z włókien, coraz trudniej dostępne w związku z ginieciem kóz żyjących na dużej wysokości, których stada hodowcy tak mnożyli, że zabrakło dla nich pastwisk... Miesza się więc kaszmir z wiskożą albo z bawełną. Wyczuje to tylko fachowiec, a składy na metkach nie zawsze mówią prawdę. Dzisiejszy poliestr trudno czasem odróżnić od wełny. Coraz częściej zastępuje się kaszmir także wełną z jaka, zwierzęcia też żyjącego w wysokich górach Azji Środkowej. Z tej wełny nomadzi robili namioty, ubrania i liny. Jest ciepła, antystatyczna i od kaszmiru tańsza.

Głównym eksporterem kaszmirskiej wełny zawsze były Chiny, ale na paryskim salonie tekstylnym Interselection proponowano tę przędzę po cenach dumpingowych, tańszą niż z Tybetu. Hodowla kóz *Capra hircus* rozprzestrzeniła się także w Mongolii, na pustyni Gobi, gdzie klimat jest równie surowy jak w Himalajach.

Czy ta wełna jest gorszej jakości? Jakość kaszmiru określają dwie właściwości:

średnica oraz długość włosa. Średnica jednego włosa kozy wynosi od 14, 5 do 16 mikronów, a najcieńszego, najbliższego skóry puchu, tzw. baby kaszmiru, nawet półtora mikrona. Co do długości, to zdaniem ekspertów najwyższej jakości przędza ma długość powyżej 36 mm. Między 20 a 36 mm według purystów to już nie to, a wełna o długości włosa poniżej 20 mm, według znawców, nadaje się już tylko „na przemiał”, do łączenia z jedwabiem.

Innym wskaźnikiem jakości, bezlitosnym, ale prawdziwym, jest cena. W kraju pochodzenia gram przędzy *Capra hircus* kosztuje między 20 a 26 centów amerykańskich. Ale oczywiście nie ma mowy, żebyśmy sweterek, który waży ok. 250, 300 g, kupili za 60 dol., czyli poniżej 200 zł. Nawet w tanim H&M kosztuje on ponad 300 zł. Przecież po drodze są: przędzenie, farbowanie, projektowanie, transport itp. Ceny swetrów z wyższej półki zaczynają się od 1,5 tys. zł.

Jednym słowem: kaszmir nie może być tani. Cashmere and Camel Hair Manufacturers Institute, zrzeszający fachmenów branży (także od wielbłądziej wełny) w Europie i Stanach, powinien pilnować jakości, ale nie może producentom narzucić norm, jakie powinno spełniać włókno. Może tylko informować.

OKŁAD Z WIELBŁĄDA

Dzisiaj na ten płaszcz mówi się „camel”. Camel, czyli płaszcz w kolorze beżowym. Tylko że w 99 proc. przypadków to nie jest płaszcz z wielbłądziej wełny. Taki, którym w latach 50. bogate Amerykanki otulały się na pokładach luksusowych statków pasażerskich. Lauren Bacall, Katharine Hepburn, Jackie Kennedy...

Moda vintage przywróciła wartość klasyce. Zniszczenie przestało być defektem, stało się częścią urody. Nawet

wypada, żeby płaszcz był lekko przetarty na rękawach i na połach. Dopiero wtedy jedwabisty, długi włos w kolorze złotawego beżu nabiera charakteru. Guzik najlepiej z kości, z rogu, wykończenia skórzane. Podszewka jedwabna.

Wielbłądy strzyże się raz do roku lub zbiera kłaczki wełny, które zostawiają, liniejąc. Najlepszą wełnę, o średnicy 18 mikronów (włos ma 200), uzyskuje się ze zwierząt rocznych. Medycyna ludowa od dawna przypisywała jej lecznicze właściwości. Zawarta w niej lanolina najlepiej wchłania się przez ciało właśnie w temperaturze ok. 37 st. C. Dzięki lanolinie wielbłądzia wełna nie powoduje alergii, nie elektryzuje się, jest odporna na brud i higroskopijna. Nomadzi w Kazachstanie i Azji Środkowej zalecali okładanie się nią przy bólach korzonków, artretyzmie i reumatyzmie.

Z tych zalet korzystają także producenci pantofli rannych, pledów i kołder.

Przy postępie technologii tekstylnej okazało się także, że dobry efekt daje łączenie przędzy wielbłądziej z kaszmirową, alpaką, dodawanie dla wzmocnienia niewielkiej ilości poliestru. W ten sposób powstają cudowne płaszcze z lekko lśniącem poszyciem. Połysk dają kaszmir lub wełna z wielbłąda.

Obłożenie się wełnianym płaszczem w zimie jest nieocenione dla zdrowia i urody. Jednak rzeczywistość nie ma litości. Okrycie, które zapisało się nawet w historii literatury, z kategorii niezbędnych przechodzi powoli do grupy luksusów. Staje się czymś takim jak pierścionek z brylantem. Chciałoby się je mieć, ale można się obejść. Zastępują je kurtki puchowe. I nie ma od tego odwrotu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Gwiazdka z „Czytelnikiem”

www.czytelnik.pl

Diagnozę: „drobnokomórkowy rak płuca z przerzutami do wątroby i możliwymi do trzustki i żołądka” postawiono pod koniec września 2020 r. „Mama dowiedziała się o raku pewnie wcześniej, gdyby nie wpływ pandemii na sprawność diagnostyki onkologicznej. Dwa tygodnie później zaczęła chemioterapię, jednak po wyjściu ze szpitala uzyskiwała pozytywny wynik na COVID-19, przez co spędziła ponad 20 dni w izolacji. Przed opóźnionym drugim cyklem chemioterapii dostaliśmy wyniki tomografii: guz reaguje na chemię, nie ma przerzutów do głowy i kości! Mama jest osłabiona, ale ma nadzieję, że będzie lepiej” – pisze Dorota na facebookowej grupie „Rak płuca”.

Grupę prowadzi Małgorzata Maksymowicz. Założyła ją kilka lat temu; chciała móc porozmawiać z osobami mającymi podobne problemy co ona. – W Internecie znajdowałam tylko informacje dotyczące tego, jak mam małe szanse przeżycia pięciu lat, albo takie, że trzeba odkwaszać organizm, przyjmować duże dawki witaminy C, jeść pestki moreli, pić wodę utlenioną. Choć na raka często są w takiej desperacji, że próbują wszystkiego – opowiada.

W grupie „Rak płuca” są pacjenci lub ich rodziny; przekazują sobie wiedzę, gdzie się leczy, wspierają pozytywnymi informacjami. – Namawiają, żeby starać się dowiedzieć jak najwięcej o swojej chorobie, by być partnerem dla lekarza, dbać o siebie, zdrowo się odżywiać, być aktywnym, a przede wszystkim leczyć się i wierzyć, że rak nie jest wyrokiem. Cieszą się z informacji, że leczenie podziałało, choroba się cofnęła – opowiada Małgorzata Maksymowicz.

Zdecydowana większość to pacjenci z niedrobnokomórkowym rakiem płuca (NDRP), są jednak też „drobnokomórkowcy”. – Drobnokomórkowy rak płuca (DRP) to trudny nowotwór, o złym rokowaniu, ale są na naszej grupie osoby, które żyją już po diagnozie dwa-trzy lata. Takie informacje bardzo wspierają innych – dodaje Małgorzata Maksymowicz.

WAŻNY JEST CZAS

Chociaż rak jest umiejscowiony w płucu, to jednak szanse na leczenie i rokowanie pacjenta zależą od podtypu nowotworu. O drobnokomórkowym raku płuca do niedawna mówiło się niewiele,



Katarzyna Pinkosz

Szybki, agresywny – taki jest drobnokomórkowy rak płuca. Nie działały na niego żadne nowoczesne leki. Od niedawna jest światło w tunelu: immunoterapia

Rak z drobną komórką

choć co roku taką diagnozę słyszy ok. 3,3 tys. osób w Polsce (15 proc. wszystkich chorych na raka płuca). To podtyp agresywny i szybko postępujący. – Rozwija się bardzo szybko: w ciągu około dwóch miesięcy potrafi podwoić swoją wielkość: z niewielkiego guzka nagle robi się duży nowotwór – potwierdza prof. Dariusz M. Kowalski, kierownik Oddziału Zachowawczego Kliniki Nowotworów Płuca i Klatki Piersiowej Narodowego Instytutu Onkologii, prezes Polskiej Grupy Raka Płuca.

Onkolodzy apelują, żeby przy takich objawach jak przedłużający się kaszel, powtarzające się zapalenia płuc prosić lekarza o skierowanie na badanie

RTG, do pulmonologa lub o wykonanie tomografii komputerowej. Inne niepokojące objawy to np.: duszność, trudności w połykaniu, krwiotłucie, utrata wagi ciała – zwykle świadczą już o bardzo zaawansowanym procesie choroby. Nietypowymi objawami mogą być bóle barku, jeśli guz jest usytuowany w szczycie płuca. U niektórych osób pierwsze objawy są spowodowane przerzutami do centralnego układu nerwowego. – Pacjent zgłasza się na SOR z powodu wymiotów, ataku padaczkowego, utraty przytomności. Po dokładnych badaniach okazuje się, że przyczyną jest przerzut nowotworu płuca do centralnego układu nerwowego – mówi



FOT. ADAM STOK

już w stadium rozsiewu – chorzy mają przerzuty w odległych narządach. Na operację jest już za późno, pozostają tylko chemioterapia i radioterapia.

NOWE SZANSE, TAKŻE DLA DRP

W ostatnich latach dokonał się prawdziwy przełom w leczeniu raka płuca. Pojawiły się leki dające szansę na długoletnie przeżycia nawet dla chorych z rozсіяną postacią choroby: ukierunkowane molekularnie (nakierowane na określone zmiany genetyczne w guzie nowotworowym) oraz immunoterapia, która „przemodelowuje” działanie układu odpornościowego w taki sposób, że zaczyna on znów skutecznie walczyć z nowotworem. Niestety, te wszystkie terapie do tej pory okazywały się skuteczne tylko w przypadku chorych z różnymi podtypami niedrobnokomórkowego raka płuca. „Drobnokomórkowcy” mieli pecha: w ich przypadku można było liczyć tylko na chemioterapię i radioterapię. – Zwykle cieszyliśmy się, jeśli u pacjenta poddanego chemioterapii nie było wznowy choroby przez kilka miesięcy po zakończeniu leczenia. To oznacza, że rak jest wrażliwy na chemioterapię i gdy pojawi się wznowa, będziemy mogli zastosować kolejny schemat chemioterapii. Niestety, zwykle działa ona słabiej, a kolejna progresja choroby pojawia się jeszcze szybciej – mówi dr Chmielewska.

W drobnokomórkowym raku płuca nie działały żadne nowoczesne leki. Przełomem było badanie kliniczne IMpower 133, w którym chorym podawano w pierwszej linii leczenia chemioterapię i atezolizumab (lek z zakresu immunoterapii). – Było to pierwsze od ponad 20 lat badanie kliniczne, którego wyniki były pozytywne i wykazały istotną różnicę przeżycia chorych otrzymujących nowy lek. Udowodniło to, że immunoterapia to światło w tunelu dla chorych na drobnokomórkowego raka płuca – mówi prof. Kowalski.

Z raportu „Immunoterapia w drobnokomórkowym raku płuca – szansa pacjentów na dłuższe życie”, pod redakcją dr Izabeli Obarskiej i prof. Dariusza Kowalskiego, wynika, że w Polsce z takiej terapii mogłoby skorzystać ok. 1,5 tys. pacjentów. Autorzy raportu podkreślają, że chociaż z badania IMpower wynika, że różnica w czasie całkowitego przeżycia między pacjentami przyjmującymi immunoterapię a tymi, którzy dostawali tylko klasyczne leczenie, wynosi ok. trzech

miesięcy, to znaczący odsetek chorych przeżywał rok i więcej od rozpoczęcia terapii. Ważna jest też jakość życia: skojarzenie immunoterapii z chemioterapią nie zwiększa toksyczności leczenia.

– Skuteczność leczenia potwierdziły następne badania z kolejnymi lekami z zakresu immunoterapii. Ich wyniki stały się przyczyną zmiany zaleceń, zarówno europejskich, jak i amerykańskich. Zgodnie z nimi standardem leczenia DRP staje się zastosowanie w pierwszej linii leczenia połączenia chemioterapii z immunoterapią – mówi prof. Kowalski.

W Polsce immunoterapia w raku płuca jest dostępna tylko dla chorych z NDRP. – Pacjenci z DRP mają poczucie nierównego traktowania, ponieważ chorzy na inne nowotwory, także na NDRP, mają dostęp do różnych terapii,

W ostatnich latach dokonał się prawdziwy przełom w leczeniu raka płuca. Pojawiły się leki dające szansę na długoletnie przeżycia

a oni tylko do chemioterapii i radioterapii. Immunoterapia to pierwsza od wielu lat szansa dla chorych z DRP na nowoczesne leczenie, dostępne w wielu innych państwach – mówi Małgorzata Maksymowicz.

Na grupie FB „Rak płuca” pacjenci i ich rodziny wymieniają się informacjami o nowych metodach terapii. Niedawno stworzyli petycję do ministra zdrowia w sprawie poprawy leczenia, prosząc o lepszy dostęp do wielu leków, zarówno dla pacjentów z NDRP, jak i tych z DRP. Petycję poparło prawie 4 tys. osób.

– Apelujemy do pacjentów: „Miej serce dla płuca – nie pal papierosów, diagnozuj się i lecz”. Apelujemy do lekarzy pierwszego kontaktu: „Pamiętaj o czujności onkologicznej”. Apelujemy do decydentów: „Miej serce dla płuca i popraw diagnostykę i leczenie”. Część uczestników naszej facebookowej grupy stara się załatwić dla swoich bliskich z DRP leczenie w Anglii, Niemczech i innych krajach, gdzie jest ono w standardzie, jednak wszyscy nie mają takich możliwości. Proszę upomnieć się o „drobnokomórkowców” – prosi Małgorzata Maksymowicz.

dr Izabela Chmielewska z Katedry i Kliniki Pneumonologii, Onkologii i Alergologii UM w Lublinie.

Im szybciej rak płuca zostanie zdiagnozowany, tym większe szanse na skuteczne leczenie. W przypadku raka drobnokomórkowego czas jest szczególnie ważny. – Tylko u ok. 20 proc. chorych w momencie rozpoznania choroba ma charakter zaawansowany wyłącznie miejscowo; można wtedy zastosować chemioterapię i radioterapię. Nawet jednak, gdy chorzy będą mieli takie leczenie, i tak u 80 proc. dojdzie do wznowy – mówi prof. Kowalski.

U większości chorych jednak drobnokomórkowy rak płuca jest rozpoznawany



W debacie: „Opłata cukrowa czy narodowa strategia zapobiegania i leczenia otyłości i cukrzycy: wyzwanie czasu pandemii” udział wzięli (od lewej): Marta Pawłowska, dyrektor Biura Profilaktyki Zdrowotnej NFZ, prof. Piotr Jankowski, Instytut Kardiologii UJ, prof. Lucyna Ostrowska, kierownik Zakładu Dietetyki i Żywności Klinicznej UM w Białymstoku, Anna Śliwińska, prezes zarządu głównego Polskiego Stowarzyszenia Diabetyków, dr n. ekonom. Małgorzata Gałązka-Sobotka, dyrektor Instytutu Zarządzania w Ochronie Zdrowia Uczelni Łazarskiego, prof. Leszek Czupryniak, kierownik Kliniki Chorób Wewnętrznych i Diabetologii WUM, wiceminister zdrowia Sławomir Gadomski

Opłata za słodkie



Katarzyna Pinkosz

Od stycznia 2021 r. wchodzi w życie opłata cukrowa, zwana powszechnie „podatkiem cukrowym”. Za słodzone napoje zapłacimy więcej. Eksperti chcą, by pieniądze z podatku zostały przeznaczone przede wszystkim na zapobieganie otyłości i cukrzycy oraz leczenie tych chorób

Przelomowe rozwiązanie”, „nowe otwarcie dla zdrowia publicznego” – tak o opłacie cukrowej mówili uczestnicy debaty „Do Rzeczy”. Za słodkie napoje od stycznia trzeba będzie zapłacić więcej, co ma zniechęcić do ich kupowania (do czego namawiamy!).

Nadmiar spożywanego cukru to jedna z przyczyn nadwagi, otyłości i jej powikłań w postaci cukrzycy, chorób serca czy chorób nowotworowych. Według wstępnych szacunków opłata cukrowa ma przynieść rocznie ok. 3 mld zł, z czego 96,5 proc. trafi do Narodowego Funduszu Zdrowia, a reszta do budżetu państwa. Jak te pieniądze wydać, by faktycznie zmniejszyć problem otyłości i cukrzycy? Zastanawiali się nad tym eksperci podczas debaty „Do Rzeczy”.

ZNIECHĘCANIE CENĄ DO SŁODKIEGO

– Napoje o dużej zawartości cukru są koniem trojańskim otyłości. Polskie dzieci tyją w dużej mierze na skutek picia słodkich napojów. Z danych wynika, że 45 proc. nastolatków każdego dnia spożywa słodki napój gazowany – mówiła Marta Pawłowska, dyrektor Biura Profilaktyki NFZ. – W Polsce w ciągu ostatnich 15–20 lat liczba otyłych dzieci rośnie najszybciej spośród wszystkich

krajów OECD. Co roku liczba osób z nadwagą i otyłością wzrasta, zarówno wśród mężczyzn, jak i kobiet, we wszystkich grupach wiekowych – podkreślał prof. Piotr Jankowski z Instytutu Kardiologii UJ.

W Polsce cukrzycę ma dziś już ponad 3 mln osób; jeszcze przed COVID-19 pojawiały się prognozy, że w 2040 r. będzie to już 5–6 mln. Epidemia i związane z nią restrykcje spowodowały, że problem otyłości w Polsce rośnie, a w ślad za nim w przyszłości pojawią się konsekwencje w postaci dalszego wzrostu zachorowań na cukrzycę. Dzisiaj wręcz mówi się o dwóch nakładających się epidemiach: COVID-19 i cukrzyca typu 2, która zwiększa ryzyko ciężkiego przebiegu infekcji koronawirusem.

Otyłość i cukrzyca powodują większe ryzyko miażdżycy, udaru mózgu, zawału serca i innych chorób sercowo-naczyniowych. – Prawie 40 proc. pacjentów z zawałem serca ma cukrzycę, a 26–27 proc. inne zaburzenie gospodarki węglowodora-

nowej. Kardiologiczny pacjent z cukrzycą to pacjent zdecydowanie gorzej rokujący, dlatego ważne są wszelkie działania, które mogłyby spowodować zmniejszenie zachorowalności na cukrzycę. Jednym z nich jest opłata cukrowa – podkreślał prof. Jankowski.

Zdaniem prof. Leszka Czupryniaka, kierownika Kliniki Diabetologii i Chorób Wewnętrznych WUM, im wyższa byłaby opłata cukrowa, tym lepiej, bo tylko znaczne podniesienie cen ma faktycznie wpływ na ograniczenie zakupów słodkich napojów. – Każde utrudnienie jest dobre: tak jak dzięki zakazowi palenia w miejscach publicznych utrudniliśmy palaczom palenie, tak czynnik cenowy też powinien pomóc zmniejszyć problem nadmiernego spożywania cukru. Nie jest to jednak oczywiście jedyna przyczyna otyłości – zaznaczyła prof. Lucyna Ostrowska, kierownik Zakładu Dietetyki i Żywienia Klinicznego UM w Białymstoku.

Opłata cukrowa może być efektywna zwłaszcza w przypadku dzieci i młodzieży. – Dla dorosłych, którzy już mają otyłość, kwestia wzrostu ceny słodkich napojów może nie mieć znaczenia, jeśli nie pójdzie to w parze z edukacją. W Meksyku podatek od słodkich napojów wprowadzono w 2014 r. i jest tam największy wzrost liczby osób otyłych, ponieważ nie nie zrobiono w kwestii edukacji, bo nie przeznaczono na to żadnych pieniędzy – ostrzegła prof. Ostrowska.

PIENIĄDZE NACELOWANE

Eksperti podkreślają, że jeśli chcemy faktycznie zmniejszyć problem otyłości i cukrzycy, to warto, żeby pieniądze z opłaty cukrowej nie zagubiły się w „morzu potrzeb” NFZ. – Chcemy, by te pieniądze były wydane na prewencję, wcześniej wykrywanie i leczenie schorzeń spowodowanych m.in. nadmiernym spożyciem cukru – zaznaczała Marta Pawłowska.

Instytut Zarządzania Uczelni Łazarskiego, pod kierunkiem dr n. ekonom. Małgorzaty Gałązki-Sobotki, wspólnie z Narodowym Funduszem Zdrowia przygotował kompleksowy program pokazujący, jak efektywnie wykorzystać środki z opłaty cukrowej. – Na pewno trzeba postawić na edukację w szkołach skierowaną nie tylko do dzieci, lecz także do nauczycieli, którzy mogą zwrócić uwagę na problem otyłego dziecka. Musi być możliwość skierowania go do poradni

profilaktyki i leczenia otyłości, rekomendujemy też takie poradnie dla dorosłych. Konieczna jest również edukacja profesjonalistów medycznych, lekarzy, którzy muszą pamiętać, że otyłość jest chorobą i powinno się ją wpisywać do karty pacjenta – podkreślała dr Gałązka-Sobotka.

W programie zaproponowanym przez ekspertów Uczelni Łazarskiego i NFZ znalazły się też takie elementy jak kompleksowa opieka specjalistyczna nad pacjentem z otyłością (również wymagającym leczenia bariatrycznego), edukowanie przez dietetyków, kompleksowa opieka nad pacjentem z cukrzycą. – Część z tych pieniędzy powinna być też wydana na leczenie powikłań otyłości, takich jak cukrzyca, nadciśnienie tętnicze, zaburzenia lipidowe, a także na finansowanie leków w leczeniu otyłości czy na

Znaczenie pieniędzy z opłaty cukrowej i ich przeznaczenie na konkretne cele może stać się przełomem

telemonitorowanie glikemii w cukrzycy. Cały program stworzyliśmy kompleksowo, w oparciu o koncepcję value based healthcare (VBH) – konkretne „inwestycje” muszą przynieść konkretne wyniki w postaci poprawy stanu zdrowia – mówiła dr Gałązka-Sobotka.

– Jako przedstawicielka pacjentów muszę podkreślić, że ważne są: profilaktyka, szybkie wykrywanie cukrzycy, edukacja chorego. Pacjenci chorujący na cukrzycę chcieliby też, żeby część pieniędzy z opłaty została przeznaczona także na ich lepsze leczenie – zaznaczała Anna Śliwińska, prezes Polskiego Stowarzyszenia Diabetyków. Na konieczność poprawy leczenia zwracali też uwagę eksperci. – Chorych na otyłość nie wyleczymy samym proszeniem, żeby mniej jedli i więcej się ruszali. Dzięki wdrożeniu farmakoterapii moglibyśmy mieć mniej powikłań otyłości. To paradoks, że leczymy cukrzycę, a nie leczymy otyłości, bo żaden z leków nie jest refundowany – mówiła prof. Ostrowska. Profesor Leszek Czupryniak podkreślał podobieństwo leczenia otyłości i cukrzycy. – Metody nefarmakologiczne są podobne – trzeba zmienić styl życia. W cukrzycy i otyłości są też na razie skuteczne te same grupy

leków, czyli analogi GLP-1 i flozyny. Od niedawna mamy możliwość ich stosowania u chorych na cukrzycę, jednak paradoksem jest to, że możemy je podać tylko wtedy, gdy pacjent ma cukrzycę i jest mocno otyły, a doskonale wiemy, że powinniśmy to robić wcześniej, bo wtedy przyniesie to lepsze efekty – mówił.

NIE POWIELMY BŁĘDU AKCYZY

Uczestnicy debaty podkreślali, że „znaczenie” pieniędzy z opłaty cukrowej i ich przeznaczenie na konkretne cele może stać się przełomem, jeśli chodzi o politykę zdrowotną. Profesor Jankowski ostrzegał, żeby nie powtórzyć błędu sprzed lat związanego z akcyzą na papierosy – w ustawie było zapisane, że 1 proc. z podatku akcyzowego będzie przeznaczony na zapobieganie chorobom odtytoniowym i na ich leczenie, jednak nigdy nie było to realizowane i w końcu zapis został wykreślony. – Trzeba zrobić wszystko, by tamten scenariusz się nie powtórzył. Albo pokażemy, że tamto doświadczenie czegoś nas nauczyło, albo zaprzepaścimy pewien kontrakt, który „podpisaliśmy” między konsumentem, który godzi się na opłatę cukrową, producentem starającym się zmniejszać ilość cukru w produktach, i państwem, które pobiera opłaty i powinno przeznaczać te pieniądze na konkretne cele – mówiła dr Gałązka-Sobotka. Również Anna Śliwińska podkreślała, że tylko jasne określenie, na co przeznaczy się środki z opłaty cukrowej, oraz coroczne sprawozdania z ich wydawania sprawią, że opłata ta będzie miała w oczach społeczeństwa sens, a nie będzie uważana za sposób na łatanie dziur budżetowych.

Zdaniem wiceministra Sławomira Gadowskiego podstawą jest edukacja zdrowotna, zwłaszcza kierowana do dzieci i młodzieży w szkołach. Zapewnił, że rozmowy na ten temat z Ministerstwem Edukacji są już mocno zaawansowane. – Będziemy wprowadzać edukację zdrowotną do szkół, jednak ja najbardziej bym się cieszył, gdyby Polacy tak zmienili swój tryb życia, żeby środki z opłaty cukrowej w ogóle się nie pojawiły i nie wpłynęły do NFZ. Celem wprowadzenia opłaty cukrowej nie jest przecież finansowanie zadań NFZ, tylko wpłynięcie na producentów, żeby zmniejszyli ilość cukru w produktach, i zmiana postaw konsumentów. I mam nadzieję, że tak się stanie – mówił wiceminister Gadowski.



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Burzliwe dzieje Chocimia

Chocim – miasteczko, a przede wszystkim zamek w środkowym biegu Dniestru, na południe od Kamieńca Podolskiego – to miejsce klucza, przywołujące obrazy walki z Turkami, Tatarami, Kozakami i Mołdawianami. I rzeczywiście miały tutaj miejsce dwie ogromne bitwy; od losów każdej z nich zależał byt państwowy Rzeczypospolitej. Przez wieki twierdza obrosła legendami; spróbujmy jednak wyprostować i wyjaśnić choćby część z nich. Po

Węgier. Około 1375 r., kiedy wszedł w skład Gospodarstwa Mołdawskiego, jego władca Stefan III wzniósł tutaj potężny, kamienny zamek, który, po licznych przebudowach i odbudowach, podziwiać możemy do dzisiaj. Wbrew jednak wrażeniu wysokości starych murów, które odnosi się, zwiedzając twierdzę, Chocim wielokrotnie stawał się bardzo łatwym łupem nie tylko wojsk polskich, mołdawskich, tureckich czy kozackich, lecz także nawet zwykłych awanturników i pogranicznych watażków.

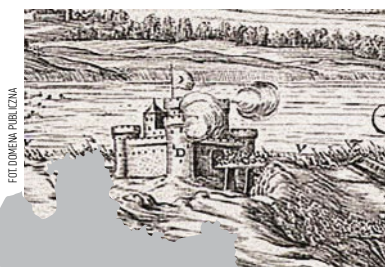
Stało się tak, ponieważ wcale nie obronność zamku, lecz położenie sprawiało, że była to strategiczna pozycja w wojnach polsko-tureckich i polsko-mołdawskich. Armia, która kontrolowała okolice Chocimia, blokowała zarazem główną drogę z Multanów do Rzeczypospolitej. Z perspektywy strategicznej ważniejszym punktem niż zamek była zatem przylegająca do niego od południa równina; dziś między cerkwią Aleksandra Newskiego a pomnikiem Piotra Sahajdaczno, na której rozbijały swoje obozy armie polsko-litewskie, Mołdawianie i Turcy.

W 1476 r. Chocim zdobyty został przez wojska tureckie sułtana Mehmeda II Zdobywcy, który zmusił władców Mołdawii do hołdu lennego; odtąd przebywała tu załoga janczarów. W 1538 r., w czasie walk pogranicznych, twierdzę przejęły wojska polskie Jana Amora Tarnowskiego i rozbudowały centralną jej część. Wkrótce jednak Chocim został utracony. W 1561 r. przejął go Olbracht Łaski, polski awanturnik, który w zamian za osadzenie na tronie w Jassach Heraklida Despoty uzyskał zamek razem z przyległymi ziemiami, wkrótce jednak także go stracił. Dwa lata później Chocim zdobył Dymitr Bajda Wiśniowiecki ciągnący z Kozakami na Mołdawię. W 1600 r. schronili się tutaj stronnicy Jeremiego Mohyły i jego brata

Szymona, wypędzonych z Mołdawii przez Michała Walecznego – pokonanego później przez Polaków. Na mocy traktatu w Buszy w 1617 r. Chocim oddany został Turcji; na zamku znów stanęła załoga Osmanów. Odzyskany, zdaje się, przez Mołdawian w trakcie buntu hospodara Grazilianiego w 1620 r., po klęsce pod Cecorą stał się ośrodkiem jednej z największych bitew XVII stulecia. Trwającej ponad miesiąc obrony obozu polskiego, litewskiego i kozackiego we wrześniu 1621 r. znanej jako pierwsza bitwa pod Chocimem. W jej trakcie zmarł dowodzący legendarny hetman Jan Karol Chodkiewicz. Historycy polscy zaś i ukraińscy do dziś spierają się, czy więcej było zaporozców, czy wojsk polsko-litewskich; fakt jednak, że z dziewięciu szturmów pięć skierowanych było na obóz zaporoski.

W czasie wojen polsko--kozackich Chocim znów przechodził z rąk do rąk, zajęty między innymi przez wojska Chmielnickiego. W 1673 r. stał się miejscem kolejnej ogromnej bitwy. Armia Rzeczypospolitej pod wodzą przyszłego króla Jana Sobieskiego zdobyła obóz turecki, niszcząc armię padyszacha, a wieści o chwale naszego oręża rozeszły się szerokim echem po Europie.

W czasach mołdawskich wypraw Sobieskiego Chocim zajęty został znowu przez Polaków i służył jako element blokady Kamieńca Podolskiego. Po traktacie karłowickim w 1699 r. został zwrócony Mołdawii, jednak już w 1711 r. zajęli go znowu Turcy i rozbudowali twierdzę, czyniąc z niej nowoczesne dzieło obronne. W kolejnych wojnach Chocim zdobywany był przez wojska rosyjskie, austriackie i szybko tracony. Ostatecznie po zakończeniu kolejnej wojny z Turcją, na mocy traktatu w Bukareszcie w 1812 r., wszedł w skład Imperium Rosyjskiego. ©



FOT. LUDMILA PUBLICZNA



pierwsze, Chocim tylko czasami przynależał do Rzeczypospolitej. Zamek znajdował się po południowej, mołdawskiej, czyli tureckiej, stronie Dniestru i zwykle zależny był od gospodarów albo od Porty Otomańskiej, a w czasie wojen, powstań i najazdów wielokrotnie przechodził z rąk do rąk. Biorąc pod uwagę wyniki badań archeologicznych była to jedna z najstarszych słowiańskich fortec, jej początki sięgają może nawet VIII w. Za czasów rozdrobnienia Rusi znajdował się tutaj drewniany zameczek, który należał kolejno do Rusi Halickiej, przejściowo do Polski, do Mołdawii, wreszcie do

DOBRE Z LEPSZYM ŁĄCZY SZYMON WYDRA

Opowiem państwu pewną historię, która przydarzyła mi się, kiedy byłem nastolatkiem mieszkającym jeszcze z rodzicami. Pewnego dnia wy-myśliłem swego rodzaju dość oryginalną potrawę...

Zawsze starałem się robić wszystko na swój własny sposób, starałem się być oryginalny i nie inaczej rzecz się miała z gotowaniem. Tak jest do dziś, a zaczęło się pewnego dnia, kiedy to wstałem wcześniej niż moi rodzice. Wiedziałem, że niedługo powinni wstać i zacząć szykować się do wyjścia do pracy, więc pomyślałem, że zrobię im niespodziankę i to ja dzisiaj – ich mały synek – przygotuję śniadanie.

Poszedłem do kuchni, otworzyłem lodówkę i zacząłem rozmyślać nad tym, co rodzice lubią jeść. Pierwsze w oczy rzuciły mi się jajka. Mój tata, jak chyba każdy facet, lubił jajecznice, postanowiłem więc wykorzystać jajka, ale zobaczyłem też tubkę wyciskanej czekolady. No i pomyślałem sobie, że w zasadzie cała moja rodzina lubi

słodycze, lubi jeść czekoladę – a skoro czekoladę lubi każdy i jajka też lubi każdy, no to spróbujemy to połączyć. Przecież może być tylko dobrze, prawda?

No więc wyciągnąłem patelnię, rozpuściłem na niej trochę masła, wbiłem kilka jajek, zrobiła się jajecznica, a na koniec wziąłem czekoladę w tubce i wysmarowałem jajecznicę czekoladą. Pozwól sobie raz jeszcze powtórzyć – skoro jajka są dobre i jajecznica jest dobra, to i efekt takiego połączenia musiał być wyśmienity. Tak wtedy myślałem, ale już efekt wizualny nie był najlepszy. Mówiąc wprost – wyglądało to jak koński „placek”. Chwilę później rodzice wstali, zapach przywołał ich do kuchni, a kiedy zobaczyli potrawę, przy której tak się trudziłem, to – nie wiedzieć czemu – nagle przypomniał mi się, że z jakiegoś powodu muszą dziś być w pracy wcześniej i w ogóle to natychmiast muszą już wyjść. Dużo później zrozumiałem, że nie chcieli mi zrobić przykrości, bo tego śniadania nie dało się nawet włożyć do ust.

Eksperymenty kulinarne zdarzały mi się w późniejszych latach, niekiedy eksperymentom z warzyw nadawałem nawet nazwy, takie jak Krwawa Wydra, ale myślę, że już tego lepiej nie opowiadać. Ale jajecznica w czekoladzie – serdecznie polecam. Szymon Wydra :)

© ©

oprac. raw
Szymon Wydra jest wokalistą, gitarzystą, liderem zespołu Carpe Diem.



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

On-line forever

Czy przyszła do ciebie moja paczka? – za-pytałam mieszkającą w Princeton, w stanie New Jersey, kuzynkę. – Wy-słałam dwa tygodnie temu.

– Nic nie przyszło, – jęknęła kuzynka na FaceTime. – U nas poczta ledwie zipie. Nawet na Amazon, który zazwyczaj doręcza wszystko w ciągu jednego dnia, dwóch, teraz trzeba czekać ty-dzień, dwa lub nawet dłużej. „NYT” doniósł wczoraj, że w ciągu ostatniego miesiąca na terenie kraju doręczono 4 mld (sic!) przesyłek. Nawet niezawodny Fedex i UPS nie do końca to ogarniają.

Jesteśmy w poło-wie grudnia, więc już miałam okazję przetestować kilka usług kurierskich, gdyż tylko tą drogą w tym roku pozyskuję pre-zenty gwiazdkowe. Jak dotąd objawów kryzysu nie ma. Poczta Polska przyjeżdża sprawnie o ósmej rano, uprzejmie uprzedziwszy e-mailem. DPD jest OK, Fedex raz tylko dał plamę, ale to było jeszcze przed szczytem. Robi się jednak coraz goręcej i najtrudniejsze mamy przed sobą.

Dziwne mamy czasy. Kar-tek świątecznych nie piszemy, za to paczki płyną szeroką rzeką i już na długo przed świętami każdy ma w domu transport tektury i plastiku. Do sklepów można chodzić, tych, które nie padły, ale coraz częściej wybieramy zakupy w sieci, bo tak wygodniej i bezpieczniej.

– „Normalne” sklepy tym-czasem – tu w Princeton mie-liśmy naprawdę mało tychże – jeden po drugim padają jak muchy, – podsumowała ku-zynka. Pandemia przypieczę-tuje to, co już i tak miało się pewnie stać. Wszystko będzie on-line forever and ever...

Straszne proroctwo.

On-line możesz kupić prezent. Kupisz wujkowi, ale czy on będzie go nosił on-line? Nie, on musi mieć go gdzie nosić: w pracy, kinie czy knajpie. A na razie siedzi tylko w domu: sam i w dresie.

W trochę lepszy humor wprowadziła mnie sobotnia wycieczka na miejscowy targ. Sprzedawcy w pola-rach i rękawiczkach ubrudzonych ziemią ważą buraki i kartofle. Ten i ów zagada, spyta o zdrowie. Nic nie jest on-line.

I właśnie na targu spo-tkaliśmy naszego listonosza. Nawet zamaskowanego i zaczapkowanego można go rozpoznać po długim końskim ogonie. To miło mieć stale tego samego znanego, sym-patycznego listonosza. Taki był nasz świętej pamięci pan Nowakowski w Milanówku, który przez 20 lat przynosił nam na ulicę Krasińskiego listy, a potem mamie pani inżynierowej emeryturę. Pieniądże wyjmował ze skórzanego torby „listonoszki”, odliczał, śliniąc palce. Jakże to niehigieniczne. W czasach epidemii nigdy byśmy się na to nie zgodzili. © ©



FOI ADRIEN STOCK



FOI ADRIEN STOCK



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Świat w folii bąbelkowej

Czy zauważyliście, jak dużo bolesnych rzeczy bierze się z wysiłków, żeby, broń Boże, kogoś nie urazić? Wydaje mi się, że gdybyśmy odpuścili sobie tę nadwrażliwość, wszystkim żyłoby się łatwiej i przyjemniej.

Weźmy dwa ostatnie przykłady odgórnej reglamentacji tego, co wolno, a czego nie wolno. Jak wiadomo, wybór młodzieżowego słowa roku został anulowany, kapituła tego plebiscytu uznała bowiem, że takie słowa jak „sasi-nić” czy „Julka” mogą kogoś urazić. Koszty tego działania wydają mi się znacznie większe od puszczenia sprawy na żywioł. Jacek Sasin i tak już wie, że jego nazwisko stało się niezbyt szlachetnym symbolem, ale jest dużym chłopcem i zapewne jakoś to przeżyje. Wszystkie Julki tego świata toczą z kolei walkę o jego poprawę, a jako aktywistki nie tylko są zaprawione w rozmaitych bojach, lecz także często wręcz marzą, by stać się celem ataków. W końcu odrobina męczeństwa dobrze robi naszemu ego. Cóż by się zatem zmieniło, gdyby wyniki plebiscytu zostały utrzymane? No nic. Odgórna interwencja kapituły przyniosła jedynie dodatkowe rany. Renoma plebiscytu legła w gruzach, autorytet PWN – który organizuje wydarzenie – nieoczekiwanie został nadzarpnięty, a kapituła z grupy fajnych gości zamieniła się w grupę ponurych cenzorów.

Nie inaczej jest z wywiadem Beaty Lubeckiej z „Margot”, który najpierw został nominowany do na-

grody Grand Press, a potem tę nominację mu cofnięto. I znów przyniosło to jedynie dodatkowe koszty, których można było uniknąć. Nagle bardzo dobra dziennikarka stała się celem ataków za to, że podczas wywiadu zadawała pytania. Nastąpiła absurdalna wymiana ciosów w środowisku dziennikarskim, które – co wydawało się niemożliwe – wyszło z tego zamieszania jeszcze bardziej podzielone i poharatane. Renoma nagród Pressa podupadła, a warto jeszcze wspomnieć o jednostkowym dramacie feministki Moniki Płatek, która najpierw przyłączyła się do nagonki na Lubecką, a potem się z niej wycofała, kiedy wysłuchała wywiadu. Doprawdy, rzadko w jednej sytuacji można się zarazem tak skompromitować jak pani Monika i jednocześnie zachować z klasą, przyznając do błędu.

I znów – ilu ran można było uniknąć, rezygnując z odgórnej reglamentacji? Dbałość o dobre samopoczucie „Margot” przyniosła znacznie więcej szkody niż pożytku, tym bardziej że on sam podobno nie czuł się wywiadem poniżony, co zresztą dobrze o nim świadczy. W końcu zgoda na wywiad oznacza świadome wyjście ze strefy komfortu.

Wolność jest bolesna, nie da się ukryć. Zderzenia poglądów, wymiana myśli, kontrowersje – tego się nie da robić w ochronnej folii bąbelkowej. Jeśli się jednak w nią owiniemy, żeby przypadkiem kogoś nie zadrapać, to się po prostu podusimy. ©©



MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Wrażliwa Liga Mistrzów

Empatyczni, taktowni, wążący każde słowo. Kulturalni w stosunku do rywali i kolegów, pracujący w środowisku cechującym się wysoką etyką zarówno na boisku, jak i na stadionie. Wiele rzeczy można powiedzieć o piłkarzach, ale te cechy nie przychodzą na myśl jako pierwsze.

Tymczasem okazuje się, że wystarczy niedomówienie i podgrzana atmosfera, aby uruchomić w gwiazdach murawy stróżów politycznej poprawności. Taka sytuacja wydarzyła się podczas meczu Ligi Mistrzów 8 grudnia, gdy w ostatniej kolejce fazy grupowej grały ze sobą Paris Saint-Germain i İstanbul Başakşehir. Niestety spotkanie przerwano już w 15. minucie w aurze skandalu, a jego rozegranie przełożono na następny dzień, ale z... nowym sędzią technicznym. Dlaczego? Ponieważ to właśnie rumuński arbiter, przyglądający się przy linii bocznej przebiegowi spotkania, został oskarżony o rasizm, i to w oburzeniu na jego zachowanie piłkarze dwóch drużyn zesłali solidarnie do szatni. Ale po kolei.

Wszystko zaczęło się od zachowania asystenta trenera tureckiej drużyny, Pierre’a Achille’a Webó, który otrzymał od Sebastiana Coltescu czerwoną kartkę. Wskazując z pewnej odległości, kto zostaje nią ukarany, sędzia powiedział: „Ten czarny”. W obronie Webó natychmiast pobięł rezerwową Başakşehir, Demba Ba, który zapytał: „Kiedy mówisz o białym piłkarzu, nie mówisz »ten biały«. Dlaczego więc

powiedziałeś »ten czarny«?”. Zdaniem zawodnika użyto rasistowskiego słowa „negro” („czarnuch”), sędzia broni się, tłumacząc, że nie chciał nikogo urazić i posłużył się rumuńskim zwrotem „negru” („ciemnoskóry”). Chodziło mu o niefortunna, ale jednak szybką identyfikację osoby siedzącej przy ławce rezerwowej gospodarzy w sytuacji, w której wszyscy zawodnicy ubrani w kurtki i czapki wyglądali podobnie, a różnił ich (w jego mniemaniu) jedynie kolor skóry.

Ponieważ sytuacja na boisku zaczęła gęstnieć, również paryżanie zdecydowali się przerwać mecz. Na nic dyskusje, że – owszem – słowo było niefortunne, sędzia nie powinien się w ten sposób zwracać do członków zespołu, ale nie chciał asystenta trenera urazić. Zapewne gdyby był najwyższy wśród niskich zawodników, zakrzyknąłby: „Ten wysoki!” i pokazał czerwoną kartkę. Podobne pokrzykiwania, chamskie odzywki i skróty myślowe są chlebem powszednim boisk na całym świecie. Ba, piłkarze w większości przypadków na nie nie reagują, nie mówiąc już o solidarnym oburzeniu, gdy z trybun ich klubów wylewa się prawdziwy rasizm. Rumuńskiemu arbitrowi z pewnością zabrakło wyobraźni, ale całe zamieszanie można było zakończyć na tysiąc innych sposobów zamiast łamania temu człowiekowi kariery. W następnym bowiem spotkaniu się już nie pojawi. Nie wiadomo również, czy wróci do Ligi Mistrzów. Tak to dzisiaj wygląda. ©©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Jednak nadzieja?

Niemal 40 lat temu rodziło się pokolenie naszego ostatniego boomu demograficznego. W ten sposób naród zareagował na beznadziejność stanu wojennego (nie mówiąc o częstych wyłączeniach prądu). Wszak każde nowo narodzone dziecko jest oznaką nadziei – jego rodziców, ale również nadziei dla całej wspólnoty narodowej. Dziecko to przyszłość. To znak, że można się odbudować, zacząć od nowa. Nieprzypadkowo zazwyczaj po wielkich wojnach następuje wzrost demograficzny. Można oczywiście wymieniać najprzeróżniejsze przyczyny, ale przecież to, że w Polsce

naszą klęską. Jest naszą szkołą! Jest organizowaniem i mobilizowaniem energii, jest naszą ciągłą młodością, bo nie pozwala nam się zestarzeć. Narody bogate i zasobne, które nie mają już nic do odbudowywania, grzęzną w marazmie, jak gdyby w jakimś błocie i zda się – tracą już przed sobą cel życia”.

Słowa te padły w 1957 r. W szczególnym okresie, gdy temu wyrwaniu się do życia narodu młodego, który odbudowywał się również demograficznie, towarzyszyła jako krwawy kontrpunkt antynatalistyczna polityka komunistycznego reżimu. Rok wcześniej Sejm PRL, niejako stawiając kropkę nad „i” stalinowskich zbrodni, uchwalił ustawę o tzw. dopuszczaniu przerywania ciąży, również ze „wskazań społecznych”, czyli w każdej sytuacji. Przyszłość młodego narodu miała zostać zduszona w zarodku, a w każdym razie mocno ograniczona. 40 lat po uchwaleniu tej krwawej ustawy św. Jan Paweł II odnosząc się do kolejnego, przeforsowanego w 1996 r. w Sejmie przez lewicę zapisu o aborcji na żądanie (to wtedy naruszano tzw. kompromis aborcyjny), powiedział, że „naród, który zabija własne dzieci, jest narodem bez przyszłości”. Trudno o lepszą diagnozę sytuacji.

Któż dzisiaj jeszcze pamięta, że po raz pierwszy horyzonty przyszłości naszego narodu w III RP próbowała ograniczyć w 1994 r. postkomunistyczna lewica wespół z Unią Pracy i sporą częścią Unii Demokratycznej. Wtedy aborcję „na żądanie” zablokował skutecznie weto prezydenta Lecha Wałęsy i zwyciężył na to, że w ten sposób uratował on ileś istnień ludzkich, jest to najjaśniejszy punkt jego prezydentury. Dzięki temu można

powiedzieć, że te pięć lat nie zostało całkowicie zmarnowane. Swoją drogą, co na to dzisiejsi „odbrązawiacze” Wałęsy i co na to on sam?

Za kilka tygodni – na przełomie grudnia i stycznia – uży-skamy odpowiedź, jaki jest stan nadziei wśród nas dzisiaj. Chodzi o dziewięć miesięcy, które upłynęły od pierwszego, wiosennego lockdownu. Czy przymusowe zamknięcie w domach i nastrój niepewności oraz zagrożenia znajdzie odpowiedź w postaci fali narodzin? Czy życie, czyli przyszłość, wygra z koronakryzysem? Czy może wygrały laptopy i pigułki „dzień po”? Statystyki urodzeń w Polsce z przełomu lat 2020–2021 dostarczą dużo informacji o stanie ducha Polaków. Czy ostatecznie naszą odpowiedź na czas zarazy stał się czas życia? A może ugrzęźnięcie w marazmie?

Po stronie cywilizacji śmierci w zasadzie nic się nie zmieniło od ponad 60 lat. W 1956 r. zmanifestowała ona swoją obecność wspomnianą ustawą. W naszych czasach lotem błyskawicy (nomen omen) rozprzestrzeniła się ona na ulicach naszych miast i ujawniła swoją obecność wśród stada niezależnych umysłów pracujących w mediach i na uniwersytetach. Wtedy kulturowemu dziedzictwu „ochrzczonego narodu” komuniści przeciwstawili program budowy „nowej, socjalistycznej Polski”, ufundowanej na prawie naturalnym moralności przeciwstawili „moralność socjalistyczną” (zapisaną m.in. w takich ustawach jak ta z 1956 r.). Jedyna zmiana to taka, że dzisiaj Zjednoczeni Bezbożnicy („Zje...”, aż się boję dokończyć skrót) wobec „głębi tego Tysiąclecia” mają dwuwyrazową odpowiedź: „j...ć” i „wypier...ć”. ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



w pierwszych latach po drugiej wojnie światowej nastąpiło demograficzne „odbicie”, nie było – jak głosiła PRL-owska propaganda – zasługą dobroczynnego działania „władzy ludowej”, lecz instynktownym niemal odbudowywaniem się narodu wyrwywającego się do życia.

Prymas Wyszyński kilkanaście lat po zakończeniu wojny mówił, że „jesteśmy narodem młodym, prężnym, o kulturze starej, szlachetnej i wspaniałej. To, że musimy odbudowywać, nie jest

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Prowadzę sklep w Internecie – różne niebanalne prezenty pod marką WC, książki, yerba mate oraz towar sztandarowy, czyli moje hawajskie koszule z filmów „Boso”. Dostałem właśnie list od bardzo rozczarowanej Pani, która mnie SŁUSZNIE zrugła za to, że te koszule wyprodukowano w Chinach. Nie chciała zwrotu forsy – kupiła prezent swemu Ojcu i nie ma pretensji do jakości wykonania, ale była mocno poruszona, wręcz oburzona, że jak ja – ten krytykujący Chiny WC – mogłem w ogóle nawet pomyśleć o produkowaniu czegoś w Chinach. Ma rację!

Ona ma rację, a ja się z tą racją zgadzam. Tylko co nam z tego, skoro żadne z nas nie ma mądrego wyjścia? To tak, jakby ktoś za PRL miał pretensję, że kupiłeś ruską wiertarkę – w czasach, gdy żadnych innych na rynku nie było. Mogłeś nie kupić? No... mogłeś. Wybór jest zawsze, tylko nie zawsze dobry. Bo bez kołków w ścianie, na których zawieszisz szafki kuchenne, da się jakoś przeżyć. Tylko czy to roztropne? A dziś w RP można nie iść do dentysty, skoro on ma chińskie wiertła i plomby. Tak wiem – hawajskie koszule to nie jest towar pierwszej potrzeby i tu się całkowicie z tą Panią zgodziłem. Co dalej? Pomyślimy...

Pierwsze koszule hawajskie produkowano w 100 proc. na Hawajach i to była lokalna chała w typie ciupagi z drewnianym ostrzem. Czyli szajs-taniocha i kicz-aloha. Nawet guzików nie mieli porządných, więc lokalny dziadek zajął się struganiem guzików ze skorup orzecha. Miał nóż, miał kupę wyjedzonych kokosów i strugał guziki seryjnie dla kilku lokalnych krawców.



FOT. W. CEJROWSKI / LUDŹB. MROZOWSKI

KOSZULA WC

Potem przyjechał na Hawaje bardzo sławny śpiewak – Bing Crosby. Megagwiazda w latach 40. Zaczął nosić hawajskie koszule, zrobiła się moda i po nim ten typ ubioru kojarzył się już wszystkim Amerykanom z wakacjami, odpoczynkiem i cudownym życiem. Kiedy Bing Crosby przebrzmiał, na Hawaje przyjechał Elvis Presley i też się ubrał w hawajskie kwieciste, nakreślił kilka filmów z radosnymi piosenkami i wtedy moda na ten typ koszul utrwaliła się raz na zawsze. Świat zaczął kopiować i nosić.

Dzisiaj w każdym domu amerykańskim znajdziesz przynajmniej jedną. I zawsze, gdy jedziesz gdzieś pod palmy, musisz sobie kupić kolejną. A także, gdy jedziesz zaszaleć w Las Vegas lub na imprezę i nie wiesz, w co się ubrać – koszula hawajska pasuje i będzie mile widziana.

Najbardziej luksusową marką tych koszul jest obecnie Tommy Bahama. Robi najpiękniejsze, z najlepszego jedwabiu, do tego obowiązkowe i klasyczne guziki z kokosa polerowane na błysk. Marka topowa i nowe koszule kosztują powyżej 100 dol. za sztukę. Wiem, bo mam całą szafę w USA i drugą w PL. Wiem, bo na nim się wzoruję, gdy produkuję moje – na najlepszym krawcu na świecie.

Mają jedną wadę – wszystkie są produkowane w Chinach. I... nie ma od tego ucieczki,

chyba że Trump przetrwa i dokończy zawracanie produkcji z powrotem do nas. Bo jak Trump tego nie zrobi, to nikt inny nawet nie podejmie próby. Inni już się poddali. Ani Morawiecki, ani Macron, ani Merkel, ani Biden... Żaden taki tego nie zrobi, bo oni uważają, że się z tym nie da nic zrobić, a w ogóle to po co zaczynać – przecież jest dobrze tak, jak jest.

Zgadzam się z tą Panią, która do mnie napisała – nie powinniśmy kupować od Chińczyków niczego i nigdy. Chiny to zdeklarowany wróg cywilizacji zachodniej. Rządy Unii Europejskiej oraz poprzednie (przed Trumpem) w USA doprowadziły nas wszystkich do sytuacji uzależnienia gospodarczego od Chin i to takiego, że NIE ISTNIEJE PRODUKCJA WŁASNA.

W USA każda pastylka aspiryny jest produkcji chińskiej – politycy w tym pomogli, a korporacje wyniosły produkcję do Chin. Każdy komputer Macintosh i każdy telefon komórkowy na świecie jest produkcji chińskiej. Jeżeli nie cały, to na pewno części. Wszystkie buty każdej marki pochodzą z Chin, więc jeśli nie chcesz chińskich, to masz do wyboru chodzić boso lub zamać w szewca na miarę.

Masz czajnik w domu? Jest chiński, podobnie jak lodówka i każdy telewizor w każdym polskim domu.

Moje koszule wydawały mi się uroczym pomysłem – zrobiłem „Boso”, handluję marzeniami, dodam do tego koszule i ludzie będą mieli w domu trochę szczęścia. Próbowaliśmy zamawiać produkcję w Tajlandii, Indonezji i Bangladeszu. I co się okazało? Że te fabryki zamawiają tkaniny w Chinach.

Moje książki drukuję w Polsce (w Pelplinie) na papierze z Kwidzyna, ale... maszyny w tej fabryce oraz komponenty do papieru – chińskie (przynajmniej częściowo). Farba drukarska stosowana w Polsce... też chińska. Czyli gdy ktoś czyta Biblię, to ma przed sobą farbę wyprodukowaną przez chińskich komunistycznych zbrodniarzy, którzy stosują pracę niewolniczą. Do takiej sytuacji cywilizacja Zachodu doprowadziła się sama i sama jest sobie winna.

Jaki mamy wybór? Nie łkać aspiryny? Na to nikt nie pójdzie i nie jest to rozwiązanie rozropne. Wyjściem byłoby ODTWORZENIE produkcji w krajach Zachodu i USA. Trump to zaczął robić. Amerykańskie stalownie znów produkują stal. Jest droższa od chińskiej, ale... per saldo tańsza, bo bezrobocie spadło, a bezrobocie w naszych krajach jest kosztowne – płaci się ludziom zasiłki.

Finansowanie chińskiego wroga nie jest mądre ani dobre i należy z tym skończyć. Ja rzeczywiście mogę wyprzedzić zapas tych koszul i o nich zapomnieć. Dam sobie radę.

Ale co z książkami na chińskiej farbie? Co z moim komputerem, właściwie KAŻDYM komputerem, bo w każdym siedzą jakieś chińskie komponenty? Co z każdym samochodem dostępnym na rynku?

Z dnia na dzień się z tego nie da wykaraskać, ale rzeczywiście, jeśli tylko możesz, to NIE KUPUJ CHIŃSKIEGO. ©©



**OFERTA
ŚWIĄTECZNA**

TYGODNIK LIŚCICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

**TYGODNIKA „DO RZECZY” ORAZ
MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”**



W PREZENCIE

ALBUM

RED. BOŻENA CZWOJDRAK
„POCZET WŁADCZYŃ POLSKI”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



~~880~~ zł

329,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 557 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmgp.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631

INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 15fc4fd28c

50th
anniversary of
Titanium
technology

SUPER TITANIUM



CITIZEN.

BETTER STARTS NOW

citizen.pl

eprasa.pl 15fc4fd28c